

ANDRZEJ CHCIUK

WIZYTA W IZRAELU

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1972



WIZYTA W IZRAELU

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 219

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

ANDRZEJ CHCIUK

WIZYTA W IZRAELU

INSTYTUT

PARYZ



LITERACKI

1972

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECE « KULTURY »

Smutny uśmiech, Opowiadania (Nagroda Literacka Kultury za rok 1955.

Rejs do Smithton — Stary ocean, 1960.



OD AUTORA

Niniejsza książka powstała ze spostrzeżeń, wrażeń i refleksji po miesięcznym pobycie w Izraelu pod jesień roku 1971. Jednak nie tylko sama krótkość podróży narzuciła książce jej pewne ograniczenia. Albowiem choć piszący te słowa starał się włąbić w niektóre problemy niezwykle pasjonującego eksperymentu, jakim jest ze zlepków diaspory powstawanie nowoczesnego Izraela w morzu wrogów, na skrzyżowaniu olbrzymich kontrastów cywilizacyjnych, ekonomicznych i demograficznych, a także wpływów politycznych obcych superpotęg, oraz własnego religijnego szowinizmu — to głównie przecież autor śledził za tropami polskiego Smętka w tym kraju. Nie chodziło tu wszakże o polonica, których zresztą w Ziemi Świętej, czy dawnej Palestynie nie brak. Chodziło o co innego:

Przebogaty koloryt żydowski, nieodłącznie związany z historią i kulturą polską od tysiąca prawie lat, fizyczna obecność Żydów w Polsce, wzajemnie współprzenikające się drożdże, ślady, zatargi, oraz wpływy obu partnerów na siebie, a także głębokie więzy uczuciowe Żydostwa Polskiego z polskością idealną — zniknęły już, lub znikają z ziem polskich, z naszego krajobrazu geograficzne-

go, psychicznego, czy kulturalnego. Bo czego nie doprowadził zupełnie do końca w czasie wojny Hitler, to niedawno temu uzupełniła na rozkaz Moskwy klika partyjna Gomułki. A i to, co wchłonęli w siebie z polskości i jakoś w sobie przetworzyli Żydzi polscy, zanika obecnie w Izraelu, gdzie nie bez konwulsji i błędów, powstaje nowy naród i folklor w konfrontacji z innymi ideami i warunkami. Jest więc niniejsza książka jakimś serdecznym podzwonnym dla epoki, która — czy naprawdę? — kończy się na naszych oczach.

W powodzi książek i artykułów po Wojnie Sześciodniowej o Izraelu w innych językach, a przy ich braku w języku polskim, taka książeczka nie nad miarę pochwalna (bo nie jestem Żydem, ani syjonistą), ni też zanedo krytyczna (gdyż nie jestem komunistą, Arabem, czy antysemitą), ale po prostu obiektywna i ciepła, jest, moim zdaniem, potrzebna.

A jeśli za dużo mówi się tu o Drohobyczu i o drohobyczanach, to Czytelnik musi pamiętać, że najlepiej jest pisać o sprawach, które się dobrze zna i że mamy tu do czynienia z przejrzystą przenośnią i pretekstem. Bo oto przez moje miasto, jego mikrokosmos i powiązania ludzkich losów, widzimy typowy wycinek Historii z czasów okupacji, wojny i terroru UB, z wszystkimi zbrodniami i koszmarami naszych czasów, z ludzkim cierpieniem, bohaterstwem i pięknoscią Człowieka u mych braci Żydów, Ukraińców i Polaków, synów tej ziemi, skąd wszyscy pochodzimy i do której miłość u ogromnej ilości Żydów nie zbladła pomimo licznych cierni i krzywd, pomimo zagarnięcia ich już w inną przyszłość.

Jeżeli zaś idzie o sam Izrael, to myślę, iż obraz jaki tu został pobieżnie naszkicowany, odzwierciedla prawdę i najważniejsze problemy tego państwa.

Honorarium za tę książkę przeznaczam na ośrodek-pomnik Gadi Manela w Tel-Itzhak.

E B E L

Było to jeszcze przed potopem, jeszcze w Atlantydzie, żyjącej swym normalnym życiem, ku któremu i ona i my byliśmy stworzeni i sobie nawzajem przypisani. Były wakacje i właśnie skończyliśmy siódmą gimnazjalną, a we wrześniu mieliśmy iść do ósmej, po której czekała nas matura, już ostatnia starego typu. Moi młodszy koledzy, albo tacy, co kiedyś po drodze zarepetowali, jak Julek Benkendorf, Tadzio Wojtowicz, czy Artur Kupferberg, zdali właśnie małą maturę i szli do pierwszej licealnej. Działo się to w naszym kochanym i śmiesznym małym Drohobyczu, który był jednym z miast i miasteczek Wschodu Polski, a przecież zawierał w sobie cały kosmos spraw jakie się ludziom zdarzają.

Cóż mogliśmy wiedzieć wówczas o swej przyszłości, byliśmy w miarę głupi i naiwni, w miarę już niaby mądrzy, bo wydawało się nam iż coś wiemy o życiu. Jest sierpień 1937 roku i w naszym chciukowskim ogrodzie, jedząc papierówki, całą gromadą obiecujemy sobie, że za 25 lat, a właściwie za lat 26, bo jeszcze trzeba będzie *odkiblować* ósmą klasę i maturę, zrobimy zjazd koleżeński z okazji 25-lecia naszej matury. Zjazd! Zjedziemy się w 1963 do Drohobycza ze wszystkich stron; tak marzyliśmy sobie, choć najpewniej będziemy dalej żyli w tym samym

Drohobyczu, albowiem marzenie marzeniami, lecz przyszłość najwyraźniej widzi się w kategoriach i warunkach, do których już przywykliśmy.

Izio Ebel, dryblas o potężnych stopach, noszący buty nr 46 albo 48, ciągle wspomina wycieczkę z Magellaniem, na której on był głównym kucharzem, a ja jego pomocnikiem. Zarykuje się przypomnieniami, jak to razem w Osmołodzie w Gorganach zarzynaliśmy cielę i usmażyliśmy sobie mózdzek, o który dopominał się Einleger-Magellan, a że był okropnym krótkowidzem ten nasz belfer safandula, to się tylko dziwił, iż ten mózdzek który mu podaliśmy, inaczej smakuje. Śmiechu jest co niemiara, młodości niewiele trzeba, aby się śmiać. Przypominamy sobie nasze różne pierepałki z belframi — nazywanymi szumnymi, po galicyjsku, profesorami — nawet opowiadamy sobie o meczu w Kossowie, gdzie udawaliśmy przemyski „Czuwaj” i gdzie niespodziewanie wygraliśmy z reprezentacją owego miłego miasteczka, chociaż byliśmy tylko gimnazjalną wycieczką z Drohobycza i mieliśmy w naszym gronie zaledwie kilku dobrych piłkarzy z „Junaka” i „Betara”.

Mój ojciec słucha nas, siedząc na ogrodowym fotelu, wtrącałaby jabłka i staramy się wyobrazić sobie czym kto będzie w owym dalekim wtedy i nierealnym roku 1963, może nie wszyscy będziemy jednak w Drohobyczu? Bronek Kazak, ten, co chce iść na księdza, będzie już biskupem, a że w Drohobyczu nie ma biskupstwa, to pewnie będzie w Przemyślu, albo w Stanisławowie, gdyż o samym Lwowie nijako marzyć. Tadzik Ruszel z Polminu, ten co chce iść do wojska, będzie już pułkownikiem (*pełnym* — dodaje ze śmiechem), Ebel, o którym rzadko kto mówił po imieniu, bo dla wszystkich był zawsze Eblem, będzie ministrem w Palestynie, a Kuziw ma wszelkie szanse na premiera wolnej Ukrainy. Gruby Kuziw — Tuhan mu było — z uprzejmości nie dyskutował z nami sprawy granic, o granicach potem, ty zaś Jędryk — mówili kipiąc młodością i pomysłami

— będziesz miał własną gazetę.

Któryś wszakże naciągał Ebla:

— Te, Ebel, a jaka to wtedy będzie Palestyna?

— Jaka? Żydowska i niepodległa! — odpowiadał hardo i pewnie, bo był zapalonym syjonistą i jako wyznawca wielkich idei wszystko widział prosto.

Wszyscyśmy się śmieli z niego:

— Zwariowałeś? *Zdurit?* A Anglików kto przepędzi?

— Żydzi! — odpowiedział bez zająknięcia.

— Żydzi? Sami? — przy całej sympatii dla kolegi wydawało się nam to zbyt niewiarygodne.

— Sami. Zobaczycie! — dodał twardo, acz głos mu brzmiał mniej pewnie. — Sie im kota pogoni, co za pytanie...

— Ty chyba będziesz minister skarbu — mówił któryś z nas, wiedząc, że Ebel wieczorami chodzi na kursy księgowości, których mu humanistyczne gimnazjum starszego typu nie dawało.

— Może będę, może będą lepsi ode mnie — wzruszał ramionami — ta to wcale nieważne, grunt że przyjadę na zjazd z Palestyny, dokąd ruszę jak Benio Schwarz, ja wam to mówię, kopylaki. Śmiejcie się ze mnie, pastuchy, ali takuj tak tak bendzi, bękarty zezowate...

Była to świetna zabawa, owo zgadywanie przyszłości z lekkim przymrużeniem oka, to odgadywanie kto czym będzie, czym zostanie, rzeliśmy jak młode konie, pełni wiary w świat i w siebie, pełni ówczesnej młodości, kłóciliśmy się, naciągaliśmy się nawzajem i co chwilę wybuchaliśmy śmiechem.

— Hoj, hoj, hoj — wzdychał mój ojciec, ubawiony naszą rozmową. — Co to się może jeszcze stać do 1963 roku? Co się może stać z nami wszystkimi, nie mówię o sobie, bom stary i na wylocie, lecz z wami wszystkimi? Wojna, kataklizm, zagłada, kryzys, cóż kto wie co się jeszcze może stać? Hoj, hoj...

— Co się ma stać? — krzyčeliśmy. — Nic. Przy-

tyjemy, dorobimy się majątków, hemoroidów, rodzin, teściowych, kochanek, awansów w biurze i przyzwyczajęń w biurze i w domu, będziemy się starzeć w nudzie prowincjonalnej egzystencji. Wojny nie ma prawa być — powiedział Zdziszek Opitz, ten co zginął potem we wrześniu 1939. — Kto wojnę lubi? Kto jej potrzebuje? Ludzkuść już za mondra na wojny.

— Ja mam rację, ty masz rację, założymy restaurację... — zanucił ojciec swe ulubione powiedzonko zapałętane z jakiegoś kabaretu czy rewii.

— Panowla — zawołał któryś — dość już durnego gadania, chodźmy do Króla-Palicy na lody. Niech żyją lody!

I poszliśmy.

I oto nagle jest któryś dzień pod koniec sierpnia 1971 i Ben Sharoni, czyli dawny drohobycki Benio Schwarz wiezie nas swym samochodem z kibucu Tel-Itzhak — żonę moją i mnie — do ośrodka wypoczynkowego w Zikhron Yakov, na zboczu pasma gór Karmel; w dole, pod wieczór, błyszczy Morze Śródziemne i trzyczęści kilka stawów rybnych, należących do miejscowego kibucu. Tu, w prześlicznym domu wypoczynkowym należącym do Histadrutu, czyli do izraelskich związków zawodowych, mamy za chwilę spotkać Ebla. Ebel wprawdzie nie jest ministrem skarbu Izraela — co może nawet i szkoda, gdyż nikt tu ministra skarbu Sapira nie lubi — Izio jest tylko głównym płatniczym, czy skarbnikiem zarządu miejskiego Haify, ale to też nieźle. Będzie trochę spóźniony, gdyż nie wiedząc nic o naszym przyjeździe, który miał być niespodzianką, pojechał do niedalekiej Haify, gdzie pomimo urlopu prowadził wykłady z księgowości w wieczorowej szkole. Właśnie zasiedliśmy do kolacji w imponującej sali jadalnej ośrodka, rozmawiamy z żoną Ebla i z niedowierzaniem przysłuchujemy się rozmowom przy stolikach, bo język polski słychać tu często,

ba, nawet niedaleko od nas członek parlamentu izraelskiego opowiada coś po polsku i to z takim akcentem, jak gdyby wczoraj wyjechał z *Lwowa*, gdy nadchodzi Ebel. Jest jak dawniej zawadiacki i dryblas, wali bucioremami po posadzce, mesztami numer 46 albo 48, stracił sporo włosów i zgarbił się nieco — ileż to lat minęło od naszego Drohobycza, myślę — i staje jak wryty gdy wychodzę mu naprzeciw.

— Moszku, to ty? — nazywa mnie po drohobycku i całujemy się na oczach całej sali, która trochę cichnie. Patrzę na jego ciemny zarost i ciągle młode, tamte, oczy i co Izio sobie przypomina? Ową wycieczkę z Magellaniem, owego cielaka, ów mózdzek i ów mecz w Kossowie. „Pamiętasz? Wygraliśmy go 4 : 2, strzeliłem dwa gole, heca była, co?” — mówi z radością.

Gadamy jak głupi, jak nawiedzeni obłędem i świętym wspomnieniem, a jego i moja żony, jedna z Sosnowca, druga z Żółkiewki, które nigdy w życiu nie były w Drohobyczu, patrzą na nas z boku, uśmiechnięte, usunęły się, znają te sprawy z opowiadań mężów, bo wraz ze swymi mężami poślubiły i ich całe miasto i jego sprawy, znają te rzeczy z różnych, coraz bogatszych w szczegóły wariantów, czują mimo wszystko nieprzekraczalność pewnych kręgów z życia swych mężów, choćby jako żony nie wiem jak były przez nich kochane. Obie są już honorowymi drohobyczankami z tych tysięcy godzin, kiedy każdy z nas bliskim i dalszym opowiada o mieście, z którego pochodzi. Albowiem takie opowiadania o mieście, z którego się wyszło, następują tylko w chwili cikliwości, są intymne jak sama miłość, jak życie z innym obcym człowiekiem, który nam staje się najbliższym, stał się najbliższym, jedynym. Te opowiadania i ta znajomość nieznanych z autopsji spraw, gdy przychodzą z ust najbliższego człowieka, są nieodłączną częścią miłości.

IZRAELSKI ŚLUB

Hanka Pilichowska, nasza przyjaciółka, zaprosiła nas w Izraelu na ślub swej siostrzenicy. W Powstaniu Warszawskim Hanka była łączniczką AK i uzyskała za to odznaczenie. Przedtem, podczas okupacji, pracowała w polskich domach jako służąca. Miała tak dobry *wygląd*, że dobrzy ludzie nie podejrzewali iż jest Żydówką, przeto nieraz „bez krępacji” mówili przy niej o Żydach. Ale nie o to chodzi, chodzi o ślub w Izraelu.

Był to bardzo skromny ślub, gdyż brało w nim udział tylko 350 osób. Przeciętne śluby w Izraelu gromadzą od 500 do 800 osób. Dlaczego? Czy ludzie są tak bogaci i rozrzutni i chcą się postawić? Nie. Na ślubie powinno się zarobić i tak to jest pomyślane: każda z zaproszonych par powinna złożyć prezent, czyli w kopercie banknot 20 dolarowy lub więcej, co jest oczywiście mile widziane. Toteż, jak twierdzą tu złośliwcy, para młoda ma noc poślubną dopiero nazajutrz, gdyż po weselu oboje małżonkowie liczą czeki, pieniądze i oceniają prezenty w naturze, trudno przecież, na przykład od jubilera wymagać, aby przynosił 20 dolarów, skoro może zaofiarować bransoletę, którą kupuje po cenie hurtowej, a która to bransoletka może z powodzeniem *biegać* — jeśli idzie o cenę detaliczną — za prezent wspanialszy.

Zaproszenie było wydrukowane na modnym w Izraelu papierze koloru chałwy, krzaczkowatym pismem hebrajskim, oraz po angielsku. Na zaproszeniu w tekście hebrajskim, którego było dużo więcej niż angielskiego, podano ponadto numery autobusów z centrum Tel Aviv do Givataim: 67, 61, 60. Ci co posiadają własne wozy, czytają zapewne po angielsku i nie jeżdżą autobusami. (W nawiasie: co krok dziwi nas nieujednostajniona pisownia: *Givatayim* i *Givataim*, *Tel Aviv-Yafo*, *Tel Aviv-Jaffa*, *Petah Tikva*, *Petach Tiqwa*, *Petach Tikwa* itp.; zaś uroczą kolonia malarzy w górach zowie się na jednej mapie *Safad*, na drugiej *Zefat*, a wszyscy i tak wymawiają to jak Cwat lub Swat).

Ślub jak ślub, było tu wszystko co miało być i jak miało być. A więc naprzód oboje młodzi stali przy drzwiach i przyjmowali gratulacje, zaś pan młody dyskretnie chował w kieszeń koperty z czekami; potem panna młoda siedziała na tronie, piękna jak marzenie, i pan młody ją obchodził; później była hupa — baldachim weselny — mowa rabina, jakby żywcem wyjętego z *Fiddler on the roof*, z której to przemowy pod koniec zrozumiałem trzy słowa: *patriota*, *czekim* i *maszyna*; było też rozbicie szklanki na szczęście, kołacz dwumetrowy chyba, czyli chałka-monstrum — wtedy przy sąsiednim stoliku usłyszałem powiedziane po polsku i chyba z rozrzewnieniem: *popatrz, taki kołacz jak w Polsce* — wreszcie przy stołach nastąpiła ściskanina-mlaskanina.

Jedzenie było wytworne, smaczne i obfite, ale obsługa szybko je ze stołu sprzątała: zjadłeś, to dobrze, chcesz jeszcze? no, to trzeba się śpieszyć, służba też ludzie, chcą wszystko skończyć przed jedenastą. Dań było z sześć, nie licząc przystawek i deserów, ani owoców czy tortów. Bractwo wtrajało w zaciekłym milczeniu, bo trzeba się śpieszyć, a jak ktoś gdzieś coś powiedział, to oczywiście słychać było hebrajski, jidysz i trochę angielskiego. A bardzo mało polskiego. Orkiestra — zresztą świetna, to pierwszorzędne *klezmery* — grała, próbowała ożywić nastrój

muzyką i kawałami opowiadanymi przez dyrygenta, śpiewaka, konferansjera i mistrza ceremonii w jednej osobie. Lecz sala zajęta była jedzeniem. Chłopaki wprost wychodzą ze skóry, byle tylko rozruszać ferajnę, a ta zre ponuro i pije w milczeniu. Zresztą w Izraelu na ogół pija się mało. Idą kawały hebrajskie i angielskie, a lekkie ziewnięcia kwitują te wysiłki orkiestry, aż tu nagle banda gra w jakimś bardzo szybkim tempie *Już taki jestem zimny drań*. Poruszenie, oczy sponad półmisków podnoszą się, oczy się śmieją, szef orkiestry śpiewa to po polsku, wiadać że nauczył się tego jak papuga, ale się nauczył, zna smak publiczności. Gdy skończył, pierwsze brawa, od razu mocne. Sala się rozruszała, za chwilę leci *Przytul, uściśnij, pocałuj* — brawa tak zwane frenetyczne — i gdy jeszcze później zespół zagrał *Ramone* a wszyscy muzycanci — przy współudziale rozmarzonej publiczności — śpiewali po polsku *jak imię twoje słodko brzmi*, sala lokalu na Sirkin Street leżała już jak neptek: zamglone oczy, ręce szukające się pod stołami, co zasię młodsza generacja obserwowała raczej ze zdziwieniem — i oto już jest zabawa na sto dwa i prawie cała sala mówi po polsku!

Ponieważ byliśmy jedynymi gojami, a te rzeczy się roznoszą, wiele osób patrzy na nas, jakiś facet zagląda do naszego stolika jak pies do jatki, przechodzi tędy lub tamtędy, sztywny, wysoki, wyprostowany i niby od niechcienia zerka. Ktoś mi mówi:

— To jest oficer z armii Andersa; on tu zdezerterował w Palestynie i został; bardzo polakożerczy, nie gadaj z nim, to szmondak. Jego tu nikt nie lubi.

S Z U K

Przez *szuk*, czyli targ w Tel Avivie, przechodziliśmy dwa razy dziennie i za każdym razem było to pasjonujące. Było to jak brodzenie po pełnym dziwów dnie oceanu: setki straganów, tysiące ludzi, zapachów, kolorów, głosów, strojów, gestów, typów. Tu ślepiec sprzedaje agrafki i grzebyki, ówdzie na małym dywaniku leży kilka pudełek zapalek, lub torebek z palonymi pestkami: to jest *geszeft* starego brodatego Żyda, tu pchają na wózku w roju much dopiero co oskubane i jeszcze pachnące świeżą krwią indyki i kury, tam na rykszy wiozą ryby, obłożone w upał lodem, ówdzie, na rogu, czarni chłopcy sprzedają i sami rozcinają klientom owoce pustynne: *sabry*. Smak to ma na pół *passion-fruit*, a na pół *mango*. A tam lodziarz, tu pestki palone — w kinach słyszy się odgłos ich jedzenia jakby przez las szła armia korników — i różne orzechy, landrynki i *chewing gum*, wrzask, gwałt, targowanie, przedpotopowe czarne wagi, brody, pejsy, kapelusze, kamizelki, co chwila ktoś komuś niesie butelkę zimnej Coca Coli, a tu na tacy, ponad głowami, kelner w brudnym fartuchu przenosi pięć czarnych kaw w szklankach z uchwytnymi i butelkę piwa; nagle stoimy przed makagigami, majtkami, butami, koszernymi wędlinami z robaczkowym pismem hebraj-

skim na plastikowym jelicie, tu szewc, tam pucybut, ów-
dzie góry owoców, tam góry pomidorów i ogórków, ma-
linowy czosnek, koperek, cebula, cebulki, szczypiorek,
peperony, bakłażany, tu miód buzi dać, świece, wszyscy
krzyczą, łapią się za głowy, gestykują, plują łupinkami
po pestkach, podnoszą ramiona, drapią się w kroku i po
głowie, morze twarzy, temu zwisają cyceles, tam stara
bezzębna Żydówka coś mówi, patrzą na nią oczy obser-
wujące pilnie czy inna klientka nie podkrada jej w mię-
dzy czasie jaj ze straganu, dziecko pcha wózek z kawo-
nami, pod nogami przebiegają koty, to jest właśnie szuk!

Ale zanim do niego dojdziemy, gdy wychodzimy rano
z domu, wkraczamy w starą dzielnicę Tel Avivu, Men-
sziję, na pograniczu Jaffy. Tu architekuralnie Wschód
miesza się z drohobyckim Łanem. Wyprażone słońcem
i zawiane piaskiem mury nagle upodobniają się do ży-
dowskich miasteczek na wschodzie Polski. Wiatr powie-
wa przylepionymi jeszcze na ścianach domów klepsydra-
mi żałobnymi, niewidzianymi już od Polski; tu z okna
bije zapach *bajgele* i *chatek*, handel odchodzi przez okno;
tam karczma jak w Borysławiu; na werandzie siedzą sta-
rzy Żydzi; tu jedzie drewnianym wózkiem handlarz sta-
rzyzny, pokrzykuje jękliwie i co chwilkę układa na nowo
te używane ubrania, jakie ma dziś na sprzedaż, a może
je właśnie był zakupił po zmarłych? Dalej dzieci bawią
się skakanką i w klasy i ktoś — chyba iracki Żyd, bo
chodzi w pasiastych spodniach — zamasyście ryżową
miotłą wypycha z sieni śmieci wprost na nas. Nagle wyła-
nia się jakaś pokrzywiona framuga, czarne od brudu
okno, korytarz z odlatującym tynkiem, pordzewiałe ryn-
ny; koty leżące w oknach, za nimi przepastne oceany
dziwności schulzowskich: wysokie łóżka, stare fotogra-
fie, pełne ozdóbek meble; tu siedzi stara Żydówka i za-
światowym wzrokiem patrzy w pustą uliczkę, lecz oto
patrzysz dokładniej, a nad dachami dostrzegasz kilka an-
ten telewizyjnych, zaś wnuczek, czy raczej prawnuczek
kobiety podaje jej butelkę Coca Coli — wyjął ją z lodów-

ki w sieni, i ważny schodzi na ulicę pełną gazet i śmieci. Przypatrujesz się staruszce i dopiero zdajesz sobie sprawę, że siedzi ona przed sklepikiem, czy warsztatem, a w nim opalony mężczyzna ma w dłoni dłutko i coś przykręca w telewizorze. TV REPAIRS — głosi napis angielski i hebrajski.

To pomieszanie Wschodu z Drohobyczem, roku 1971 z Biblią, to bogactwo typów jak z Chagalla, Gottlieba, Lachura czy Pilichowskiego — jest urzekające. Za kilka lat ta dzielnica pójdzie na zburzenie, nowoczesne domy nie będą mogły mieć tego kolorytu, trochę ludzi wymrze, inni w innych warunkach już inaczej będą się zachowywać. Tak przemija epoka.

KIBBUTZ TEL-ITZHAK

Benio Schwarz — teraz Sharoni, od geograficznej nazwy połączenia kraju, jak Wołyński od Wołynia — był w Drohobyczu najbliższym kolegą mego brata Tadeusza, zwanego Dzikim. Ściszej mówiąc Benio był jedynym kolegą Dzikiego Żydem, którego u nas znoszono, poza naszymi sąsiadami Langermanami. Tak samo Dzikie był jedynym kolegą Benia gojem, który miał prawo pobytu w domu Schwarzów. Od bardzo młodych lat Benio był syjonistą i uważał, że należy przerwać ten styl i tradycję, iż Żyd z inteligenckiego domu może być dobrym lekarzem, adwokatem, kupcem itp. ale że nie ma wśród Żydów dobrych rolników i żołnierzy. Były to wczesne lata trzydzieste. Dla ojca Benia, statecznego kupca bławatnego z ulicy Mickiewicza tuż przy Rynku, urzeczenie syna syjonizmem było czystym wariactwem i tragedią. Stary Schwarz założył, że Benio będzie adwokatem, toteż nie chciał słyszeć o planach syna i zarzekł się, że mu w nich nie pomoże. Uparty Benio, geniusz matematyczny, któremu wrócono wielką przyszłość, przez lata składał pieniądze — miał zawsze po kilka korepetycji z matematyki — i w roku 1936, w rok po maturze, zamiast na prawo do Lwowa, gdzie jeszcze nie wiadomo czy by go przyjęli, wyjechał niby na studia na politechnikę hajfską

do Palestyny, w rzeczywistości zaś był to wyjazd do kibucu. No i jest tu już od 35 lat, i od tyluż lat w kibucu.

Właśnie jesteśmy z żoną w „jego” kibucu, którego nazwę macie w tytule, a który leży niedaleko Tel- Avivu, koło Herzliyi i Netanyi, pomiędzy pięknymi pardesami, czyli gajami pomarańczowymi, jakich tu wówczas jeszcze wcale nie było, bo kraina zasobna była wtedy tylko w trzy rzeczy: piaski, bagna i komary. Dziś są tu żyzne pola, gaje pomarańczowe, asfalty dróg i wszędzie szumią deszczownice, czyli *sprinklers*.

Benio jest jednym z założycieli kibucu Tel-Itzhak i bardzo często jego duszą. Ma wizję i upór, umie innych porwać, to widać z każdego jego spokojnego wyważonego słowa i z każdego gestu i uśmiechu. Bez przesady to taki żydowski Dewajtis. Bije z niego siła, życie dało mu jedną z najwspanialszych nagród jakie może dać ludziom: ideę, której poświęcił wszystko bez reszty, która zwyciężyła i stała się rzeczywistością; dała mu ona najwyższe zadowolenie, które promieniuje z każdego jego gestu i słowa.

Gdy wieczorem po piątkowej kolacji wychodzimy z jadalni kibucu, gdy w pięknie urządzonym parku rozbłyskają światła, zaś jego alejkami spacerują zadowoleni ludzie, ubrani tak samo jak w Tel-Avivie, Paryżu czy w Nowym Jorku, gdy otwierają *Dom Kultury* kibucu z kawiarnią, biblioteką i salą poświęconą pamięci bohatera młodego pokolenia, najwybitniejszego oficera izraelskiego Gadi Manela, którego rodzice (z Sosnowca) są członkami tego kibucu — Benio przystaje, patrzy i mówi po chwili ciszy, a w jego głosie jest wzruszenie:

— Popatrzcie, jakie to piękne!

Milczymy, bo to jest istotnie piękny widok. Wśród drzew świecą, jak w Truskawcu, kolorowe lampy; po upalnym dniu jest wreszcie chłodniej, wszędzie szumią deszczownice, rozbrzmiewają śmiechy, nucenia i rozmowy, co chwilę ktoś pozdrawia nas: *Szalom!*, z okien schludnych domków w otoczeniu klombów i trawników

płyną melodie z płyt, a z innych podudnia i błyska telewizja, stosunkowo nowy nabytek Izraela, którą tu każdy cieszy się jak dziecko. Dawniej nie było własnych programów, musiano więc korzystać z telewizji arabskiej w ościennych państwach. Wokół zapachy kwiatów, różne wonie: siana i pól — zupełnie nastrój zamożnej polskiej wsi po zbożnym dniu pracy. Benio stoi i nic nie mówi.

— Nigdy nie żałowałeś, żeś tu przyjechał? Nigdy nie ogarnęła cię depresja? Nigdy nie chciałeś rzucić tego wszystkiego w diabły i przenieść się do miasta? — pytam.

— Nie, nigdy! — odpowiada spokojnie. — I gdybym miał to wszystko na nowo zaczynać zacząłbym bez wahania. Tyle tylko, że mając dzisiejsze doświadczenie, mógłbym uniknąć wielu błędów, które popełniliśmy. Początki tu były niesamowicie ciężkie, — dodaje i kiwa głową.

— A czy możesz sobie przypomnieć wrażenia z pierwszego dnia? Jak to było, gdy wysiadłeś z „Polonii”? — pyta Basia. „Polonia” był to polski statek, kursujący pomiędzy rumuńską Constanzą a Haifą.

— Jak? Arabski taksjarski kiwnął mnie, bo wziął sześć razy więcej pieniędzy za dowieszenie mnie na adres innego drohobyczanina, co wyjechał tu na kilka lat przede mną, a który to adres pokazałem mu na kartce papieru. Czekałem przed domem, nikt nie odpowiadał na moje pukania, wreszcie, spostrzegłszy, że drzwi nie są zamknięte, wszedłem do środka. W łóżeczku spało małe dziecko. W końcu, gdy rodzice dziecka wrócili, okazało się, że byli w kinie i zostawili wszystko otwarte. Tu nie było złodziei; wszyscy nasi to byli idealisci i ludzie niemal święci; Arabowie z małymi wyjątkami też byli uczciwi. Toteż ówczesny burmistrz Tel-Awivu, Dizengoff (dziś ulica najpiękniejszych sklepów nosi jego imię) powiedział: „*Musimy być normalnym narodem i marzę o dniu kiedy w Palestynie znajdzie się pierwszy żydowski złodziej i pierwsza żydowska prostytutka*”. Dziś —

uśmiecha się Benio — Dizengoff nie miałby takich marzeń, a miałby *tamte curesy*, bo posiadamy już za dużo własnych kanciarzy, złodziei i prostytutek. Jesteśmy normalnym narodem...

Kiedy pierwsza grupa *kibbutzników* przybyła tu 35 lat temu, była tu pustynia, pagóry piachu gdzieś tam ze zrudziałą trawą, błota w dolinie rzeczki Poleg, Arabowie i ani jednego drzewa. Benio przeszedł malarię 9 razy, inni przechodzili po 14 razy. Ręce miał w bąblach, nogi krwawiły, praca była nieraz po prostu ponad siły, a w nocy jeszcze trzeba było zaciągać warty, bo Arabowie często strzelali. Pierwszy budynek, wzniesiony wspólnym wysiłkiem, był czymś w rodzaju fortu. Dziś jest tu podręczna składnica łopat i narzędzi, oglądamy tę dawną placówkę, na dachu jeszcze leżą worki z piaskiem. Od tego miejsca zaczynamy naszą pieszą wędrówkę po kibucu. Benio chodzi tu jak gospodarz i oprowadzając nas udziela wyjaśnień w rodzaju: *te drzewa sadziliśmy jak Rabinowiczom urodziło się pierwsze dziecko; te kurniki zaczęliśmy budować kiedy ledwo wyszliśmy z epidemii grypy; ów żywopłot zaplanowaliśmy jak przyjechał do nas skrzypek z Tel-Awivu aby dać w świetlicy pierwszy koncert; tę drogę robiliśmy po osuszeniu bagien, gdy przyjechali nowi kibucnicy z Sosnowca.*

Dla niego wszystko tu wiąże się z jakimś wydarzeniem; wszystko powstawało na jego oczach, w jego obecności, jego potem i pomyślunkiem, każde drzewko ma tu swą historię i rodowód, za każdym drzewem — a była tu goła pustynia — stoi jakaś ludzka walka z losem, nieraz tragedia: „*Tu padł pierwszy z nas od kuli arabskiej*” — mówi cicho.

Dziś kibuc ma 200 sztuk bydła hodowanego na mięso, 20.000 kur znosi 10.000 jaj dziennie, uprawny obszar wynosi 3.000 dunamów. (Dunam to tysiąc metrów kwadratowych). Na tysiącu dunamów są pardedesy, czyli plantacje pomarańczowe, na drugim tysiącu rośnie bawełna, na trzecim są ziemniaki, pomidory i ogórki. W ki-

bucu pracuje 60 rodzin, czyli jakieś 130 osób, kibuc ma własną szkołę zawodową dla dzieci, a także wytwórnię prefabrykatów cementowych na domy, płyty i magazyny, gdzie pracuje ponad 200 osób, przeważnie spoza kibucu. Ponieważ teraz są wakacje i dzieci tu nie ma, bo wyjechały do rodzin, albo do obozów, szkołę przemieniono na ośrodek wakacyjno-wypoczynkowy dla starszych, gdzie spędza urlop około 250 osób, płacąc za pobyt — co podnosi dochód kibucu. Ową szkołę zwiedziliśmy dokładnie — chodzi o cały kompleks budynków w zieleni parków i z lampionami oświetlenia — wszystko to wygląda na czystutki pensjonat. Właśnie obsługa nakrywa w jadalni, zastawia stoły słóikami ogórków własnej roboty — *nigdy w życiu nie jadłem tak wspaniałych kiszonych ogórków z koperkiem jak w Izraelu!* — salaterkami pełnymi sałat i kompotów, co chwila zaglądamy tu letnicy, czy daleko jeszcze do kolacji. Ubrani są dostаточно, wyglądają zdrowo i rozmawiają z sobą. Bardzo często po polsku.

W ciągu roku szkolnego dzieci uczą się tu przez pół dnia, a popołudniu przy robotach specjalizują się w pracy na roli, w kuchni, w ślusarni czy betoniarni. Każdy w szkole czy w kibucu ma swe regularne dyżury w kuchni lub w jadalni i bez względu na funkcję jaką zajmuje w hierarchii, myje naczynia i podaje do stołu. Nazajutrz w cichą i senną sobotę Benio ma swój dyżur od 8-ej rano do 1-ej w południe i nie może się z nami spotkać, więc chodzimy sami, wtykamy nosa gdzie tylko mamy ochotę i nikt o nic nas nie pyta. Każdy przybysz czy gość w kibucu otrzymuje wyżywienie bezpłatnie i bez najmniejszych formalności, co już jest tradycją kibuców.

Jak się tu żyje? Śniadania podaje się w zbiorowej jadalni od 6-ej rano do 8-ej. W sobotę, która jest tu dniem odpoczynku, śniadanie można otrzymać od 7-ej do 10-ej rano, obiady są zawsze w południe, a kolację podaje się siedem dni w tygodniu od 7-ej do 8-ej wieczór. W piątek kończy się pracę w południe, bo nadchodzi szabes,

wieczorem jest trochę lepsza kolacja przy zapalonych świecach. Na wieczorne śpiewy, nietylko religijne, co tradycyjne, spóźnił się nieco, ale już byliśmy obecni przy odczytaniu *kidusz*, co odprawił senior kibucu, 92-letni starzec, jeszcze ciągle pracujący, aby się przydać (jest buchalterem), choć doszedłszy do wieku emerytalnego (65 lat) mógłby już nic nie robić, a dalej korzysta z wszelkich świadczeń kibucowych. Chorym można jedzenie wynieść do domu, co uczyniła druga córka Benia, Aylia, albowiem matka miała akurat jakąś grypę żółdkową. W domu — jak stwierdziliśmy w kilku miejscach — każdy ma lodówkę, w której trzyma się alkohol, napoje owocowe i owoce, na wypadek gdy się chce coś u siebie zjeść, albo kogoś ugościć. U Sharonich otrzymaliśmy kawę, ciasta (*polski placek ze śliwkami*, co podkreślono) i czekoladki, a także kawon, nie mówiąc już o wódce. To starohebrajski napój Carmel-Wishniak. Na kolację w piątek w zbiorowej jadalni był rosół z kłuseczkami, pieczywo i pieczona kura z ryżem i jarzynkami, wszystko to produkty własne kibucu Tel-Itzhak. Każdy może poprosić o repetę ile tylko może zjeść. Do tego przewyborne ogórki małosolne i pikle własnej roboty, tudzież własne dżemy i soki owocowe do zimnej źródlanej wody. Na stole było poddostatkiem czystych papierowych serwetek. Talerze są plastikowe, aby się nie tłukły, bo często zmywają je panowie. Pomimo gotowania na dużą ilość ludzi, jedzenie ma cechy kuchni domowej, co jako były wieloletni szef po nawet najlepszych hotelach i restauracjach, mogę ocenić i czemu przyświadczam. Po kolacji zetknęliśmy się w domku Sharonich z Mundkiem Szeferem z Borysławia, trenerem narodowej piłkarskiej drużyny izraelskiej. Jako 15-letni chłopak przybył do Drohobycza i jeszcze przed wojną zdołał zagrać 4 mecze w drohobyckim „Betarze” na lewym skrzydle. Mówi on tak pięknym bałakiem, jak gdyby z Drohobycza wyjechał dziś rano. Opowiada nam o wielkiej komisji — o czym czytaliśmy w gazetach —

albowiem zarzucił on naczelnym władzom piłkarskim Izraela „robienie” meczów, branie łapówek i przekupywanie graczy i sędziów. W związku z tą sprawą był duży szum w całym kraju — tak tu się mówi o Izraelu: *jak się panu u nas w kraju podoba?* — gazety rozpisywały się na całe szpalty, ludzie dyskutowali gorączkowo, ciągnęło się to przez wiele tygodni. Komentarz Mundka Szefera? Naprzód wzruszenie ramionami, a potem: *No, cóż? Stajemy się normalnym narodem i państwem, już mamy własne mafie i machlojki. Dawniej Żydzi, panie Chciuk, byli jak krzyżowcy, idealisci, a dziś już nic z tych rzeczy...* Mundek jest instruktorem wychowania fizycznego w Instytucie Wingate, ale o nim przy innej okazji.

Dyrektorem rafinerii „Galicja” w Drohobyczu był inż. Józef Metzis i przed śmiercią zapisał 50.000 dolarów amerykańskich na różne cele charytatywne z zastrzeżeniem jednak, że jedna trzecia tej sumy ma pójść na sieroty żydowskie, zaś wykonawcą testamentu uczynił inż. Rotenberga, też z Drohobycza. Dziwnym trafem tegoż Rotenberga przypadkowo spotkał Benio w hotelu w Pradze czeskiej, gdy wyjechał był w 1946 roku, aby rewindykować sieroty żydowskie przechowane najczęściej po klasztorach w czasie okupacji. Kibucnicy z Tel-Itzhak umarzyli sobie, że oni zajmą się takimi sierotami i wszczepią w nie na nowo ducha żydowskiego. Ówczesne angielskie władze mandatowe obiecały, że będą łożyć na utrzymanie szkoły, ale budynek muszą postawić sami kibucnicy. Benio więc namówił nieznanego przedtem Rotenberga i w ten sposób 18.000 dolarów Metzisa wniosło ową szkołę, którą już zwiedziliśmy. Tablica pamiątkowa głosi, że szkoła nosi imię *znanego dobroczyńcy Józefa Metzisa z Drohobycza*. Naprzód były wychowywane w niej owe żydowskie sieroty, a gdy odeszły do kibucu, lub na studia, na ich miejsce przyszły dzieci afrykańskie i azjatyckie. (W Izraelu *Polak* znaczy Żyd z Polski, *Węgier* — Żyd z Węgier itp.; o takim Polaku jak ja, co nie jest Żydem, dodaje się: *Polak chrześcijanin*,

albo *goj*. Stąd te dzieci Żydów z Afryki czy z Azji, nazywamy tak jak je zwie Benio: *afrykańskie* i *azjatyckie*). Te dzieci żydowskie z Marokka czy z Iraku najczęściej nie umiały trzymać widelca, o nożu zaś wiedziały, iż służy do zabijania. Z tych dzieci, które nieraz zajmowały się doprowadzaniem klientów do prostytutki, wyrosli normalni ludzie.

W Izraelu — według danych z sierpnia 1971 — istnieje 201 kibuców, różnej wielkości i zasobności*. Są takie, co swych członków na urlopy posyłają za granicę, do Europy, głównie do Szwajcarii, która cieszy się tu olbrzymią popularnością i każdy tu marzy o urlopie w Szwajcarii, bo tam chłodno i wszędzie zielono, bo tam wysokie góry i luksus, a w zimie narty. (Chociaż i tu na narty na wzgórze Golan wyjeżdżają niektórzy, np. mój kolega gimnazjalny Marcel Goldwasser; dziś Izrael, poza hokejem na lodzie, uprawia już wszystkie sporty). Są kibuce, które swych członków mogą wysłać na urlop tylko do innych kibuców, bo nie mają tyle pieniędzy, co te większe, nieraz liczące po 3.000 ludzi i stanowiące małe miasta. Typ kibuców z czysto *rolniczych* ulega zmianie na kibuce *przetwórcze*, lub nawet *przemysłowe*. W jednym z nich w koszernym Izraelu, polscy Żydzi hodują świny i produkują takie szynki i krakowskie kiełbasy, że i w Polsce lepszych nie ma. Ale zaludnienie kibuców wynosi tylko 4 % ogólnej liczby ludności Izraela. Natomiast 29 % oficerów armii izraelskiej to wychowankowie kibuców, które już wychowały trzy pokolenia ludzi. Dalsze cyfry: 28 % ofiar Wojny Sześciodniowej to wychowankowie kibuców, czyli że najbardziej eksploatowane i odpowiedzialne stanowiska dostają się młodzieży kibuców. Jest ona energiczna, twarda, ofiarna i umiejąca żyć gromadnie. W kibucu Tel-Itzhak, który jest raczej średnim, a nawet małym kibucem, w szkole Metzisa przebywają dziś dzieci od lat 10 do 15 i uczą się

* Ciekawe, że w kibucach spotyka się najwięcej Żydów z Polski. Czy nie od nas wzięli przywiązanie do roli, magię ziemi, kmiecy upór?

zawodów. Pochodzą przeważnie z rozbitych małżeństw, albo z rodzin mających problemy natury socjalnej, lub psychicznej.

Jak działa kibuc? I jakie ma obecnie problemy? Dzieci po 6 tygodniach od urodzenia zabierane są matkom i wychowywane przez kibuc. Matka dochodzi, aby je karmić, a po pracy, od 4-ej po południu do 8-9-ej wieczorem, zależnie od wieku, dzieci są zabierane lub przychodzą do domu, aby być z rodzicami. Matka zwolniona jest z gotowania, prania i doglądania dzieci w nocy, co dla pracujących często może być kłopotliwe. Dzieci są w pieczy fachowych sił. Kibuc ma lekarza, a dentysta dojeżdża tu dwa razy na tydzień; w innych, większych, są stali dentyści, w mniejszych nie ma stałego lekarza, a tylko siostra szpitalna, czy felczer i lekarz dojeżdżają do ośrodka w oznaczonych dniach i porach. Każdy kibuc ma własny żłóbek, przedszkole i szkołę. Z mniejszych kibuców autobus zabiera dzieci do szkoły do większego ośrodka. Własne szkoły średnie mają tylko bardzo duże kibuce; zazwyczaj kilka mniejszych kibuców utrzymuje wspólnie gimnazjum, to samo odnosi się do pakowni pomarańcz, jaką np. Tel-Itzhak od niedawna ma wspólnie z sąsiednimi kibucami uprawiającymi pomarańcze. (Benio memu bratu do Radia Wolnej Europy co roku posyła skrzynkę pomarańcz z własnego kibucu. *Na Gwiazdkę!* — dodaje).

Wielu ludziom wydaje się to nieludzkie, iż matka i ojciec widzą dziecko tylko przez 4-5 godzin dziennie, ale z drugiej strony które małżeństwo, prowadząc normalne życie i gospodarstwo może sobie pozwolić na to, by bawić się z własnym dzieckiem przez 5 godzin? Zwykle i matka i ojciec mają tyle do roboty, że rzadko kiedy kontakt z dziećmi przekracza zdawkowe rozmowy, od kilku minut do kilku kwadransów. Nikt zresztą tego wychowania dzieci przez kibuc nie uważa za rozwiązanie idealne i ciągle trwają spory na ten temat, niemniej jest to rozwiązanie bardzo praktyczne dla rodziców i społec-

ności. A jakie jest dla dzieci? Interesująca jest obserwacja, że dzieci wychowane w kibucu, kiedy się łączą w małżeństwo, chcą mieć dzieci u siebie, nie chcą się z nimi rozdzielać. Natomiast dzieci żyjące w domu rodziców, nierzadko będące świadkami kłótni czy problemów, z chwilą kiedy się pobiorą, wolą swoje własne potomstwo oddać na wychowanie kibucowi. I potem znowu ich dzieci wychowane gromadnie, buntują się i zakładając nowe rodziny, nie chcą rozdzielać się ze swymi dziećmi, mając nadzieję, że ciepło domu rodzinnego pomoże dzieciom uniknąć w przyszłości wielu problemów. Zresztą coraz więcej młodzieży ciągnie do miasta i w sumie ludność kibuców nie zwiększa się a często nawet kurczy. Ten współczesny ciąg do miasta jest wspólnym trendem społeczeństw w każdym systemie i pod każdą szerokością geograficzną, bez względu na rozwój cywilizacyjny.

Kibuce zaspakajają wszystkie potrzeby swych członków, którzy wszyscy są dobrowolnymi członkami spółdzielni w pełni tego słowa. I każdej chwili mogą kibuc opuścić bez szyszan. Nie wszystkim ludziom odpowiada typ życia gromadnego; indywidualiści nieraz — niesłusznie zresztą — porównują kibuce do kołchozów, ale jest też prawda, że nie tylko dla idealistów jak Benio i jego żona, którzy wprost nie mogą sobie wyobrazić życia poza kibucem, ale i dla ludzi nie lubiących miasta, jego pogoni za zarobkiem, a także dla ludzi bojących się odpowiedzialności za losy rodziny, kibuc jest instytucją wspólną. Bo w kibucu na wypadek choroby, czy starości każdy ma wraz z rodziną zabezpieczony dach nad głową i wszelkie inne świadczenia: jedzenie, mieszkanie, opiekę lekarską, wykształcenie dzieci, rozrywki kulturalne i pewną sumę pieniędzy na własne wydatki i ubiór; wysokość tych dotacji uchwała na przyszły rok cały kibuc po wysłuchaniu sprawozdania władz swej spółdzielni za rok ubiegły. Izrael jest ciężko opodatkowany, podczas gdy członkowie kibucu albo są całkowicie czy częściowo zwolnieni z podatków, albo płacą tylko podatki pośred-

nie, gdy kupują papierosy, albo alkohol, czy przedmioty zbytku. Ryczałt uchwalony przez samorząd, wybierany przez cały kibuc, każdy wydatkuje jak sam tylko chce. Dawniej, jeszcze 20 lat temu, ludność kibuców odzieżą wyraźnie się odróżniała od ludności miejskiej; jej ubiory były bardziej wiejskie. Lecz i tu dał się odczuć światowy trend: wszyscy na całym cywilizowanym świecie są dziś jednakowo odziani, a Izrael jest jedynym realnym i normalnym państwem w otoczeniu 14 państw i państweczek arabskich. Ludność Izraela jest tak ubrana jak student z Londynu, urzędnik z Manhattanu, czy farmer australijski z Pimbapumba, a najczęściej widzi się tu kracje jak z Champs Elysées, czy z Rzymu. Jedynie u Arabów izraelskich, szczególnie wśród starszego społeczeństwa, no i u Żydów ortodoksów, czy nowoprzybyłych Żydów z Afryki i Azji, zachowały się ich dawne stroje tradycyjne. Ale i one zanikają.

Poza ciągiem do miasta, poza pociągiem do luksusu i do *gadgets*, u młodego pokolenia zanika też dawny duch poświęcenia, który istniał, kiedy jeszcze walczono o wprowadzenie idei kibuców w życie. Dziś, gdy eksperyment ten trwa od 60 lat i już nie tylko się udał, ale dla wielu stał się *way of life*, ludzie się zmieniają. Chcą mniej się poświęcać, a więcej mieć z życia. Ileż lat człowiek może trwać w zbrojnym pogotowiu, wyrzekać się wszystkiego, i wszystko poświęcać dla wspólnego dobra? Tu dotykamy najbardziej charakterystycznego problemu Izraela. Istnieje ciągłe zagrożenie ze strony Arabów, którzy Żydów chcą zniszczyć i zepchnąć do morza, podczas gdy Żydzi — cokolwiek by się powiedziało o ich prawach historycznych i o ich polityce — nie są zaborczo nastawieni: walczą tylko o swe życie. To stałe zagrożenie arabskie jest dla Izraelczyków *i przekleństwem i błogosławieństwem*, choć to wygląda może na paradoks. Gdyby nie stałe i realne niebezpieczeństwo arabskie, miliardy dolarów z budżetu i dochodu narodowego można by wydać na szpitale, szkoły, drogi i opiekę społeczną,

nie mówiąc już o rozbudowie przemysłu i bogactwa narodowego. To jest jasne. Ale z drugiej strony, gdyby nie to kosztowne i zżerające nerwy zagrożenie, Izrael, stający się coraz bardziej normalnym narodem i społeczeństwem, jeszcze szybciej uległby demoralizacji, bo już teraz słyszy się tu sporo utyskiwań. Istnieją *Black Panthers* (rekrutowani z „czarnych” Żydów, a nazywani tu: *Czarni Panterzy*), są tu narkomani, są mafie i kanciarze, widzi się wszystkie symptomy nowoczesnego społeczeństwa konsumpcyjnego, mimo że ogólnie biorąc młodzież izraelska jest ciągle wspaniała, a społeczeństwo zdyscyplinowane jak nigdzie indziej. „*Was können wir dafür?*” — mówi mi pewna córka emigrantów z Niemiec. — „My wszyscy się zmieniamy, nie można być bohaterem i świętym przez okrągłe 24 godzin dziennie i przez 365 dni w roku...”.

Ale wracamy do Benia.

— Dawniej, gdy ciężarówka dowożąca prowianty do kibucu spóźniła się, bo miała defekt w drodze i przyjechała o 12-ej w nocy — mówi Benio — wystarczyło zapukać w dwa-trzy okna, a ludzie natychmiast się zrywali i szli wyładowywać wóz, gdyż wiedzieli, że na 6.30 rano ciężarówka może być potrzebna do innej roboty. A dziś? Gdy ciężarówka przyjedzie kwadrans po czwartej (Benio mówi jak każe bałak: *kwandrans*), nikogo to nie obchodzi. Każdy skończył o czwartej pracę, zrzucił robocze ubranie, wykąpał się, włożył coś eleganckiego i odpoczywa. Dawniej, 30 lat temu, kiedy za dojazd autobusem do miejsca pracy płaciło się jednego piastra, zaproponowałem, abyśmy chodzili rano i po pracy te pięć kilometrów na pieszkę — w ten upał, kiedy to nie raz jedliśmy po pół jajka, bo nie było pieniędzy na więcej — pomyśl! — i z tych zaoszczędzonych przez każdego 12 piastów tygodniowo, w piątek wieczorem mogliśmy sobie pozwolić na sprowadzenie pianisty, czy skrzypka z Tel-Awivu, aby dał nam koncert w szopie. Dziś kino i teatr, we własnym amfiteatrze na wolnym powietrzu — *istotnie jest tu taki i sprawia ogromne wrażenie,*

widzieliśmy go i byliśmy nim urzeczeni — to rzecz normalna — wzdycha Benio i na chwilę się rozmarza, że widać w nim dumę gospodarza i inicjatora owego projektu. Ba, ja sam teraz — dodaje z zazenowanym uśmiechem — gdy mi wóz nawali i mają go zreperować dopiero za trzy godziny, czekam spokojnie i nie denerwuję się, ani nie gnam na rowerze do Netanyi w sprawie zamówień dla betoniarni, bo upał, bo chyba się starzeję, bo ja wim, może si wszyscy zmieniamy? — pyta mnie. Dobrobyt wszystkich psuje i trochę rozleniwia. Tym bardziej, że ci, co pazurami rwali tę ziemię i znosili wszelkie możliwe przeciwności i niedostatki, czują się nieco pokrzywdzeni, iż nowoprzybyli dostają nieraz wszystko gotowe pod nos, idą na kurs języka „ulpan” i są zwolnieni z podatków. Każdy rozumie, że trzeba kraj zaludnić i że ludziom nawykłym w innych krajach do wyższego standardu życiowego dać tu zachęcające warunki. Lecz choć każdy rozumie i nikt nie kwestionuje polityki rządu, poczucie żalu trwa...

Po chwili Benio dodaje kilka zdań, a widać ze zmarszczek na jego czole, iż często o tym myśli:

— Wiesz, bolała mnie niechęć ojca, przez przeszło rok do mnie słowa nie napisał, nie istniałem dla niego, ale jeszcze zanim cała rodzina poszła z dymem, czy rozwalona została w poddrohobyckiej Bronicy, on chyba rozumiał, że miałem rację. Nawet teraz, choć jestem nie pierwszej młodości, mógłbym jeszcze urządzić się w mieście, miałem propozycje na wysokie stanowiska rządowe, czy w prywatnych przedsiębiorstwach, mógłbym zarabiać naprawdę dużo i większą część z tego oddawać na cele społeczne, by okupić ewentualne poczucie winy i sprzeniewierzenie się idei, lecz ja nigdy nie dobijam się o nic dla siebie. A tego kibucu nie opuszczę. Przede wszystkim żona moja tak samo o tym myśli i doszła do tego samego wniosku. Ponadto ja tym ludziom jestem potrzebny. To dużo znaczy *być komuś bardzo potrzebnym*. To jest chyba najważniejsze — kończy ciszej i spod swych krzacz-

tych brwi patrzy na mnie spokojnie swymi niebieskoszarymi drohobyckimi oczyma.

To taka męska i żydowska wersja, „Siłaczki” Żeromskiego.

Kiedy zaś późną nocą gnamy pięknymi szosami do Tel-Awivu — wszystkie skrzyżowania szos i autostrad są tu oświetlone i widoczne z daleka, Benio Sharoni gada i gada bez przerwy po polsku — *ta, poprawci mnie, jakbym byki robił, ta co ja si tak z wami rozgadał?* — i opowiada, jak do pewnego kibucu, którego nazwy nie zapamiętałem, przyjechała przed Wojną Sześciodniową wycieczka kolchoźników sowieckich. Zwiedzili kibuc, był dość duży, choć nie na pokaz, jak to się robi w Rosji, kiwali głowami grzecznie i słuchali, wreszcie spytali, czy mogą zadać kilka pytań.

— No i wiesz, co *pastuchy* si pytali? *A gdzie tu jest izba wytrzeźwień?* I nie wierzyli że nie ma potrzeby na taką rzecz. *No, to gdzie tu jest więzienie?* Koło Haify, odpowiedziano im. *A tu ni ma?* Ni ma, bo ni ma potrzeby. Więc wreszcie zadają ostatnie pytanie: *A jak ktoś jest chory to musi iść do lekarza, czy lekpoma i czy oni dają chętnie zwolnienie?* Nie trzeba żadnego zwolnienia, żadnego papieru, jak ktoś mówi, że jest chory, to mu się wierzy. I on nie musi wychodzić do pracy. Tego już było Ruskim za dużo, uważali to wszystko za propagandę, widział ty kacapów?...

Potem opowiadamy sobie o dziewczynkach i belfrach, o meczach i ulicach drohobyckich, o kolegach, co przeżyli i co zginęli i gdzie teraz żywi wylądowali. Z lekkim żalem Benio mówi mi o Milku T., którego spotkaliśmy w Monachium i który zaprosił nas na wystawną kolację do *Luitpold Café*: „Ta on był taki sam syjonista jak ja, my razem wtedy mieli nasze zbiórki na Górcę, opiekował się nami wiceprezydent miasta dr Tannenbaum. Milek dziś zbił ciężką forszę na *Wiedergutmachung*, robi tam interesy, tu czasem przyjeżdża, ali zostać na stałe, to go ni ma... No, zrób mu dziecko na plecy, on, jak i inni

nasi drohobyccy chłopcy wolą żyć w świecie. Ale ja mego kroku nie żałuję. Im czasem musi być żółto w buzi, sztemp...

Potem rozmawiamy o Krawczyszynie, o Magellanie, o kolegach, o pięknej Żeni Zasławskiej, której brat teraz jest lekarzem w Szwajcarii, o synu dyrektora żydowskiego gimnazjum, młodym Blacie, który też mieszka gdzieś koło Berna czy Zurychu, Benio pyta mnie o moją rodzinę i wojenne losy, rozmawiamy o bracie Tadeuszu, który kilka lat temu, korzystając z pomocy Benia i jego kontaktów nakręcił dla Radia Wolnej Europy sporo audycji poświęconych rolnictwu izraelskiemu i konserwacji wody, wreszcie Benio mówi tak:

— No, popatrz, jaka to święta i zasrana ta magia tego całego Drohobycza? Ta ili ja w nim żył? Ta ja z niego wyjechał jak miał 18 lat, a pamiętać chyba zaczął jak miał sześć-siedem lat. Czyli co? Tam dziesięć-jedenaście lat życia miglancu i ucznia, tu zaś już jestem od 36 lat, ja tu należę, ja ten kraj budowałem i walczyłem o niego, lecz *tamto* si przypomina i śni po nocach, ty widział?

CODZIENNE ŻYCIE W IZRAELU (I)

Ażeby lepiej zrozumieć problemy Izraela i mieć pełniejszy obraz jego życia codziennego, należy wprzód poznać trochę danych i kilka ciekawostek o tym kraju.

Ludność Izraela w połowie roku 1971 przekroczyła 3.000.000 obywateli. Ponadto na terenach pozostających pod administracją izraelską od czasu zwycięskiej Wojny Sześciodniowej mieszka 1.000.000 Arabów, przeważnie mahometan.

Ludność właściwego Izraela dzieli się na 2.600.000 Żydów, 336.000 muzułmanów, 78.000 chrześcijan — głównie Arabów — oraz 37.000 Druzów. Oprócz Arabów-chrześcijan żyje tu około 8.000 Europejczyków różnych narodowości, przeważnie kler i zakonnice kilku wyznań chrześcijańskich.

Z trzydziestu kilku wyznań i sekt chrześcijańskich najliczniejsi są greko-katolicy (25.000), greccy ortodoksi-prawosławni (22.000), rzymsko-katolicy (16.000) i maronici (3.000); protestanci liczą około 5.500 wiernych, są to anglikanie, prezbiterianie, baptyści i luteranie. Podobną ilością mogą się pochwalić Kościoły Wschodnie: ormiańsko-gruziński, koptyjski, etiopski i syryjski prawosławny. Wszystkie te kościoły posiadają około 400 świątyń i kaplic, 2.500 duchownych, oraz 160 mnichów i 600

zakonnicy należących do 30 katolickich zakonów. W Jerozolimie ma swą siedzibę 4 patriarchów kilku wyznań i kilkunastu arcybiskupów i biskupów. Wszystkie wyznania nieżydowskie cieszą się taką samą wolnością i autonomicznością jak i panujące wyznanie mojżeszowe, oraz poparciem finansowym państwa poprzez Ministerstwo Wyznań Religijnych; Departament Zabytków i Muzeów wspomaga gminy wyznaniowe w odnawianiu i utrzymywaniu ich świątyń. Każde wyznanie obchodzi swoje święta i swoje dni odpoczynku: Żydzi w sobotę, muzułmanie w piątek, chrześcijanie w niedzielę. O ile urlopy roczne w Izraelu nie są długie (do 3 tygodni) to trzeba dodać, że obowiązujących świąt narodowych i religijnych żydowskich kalendarz na rok 1971 przewiduje oficjalnie 21. Tyle świąt narodowych, państwowych i obowiązujących religijnych nie ma chyba żadne inne państwo!

Druzowie, których pochodzenie nie jest jeszcze dokładnie zbadane, są odłamem mahometan, istniejącym na tej ziemi od XI wieku. Nie noszą arabskich nakryć głowy lecz krymkowe czapki; nie cierpią Arabów, są najlojalniejszymi obywatelami Izraela, służą w wojsku i stanowią jego elitarne oddziały. Znani są ze swej bitności i pasterstwa. Żyją głównie w 18 wioskach w Galilei na górach Karmel, a w dniu 24 kwietnia odbywają doroczną pielgrzymkę do grobu Jethro, który był teściem Mojżesza. Na terenach zdobytych — chodzi tu o wzgórze Golan — mieszka ich ponadto 8.000. Mają teraz nareszcie kontakt z braćmi mieszkającymi na terenie dawnego Izraela. Ich doroczna pielgrzymka ma miejsce w dniu 25 sierpnia i odbywają ją do grobu Nebi Ya'four. Druzowie posiadają w parlamencie izraelskim jednego posła, Arabowie z różnych list — pięciu. W tym jednego wice-marszałka sejmu.

Wolne państwo izraelskie zostało proklamowane 14 maja 1948, czyli — według kalendarza żydowskiego — piątego dnia miesiąca Iyar, roku 5708. *Prawo Powrotu,*

uchwalone dnia 5 lipca 1950 potwierdza, że każdy Żyd, skądkolwiek by nie przybył, ma z natury rzeczy prawo osiedlenia się w Izraelu. Oficjalnymi językami Izraela są hebrajski i arabski. Arabski może być używany w sejmie, sądzie, w podaniach do władz itp. Widać go także na banknotach, znaczkach pocztowych, pieczęciach i nazwach ulic. Jeżeli na głowie Araba dostrzeże się czarną opaskę na okryciu głowy (zawój), znaczy to, iż odbył pielgrzymkę do Mekki i Medyny, jaką każdy wierzący mahometanin zobowiązany jest odbyć przynajmniej raz w życiu. Ale takich opasek nie widziałem na głowach Arabów młodych lub nawet w średnim wieku. Od powstania bowiem Izraela ościenne państwa arabskie nie pozwalają Arabom, obywatelom Izraela, na taką pielgrzymkę.

Prezydentem Izraela (trzecim, po śmierci dr. Ch. Weizmanna i Izhaka Ben-Zvi) jest obecnie Schneur Zalman Shazar. Wybrano go po raz pierwszy 21 maja 1963, obecnie trwa jego druga kadencja. Władzę sprawuje rząd odpowiedzialny przed parlamentem. W chwili obecnej czyni to drugi gabinet jedności narodowej pod przewodnictwem premiera, którym jest Golda Meir. Poprzednimi premierami byli: Dawid Ben Gurion (dwukrotnie, teraz wycofał się z życia politycznego i na wsi pisze pamiętniki i dzieła filozoficzne) oraz Moshe Sharett i Levi Eshkol; obaj już zmarli. Koalicja dwóch syjonistycznych partii pracy — jak gdyby PPS i PPS-Lewica, czyli Mapai i Mapam — łącznie z listami arabskimi afiliowanymi do socjalistów, dzierży w obecnym sejmie 60 mandatów na 120. Następną co do wielkości partią są liberałowie, czyli Blok Liberałów razem z *Herut* posiadający 26 posłów. Liberałowie powstałi w roku 1961 z połączenia syjonistów umiarkowanych z postępowymi. Dalej idzie Narodowa Partia Religijna (12 mandatów) i inne mniejsze ugrupowania, jak niezależni liberałowie, komuniści prochińscy i promoskiewscy itp. Charakterystyczne jest, że Narodowa Partia Religijna — nazwa tłumaczy o kogo

chodzi — zdobyła w rządzie jedności narodowej teki ministerstwa spraw wewnętrznych, wyznań, opieki społecznej oraz tekę wiceministra oświaty. Są to kluczowe pozycje jeśli chodzi o możliwości wywierania nacisku na społeczeństwo i utrzymywania charakteru religijnego w państwie.

Powierzchnia Izraela — w obecnych granicach po zawieszeniu broni w wyniku zwycięskiej Sześciodniowej Wojny — wynosi 90.000 km. kwadratowych, czyli 35.000 mil kw. Jest to już obszar powiększony o pustynny prawie Synaj i o tereny których zdobycie wyrównało do Jordanu bardzo mozajkową i postrzępioną przed 1967 rokiem sylwetkę Izraela. Granice lądowe kraju wynoszą 842 km, czyli 523 mil długości, morskie są dłuższe: 1.328 km, albo 825 mil. Izrael, jak każdy wie, jest dalej długą kiszka i jego szerokość wynosi na długiej przestrzeni nie więcej niż 60 km.

Ulubionym pytaniem każdego Izraelczyka wobec turysty jest: *co pan zwiedził w naszym kraju?* poza sakramentalnym: *jak się panu u nas w kraju podoba?* Gdy po miesięcznym pobycie wyliczaliśmy miejscowości, które zwiedziliśmy w Izraelu, nieodmiennie słyszeliśmy odpowiedź: *No, dobrze, to przed południem, a co zwiedzi-licie popołudniu?* Kiedy znajomi pytali nas, czy rodzice żony mieszkają z nami, ona odpowiadała, że na święta jedzie z Melbourne do Brisbane. *Jak to daleko?* Trzy godziny. *To niedaleko* — odpowiadali — *ale czym, autem?* Nie, samolotem. *Boże, dziwili się to strasznie daleko, u nas w kraju przez całą długość leci się z godzinę, a wszereż? można się pomylić i wylądować u wrogów lub w morzu.*

Żydowska ludność Izraela w roku 1948 wynosiła niecałe 650.000. Tyle samo do dziś wynosi jej przyrost naturalny. Ale dwa razy tyle — bo ponad 1.300.000 ludzi — przybyło tu ze stu różnych krajów, jako imigracja, czyli *Aliyah*. W wyniku nagłych prześladowań Żydów w Iraku przerzucono mostem lotniczym 110.000 osób

w ciągu kilku tygodni w lipcu 1951. Z Jemenu w 1950 w podobnych warunkach i z identycznych przyczyn przewieziono ich 45.000. W latach 1949-51 przybyło do Izraela 335.000 Żydów „białych”, a „czarnych” ponad 330.000 z Afryki i Azji; w latach 1955-7 pierwszych zjechało 50.000, drugich 110.000; ogólnie do roku 1969 „białych” Żydów zjechało 578.000 a „czarnych” 697.000. 35 % ludności Izraela to autochtoni, za to reszta przybyła dosłownie z całego świata. 28,1 % imigrantów pochodzi z Europy i Ameryki. 37 % to Żydzi z Azji i Afryki. Z ludności urodzonej w Izraelu 17 % miało ojców także tu urodzonych, 36 % w Europie i Ameryce, 47 % w Afryce i Azji. Żadna statystyka nie może — a na pewno i nie chce — dokładnie stwierdzić: *ilu obywateli dzisiejszego Izraela to ludzie „kolorowi”*. Biorąc pod uwagę, że europejscy Żydzi (ashkenazim) posiadają przeciętnie po dwoje lub troje dzieci, zaś „kolorowi” (sephardim) po pięcioro i dwanaścioro, Izrael w ciągu jednego pokolenia, lub dwóch najwyżej, stanie się państwem kolorowym, czyli azjatyckim. Pomimo wrodzonej inteligencji i bystrości Żydzi azjatyccy czy afrykańscy („frankowie”, sfardyjscy, „czarni” itp.) cywilizacyjnie stoją dużo niżej od Żydów europejskich, siłą rzeczy zajmują dużo niższe stanowiska, nie mają takiego jak Europejczycy, albo żadnego wykształcenia, co w wyniku przynosi nieuniknione tarcia, animozje i pretensje; ich zwyczaje, stroje i sposób życia, nawet kuchnia są odmienne. Spotkałem się kilkakrotnie — i niezawsze była to tylko kpina — z opiniami „czarnych”, że *na-przód trzeba uspokoić Arabów, a potem wyróżnić „białych” Żydów: ashkenazim*. (W hebrajskim końcówka *im* oznacza liczbę mnogą: *goyim, kibbutzim* itd.). Wszystkie publikacje propagandowe ukazują z reguły białe i śniade twarze uśmiechnięte i razem. W życiu codziennym bywa inaczej. I pomimo dużych wysiłków czynników oficjalnych i pomimo znacznej poprawy nawet na tym odcinku, ten problem istnieje. Ograniczę się tu nie

do tego, co mi opowiadano, ale co sam widziałem:

W Rosh Hanikra nad granicą libańską gdzie kolejka linowa dowozi turystów do grot, „czarni” wypychali „białych” (nas też) z ogonka po bilet. W Kefar Saba (pisanej także Kefar Sava, lub Kfar Saba, albo Sava) widzieliśmy nie tylko stare bóżnice Żydów niemieckich i węgierskich, którzy dalej wolą się osobno modlić w swoim gronie, ale i dwie nowocześnie zbudowane i wyposażone bóżnice, dar jakiegoś bogatego *Amerykanina* (czytaj: Żyda z Ameryki). Pod *jednym* dachem są tam *dwie* synagogi: jedna dla *ashkenazim*, druga, oddzielna, dla Żydów sfardyjskich, czyli kolorowych. W Tel-Awivie mieszkaliśmy nad samym morzem na pograniczu Jaffy, przy ulicy Herbert Samuel; za murem była szkoła powszechna. Gdy tylko zaczął się pierwszego września nowy rok szkolny, budynek i place pełne były wrzawy i komend, bo maluchy pod rozkazy nauczycieli wykonywały gimnastykę i musztrę. Przez dziury w płocie widziałem tam razem ćwiczące dzieci „białe” i „czarne”. Ale gdy popołudniu dzieci opuszczały szkołę, nigdy nie widziałem, by się nawzajem mieszały. Białe szły z białymi, czarne z czarnymi. Jeżeli czarni i biali nie mogą się modlić razem, a ich dzieci nie mogą się razem bawić, to jak obie grupy mają żyć razem w przyszłości? Dochodziły do tego wypadki, że gdy *czarni* otrzymywali nowe mieszkanie, takie jak *biali*, to je byli w stanie zapuścić i niemal zdemolować w kilku tygodni, bo nie używali kuchni gazowej czy elektrycznej, lecz rozpalali ogień na posadzce kuchni.

Stolicą kraju jest Jerozolima, licząca ponad 300.000 mieszkańców. Obok starej Jerozolimy historycznej, gdzie wszystkie religie wreszcie żyją bez szykan, powstaje nowa Jerozolima, izraelska. Ale głównym centrum handlowym jest Tel-Awiv, w który wchodzi dawna Jaffa i inne przedmieścia na północy i wschodzie, co razem z Ramat Gan, praktycznie już włączonym w metropolię, daje 600.000 ludności. W Tel-Awivie, z wyjątkiem Jaffy, nie ma już Arabów; przyjeżdżają oni z prowincji do miasta rano

do pracy i wracają do swych domostw autobusami wieczorem. W Jerozolimie i w Haifie żyje sporo Arabów, Acra jest czysto arabska. Tylko 17 % ludności nie żyje w miastach, a na wsi. Poza wspomnianymi trzema wielkimi miastami istnieją tu tylko 4 inne dochodzące do 80.000 ludności: Holon, Bat Yam, Beersheba i Petah Tikva. Przeważa w Izraelu typ małego miasteczka. Zarysowują się też tu dziwne schematy: w Tel-Awivie w soboty autobusy nie funkcjonują, jedynie taksówki i *szej-ruty*, czyli duże taksówki kursujące na określonych trasach i pobierające opłaty z góry wyznaczone, trochę wyższe niż ceny biletów autobusowych. Autobusy są w tym kraju podstawą transportu publicznego, są tanie, szybkie i punktualne. I jest ich dużo, a publiczność czekająca na przystankach w ogonkach jest bardzo zdyscyplinowana. Mniej też, niż w innych państwach, widzi się tu ludzi przekraczających ulice nie w miejscach oznaczonych światłami. Nawet gdy ulica jest wolna od ruchu, a światła czerwone, ludzie na ogół czekają. Za to w Haifie autobusy kursują normalnie w soboty. Natomiast w Jerozolimie, gdzie mieszka sporo Żydów ortodoksów, samochód jadący ulicami może zostać obrzucony kamieniami przez fanatyków religijnych. Taki los spotkał zresztą polską wycieczkę z Australii, zorganizowaną przez polskie biuro podróży „Odra”. Z powodu jakiegoś strajku w którymś z krajów po drodze, wycieczka dla zwiedzenia Ziemi Świętej przybyła tu w sobotę, zamiast w piątek. Została obrzucona kamieniami, było kilku rannych.

Ruch jest tu prawostronny, a system dziesiętny. Benzyna kosztuje okropnie dużo, utrzymanie wozu też jest droższe niż gdzie indziej. To samo odnosi się do podatków: są bardzo wysokie. Nie tylko płaci się wysokie cła za artykuły sprowadzane z zagranicy — co jest normalne gdyż idzie o ochronę przemysłu lokalnego — ale i za takie rzeczy, które są konieczne, a których Izrael jeszcze nie produkuje. Znam wypadek, że dziewczyna jechała do Francji na studia, zaproszona tam przez rodzinę, która

opłaciła jej bilet tam i z powrotem, ale nie mogła wyjechać zanim nie zapłaci — specjalnej i dość wysokiej taksy. Jest to tym bardziej znamienne, że na wyższych szkołach izraelskich brak już miejsc i młodzież wyjeżdża na studia do Włoch, Anglii, Niemiec, Francji lub Belgii. Ponieważ rezerwuary imigracyjne żydowskie w innych krajach już się wyczerpały (poza USA i ZSSR), a kraj wciąż trzeba rozbudowywać i zaludniać, pierwszeństwo na uniwersytetach mają studenci żydowscy z Ameryki (mimo że niemało ich stąd potem wyjeżdża), „czarna” ludność, Arabowie, potem byli żołnierze, potem normalna protekcja przez papę, czy wujka w rządzie, a na koniec dopiero idzie zwykła młodzież izraelska. Panuje z tego powodu wielkie rozgoryczenie. I tu też mogą wkrótce wybuchnąć ostre problemy, jak i przy obowiązującym systemie *kluczowego* za mieszkanie i przy przydzielaniu nowych mieszkań w pierwszym rzędzie dla nowych imigrantów, szanse, aby młoda para mogła dojść do mieszkania, są nikłe. Młoda para służyła w wojsku przez dwa lata (ona) lub trzy do pięciu, zależnie od rodzaju broni (on), żołdu dostawali jednego funta izraelskiego, czyli 20 centów amerykańskich dziennie, plus wyżywienie, jeśli chcieli, no i umundurowanie; walczyli za kraj, w znoju go budowali, a gdy chcą założyć ognisko domowe, nie ma mowy by dostali tanie mieszkanie. Tym bardziej, że ceny mieszkań, czy domów budowanych prywatnie poszły ogromnie w górę, gdyż bogaci Żydzi żyjący w innych krajach i nie chcący tu wracać, kupują sobie jednak apartamenty, aby je mieć na wszelki wypadek, lub ażeby w nich mieszkać podczas urlopu spędzanego w kraju.

Lecz choć podatki są tu chyba najwyższe w świecie, cena artykułów pierwszej potrzeby (chleb, mąka, jaja, mleko, cukier, oliwa, ser itp.) jest niska i widać, że nie darmo jest u władzy rząd o większości socjalistycznej. Zaopatrzenie jest świetne i nigdzie ogonków za niczym nie widziałem. Nawet do kina, bo wprowadzona dwa lata temu telewizja zmniejszyła frekwencję do kin. Właścicie-

le kinematografów płaczą, nie wiedzą bowiem, że za rok-dwa publiczność jeszcze częściej będzie chodzić do kina niż przedtem. Na razie gra nowość i zabawka. Potem publiczność stanie się coraz bardziej selektywna i będzie więcej płacić za dobre filmy.

Kraj rozwija się fantastycznie ale to wszystko trzeba zobaczyć na własne oczy: nieraz jest po prostu nie do uwierzenia co tu się robi i jak to się robi. Drogi są świetne i buduje się dużo nowych domów, hoteli, dworców autobusowych — niektóre z nich to cacka i precyzyjne kolosy — wyburza się całe dzielnice i buduje nowe, a jednak poszanowanie prywatnej własności doprowadzone jest nieraz aż do absurdu. Obok nas — pomiędzy domem w którym mieszkaliśmy a Jaffą — wyburzono całą dzielnicę, wykupiono rudery i zaplanowano coś co będzie absolutnie cudne (widziałem plany), ale na środku tej olbrzymiej równiny pełnej gruzu i pustych uliczek stoją sobie jeszcze dwa czy trzy domki, gdzie woźnice „garażują” muły, bo właściciele nie zgadzają się na cenę proponowaną przez państwo i mają czas. Czekają na hojniejsze oferty i je dostaną.

Eksport Izraela w roku 1959 przyniósł 179 milionów dolarów. W 10 lat później wzrósł do 725 milionów. Ilość lądowań międzynarodowych samolotów z 2.272 w roku 1952 wzrosła do 8.844 w roku 1969. Śmiertelność niemowląt — łącznie z prymitywną ludnością arabską — spadła z 48 promille w 1950 do 18 promille w roku 1970. Powierzchnia uprawnej roli w roku 1948 wynosiła 273.000 akrów. W 1969 było już 1.038.000 akrów. Nawodnienie drogą irygacji w tym samym czasie wzrosło z 75.000 akrów do 428.000 akrów. Izrael, który przez całe lata nie miał własnych jarzyn i obchodził się bez nich, a potem je importował, dziś zaspakaja swe potrzeby pod tym względem do wysokości 98 % (reszta przychodzi z Jordanu). W chwili obecnej Izrael eksportuje m.in. jaja, owoce, soki i przetwory owocowe, alkohole i kwiaty. W Europie w 1971 w krajach Wspólne-

go Rynku spotykałem nie tylko izraelskie pomarańcze, cytryny i grejpfruty, albo soki owocowe, ale i co roku do Paryża, czy Londynu przed sezonem idą samolotami setki ton truskawek, czereśni, czy rzodkiewek. Mleczność krów izraelskich przewyższa dziś wydajność krów holenderskich czy duńskich. Kwiaty idą całymi samolotami do Grecji czy Rzymu. Jakość nabiału czy produktów mlecznych izraelskich jest niezwykle wysoka, szczególnie ich *leben*. Lecz przy całej dumie narodowej (bo jest coś z bajki w tych osiągnięciach!) tęsknota za Polską przybiera nieraz groteskowe formy. Ileż to razy słyszeliśmy takie gadki: *To to są jaja?* U nas w Polsce jak było jajko, to żółtko było żółte, a białko białe, a tu co? *Albo ten leben?* U nas w Polsce jak się nastawiło mleko w glinianym garnku na kwaśne, to to było mleko! *Albo te kwiaty?* Nic nie pachną. U nas w Polsce jak się kupiło róże, to one pachniały, róże były róże, a goździki to były goździki! A tu co?

W Izraelu byliśmy w okresie dużych upałów. Ale że i w Australii ich nie brak, to znosiliśmy je dobrze i chodziłem w krawacie. Lecz już na olbrzymim i hałaśliwym dworcu lotniczym w Lod zauważyłem, że poza mną i dwoma celnikami, nawet oficerowie (i wszyscy cywile) chodzili z rozpiętymi kołnierzykami koszul lub w polo. Później miałem się przekonać, że poza zapowiadaczami i komentatorami telewizyjnymi, dosłownie nikt krawatów nie nosi. Na ślubie ponad połowa mężczyzn była bez krawatów.

Wnętrza wszystkich zwiedzanych mieszkań były świetnie urządzone i utrzymane, lecz o utrzymanie murów z zewnątrz prawie nikt nie dba. Prawie też nie widać się ludzi grubych. Biura i sklepy otwierały o 8-ej rano i zamykały na siestę o pierwszej. Potem była przerwa do czwartej, po której urzędowano do 7-ej wieczór. Niektóre magazyny, biura, czy instytucje pracują bez przerwy do 4-ej po południu. Ale najbardziej nas zdziwiło to, że robotnicy budowlani pracują — *na ten upał, w tym*

*klimacie, gdzie Arabowie jeśli dawniej pracowali od 6-ej do 9-ej rano, to już było dużo — za jednym zamachem od 7-ej rano do 4-ej po południu z godzinną przerwą na obiad. Nic więc dziwnego, że większość ludzi zapytanych o wiek wygląda dużo starszej niż w rzeczywistości. Ludność przybyła z innych krajów w tym klimacie i przy tym szalonym tempie starzeje się przedwcześnie. A i tak w grupie wieku od 0 do 14 młodzież żydowska stanowi 30 % narodu, podczas gdy muzułmanie mają jej aż 55 %, Druzowie — 49 %, chrześcijanie — 38,2 %. Natomiast w grupie wieku 45-64 Żydzi mają 19,8 %, podczas gdy muzułmanie liczą tylko 7,6 %. Żydów mających ponad 65 lat jest 7 %, a Arabów tylko 3,6 %. Żydzi mają mniej dzieci i więcej starców, co wkrótce da znać o sobie jakimiś problemami. To nie jest normalny przekrój społeczeństwa. Nikt tego jednak nie dostrzega, nikt o tym nie mówi ani nie pisze, bo naród ma większe problemy, mówiąc po polsku: *curesy*, czyli ciągłe zagrożenie i stały wyścig z czasem. Ale wieczorem kawiarnie są pełne, ruch i śmiech panują na ulicach, jakoś ci ludzie żyją pełniej, z fantazją, bez zatrzymań i kompleksów, bez udawania i apatii, która np. w bogatej spokojnej i ciężkiej Szwajcarii była zupełnie przerażająca.*

PRZYLOT I ODLOT

Do Tel-Awivu, na lotnisko w Lod, czyli Lydda, którego *boss'em* jest warszawianin Rosen, były mistrz ping-pongowy Polski, przylecieliśmy z Monachium. Formalności na lotnisku München-Riem trwały okropnie długo: nie tylko kontrolowano bilety i paszporty, ale również każdą walizkę i teczkę poddano rewizji, a pasażerów i ich podręczny bagaż przeszukano i prześwietlono, czy ktoś przypadkiem nie ma przy sobie broni lub materiałów wybuchowych. To wszystko po to, ażeby uniemożliwić terrorystom arabskim porwanie samolotu *EL-al* (izraelskie linie lotnicze).

Sprawy *EL-al* w Niemczech prowadzi *Luftbansa*, toteż przed okienkiem *Luftbansy* z numerem naszego lotu zebrała się duża kolejka. A że szło to wolno, bo każdy paszport oprócz Niemców musiały przejrzeć i ładne hosteski izraelskie, oraz przystojniak w typie Sean Connery (czego nie należy rozumieć po francusku), przeprosiłem żonę, by była tak dobra sama to załatwić, a sam wybrałem się do fryzjera aby na upały w Izraelu nie mieć tyłu włosów na głowie. Żona wkrótce odnalazła mnie u fryzjera, zdenerwowana, bo przystojniak Izraelczyk był dość nieprzyjemny i w fakcie, że żona pokazuje dwa paszporty i waży dwie walizki, wietrzył coś podejrzanego. Gdy

wreszcie mnie zobaczył spytał żonę po angielsku, ale nieprzyjemnie, błyskając wilczymi oczyma, czy ja jestem jej mężem i dlaczego wyszedłem z ogonka, a potem nie patrząc na nikogo dał nam wykład o tym, że mąż i żona muszą razem stawić się do kontroli. „Aha, *ubi Caius ubi Kacja*” — mruknąłem, a on zerknął na mnie złym okiem i dalej trzyma swą gadkę. Chcąc od razu spróbować jak daleko polski język jest popularny w Izraelu, patrząc na niego swymi niewinnymi błękitnymi oczyma, szepnąłem w tak zwaną siną dal lwowskie powiedzonko: „*Powiedz mu, Basiu, aby się odpieprzył od katolika!*”.

Nie wiem czy facet mówi w domu po polsku, ale z miejsca oddał mi paszport i nawet się uśmiechnął.

Samolot izraelski — bilet na przelot kupiliśmy w żydowskiej firmie „Globus” w Monachium, załatwiając wszelkie formalności i targi po polsku z pięknym akcentem lwowskim i powołując się na Milka — a także jego pasażerowie, przez cały czas byli otoczeni przez mundurowych policjantów niemieckich i tajniaków. Nawet gdy już zrewidowano bagaż, dostarczenie go do samolotu odbyło się z wszelkimi ostrożnościami: każdy pasażer musiał sam rozpoznać i podać swój bagaż na lorę, którą potem przykryto brezentem ażeby nikt w międzyczasie, czy w ostatniej chwili nie dołożył z zewnątrz pakunku czy walizeczki z bombą, a konwojował ją *jeep* pełen policjantów. Podobnie i autobus podwożący pasażerów pod Boeinga *El-al* miał swą eskortę, zaś odrzutowiec otoczony był policją. Miałem nielichą satysfakcję, że tylu szkopów dokłada aż takich starań, ażeby Żydom nic się nie stało. No, i nam.

Samolot *El-al* z Paryża przybył z pewnym opóźnieniem, a te i wszystkie inne lokalne formalności i ostrożności zabrały tyle czasu, że zamiast o czwartej po południu wylecieliśmy około ósmej wieczorem. Na koszt linii dano nam dwukrotnie bony do baru na *refreshments*. Byliśmy jedynymi pasażerami, którzy zażądali sandwiczów z szynką i wody Apollinaris, co u sprzedawczyń

wywołało naprzód błysk zdziwienia w oczach, a potem nawet sympatii. Wszyscy inni pasażerowie wyglądali na Żydów, sporo wśród nich było amerykańskich ortodoksów w czarnych kapeluszach z pejsami, brodami i ze zwisającymi spod kamizelki *cycetes*. (Później, za kilka już godzin, mieliśmy usłyszeć pierwszy kawał izraelski. Jak wygląda porządny Żyd? Ma łysinę aż po pejsy, pejsy aż po brodę, brodę aż po przepuklinę, przepuklinę aż po hemoroidy, hemoroidy aż po platfusy. Dwa dalsze dotyczyły Gołdy Meir: *Że jest to jedyny mężczyzna w rządzie*. I dlaczego nie nosi ona minispódniczek? *Bo by było jej widać jądra!*).

Sam samolot wewnątrz był ciut biedniej urządzony i w porównaniu z lśniącym od czystości 707 *Qantasa*, dość brudny. W jednej toalecie wysiadło światło, w dwóch innych wałało się pełno papierów, pomieszczenia na zużyte ręczniczki papierowe były zatrzaśnięte, papierowych nakryć na sedesy nie było, podobnie brakło wody kolońskiej. Stewardesy — gustownie ubrane w żółte bluzeczki i pomarańczowe spódniczki — wolały flirtować z jedynym stewardem niż zajmować się pasażerami. Fotele były też ciut poplamione i wymięte. Miłą natomiast innowacją było, że siedzenia nie są numerowane i każdy wybiera sobie miejsce jakie chce. Później mieliśmy się dowiedzieć co za tym stoi: otóż gdy pasażerem jest jakaś wybitna osobistość izraelska zamachowiec, zerknąwszy na listę nazwisk i numery foteli, miałyby robotę ułatwioną.

Samolot natomiast jest bogato zaopatrzonej w międzynarodową prasę, zaś z głośników sący się piękna muzyka izraelska. Ponieważ Żydzi z wielu krajów przejęli to i owo z lokalnego folkloru, bo żyli w nich tyle wieków, w melodiach odkrywamy elementy rosyjskie, polskie, węgierskie, rumuńskie i inne, lecz wszystko to z jakąś niepodrabialną i miłą uchu hebrajską innością. W sumie brzmiało mi to wszystko dość po polsku, jako że i my nie mała załapałiśmy od ościennych ludów. Sza-

browaliśmy w ich folklorach, bo to robi każdy naród.

W połowie drogi — acz z opóźnieniem w stosunku do zapowiedzianego terminu — otrzymujemy bardzo smaczną koszerną kolację, ale bułeczki bez masła, gdyż w posiłku jest mięso, a mlecznych produktów i mięsnych nie tylko nie wolno razem gotować i jeść, ale nawet razem podawać. Przystawiamy zegarki o godzinę wprzód i po przeszło trzech godzinach lotu lądujemy w Lod trochę po północy.

Wschodnie wybrzeże Morza Śródziemnego wygląda z góry prześlicznie, wprost bajkowo: mnóstwo światła w różne esy-floresy i desenie, lecz ucięte to wszystko jak nożem linią wody na osi północ-południe. Lotnisko jest ruchliwe, ale prymitywne. Tymczasowe budynki są jednakowoż czyste. W ogóle, pomimo Wschodu i Arabów, czystość w Izraelu wszędzie — z wyjątkiem szuku w Tel-Awivie — była wzorowa. U wyjścia z głównego budynku pomimo późnej pory kotłuje się tłum krewnych i przyjaciół, czekających na przylatujących pasażerów. Wszędzie — a trzeba jeszcze przejść po raz drugi takie same kontrole jak w Monachium i trwa to okropnie długo — panuje atmosfera gorączki i zgiełku, powiedzmy szczerze: wrzasku. To będzie nam stale i wszędzie towarzyszyć w tym kraju. Tu mało kto *mówi*, a za to większość *krzyczy*. Idzie z tym podniecenie i pośpiech. Kiedy po burzliwych scenach zdenerwowania i wrzasku, pośpiechu i bałaganu, krzyku i potu, na tle biurokratycznych formalności przedłużających się w nieskończoność po miesiącu opuściliśmy Izrael — w Atenach nie wierzyliśmy własnym oczom: ci sami pasażerowie, którzy w Izraelu krzyczeli i śpieszyli się, denerwowali się i rwali sobie włosy z głowy, w Atenach siedli po europejsku na kanapkach *lounge*'u, mówili szeptem i nikt się nie denerwował. Na nowo byli chłodni i kulturalni, europejscy.

Wreszcie po przydługich formalnościach paszportowo-dewizowo-celnych odbieramy bagaż. Jest to źle zorga-

nizowane, a że w chwilę po nas przybył inny odrzutowiec bezpośrednio z Nowego Jorku, z miejsca nastąpił bałagan: stewardeski tracą głowę, walizki nasze i alkohol zakupiony w strefie wolnościowej jeżdżą na pasach naokoło, wszyscy krzyczą, machają rękami, rozkładają ręce wycierają twarze chusteczkami, bo upał i znowu starają się innych przekrzyczeć; ktoś połapawszy się, że nie umiemy po hebrajsku, chce nam pomóc i wstawia się za nami i po jakichś czterdziestu minutach od chwili wylądowania otrzymujemy nasze bagaże, łapię jeden z wózków, których jest tu pod dostatkiem i wpadamy w morze twarzy i kiwających rąk — nie wszystkie oczywiście są dla nas — i lądujemy w ramionach Mundka Neusteina, drohobyczanina, którego nie widziałem przez trzydzieści kilka lat. Poznałem go od razu, a on nie może się temu nadziwić. No, bo on przed przyjazdem na lotnisko zerknął do katalogu wydawnictw *Kultury* i do numeru *Wiadomości* z recenzją Hemara o „Atlantydzie” (prowadzi jedną z trzech polskich księgarni w Tel-Awivie), a ja nie wiedziałem nawet że on tu jest, gdyż miał nas poderwać mój kolega szkolny Izio Patrech-Patrycha, który akurat zachorował. No więc już jesteśmy w Tel-Awivie!

Mundziu jest ze swą żoną, Polką z Krakowa, Adą. Jest też Julek Benkendorf, młodszy kolega szkolny, co po drodze raz zarepetował, bez żony Zosi, też chrześcijanki i od razu gadamy wszyscy jak głupi, mówimy sobie per ty, Basia dostała bukietek goździków biało-czerwonych, a Mundek, gdy wsiadamy do wozu Julka, zwraca się do mnie: *Ty kokiet, cholera, czy co, na tamtych zdjęciach młodszy i szczuplejszy, kiedy ty je robił? Przed wojną burską?* Mundek jest spokojny i opanowany, małomówny, wyłysiał, był jednym z dyrektorów „Książki i Wiedzy”, a w Drohobyczu na Grunwaldzkiej ojciec jego miał wypożyczalnię polskich książek. Ada to wulkan, mówi dużo i do rzeczy, ma cholerny zmysł humoru i wszystkich rabinów i księży by wymordowała, bo po-

chodzi z domu bezbożników, a że mieszka w Izraelu i pewna uprzejmość wobec gospodarzy obowiązuje, mordowanie kleru zaczęłaby od księży. Julek jest miły i serdeczny, nic się nie zmienił. Ma dwoje dzieci z Zosią, a w Ashkalon prowadzi duże roboty budowlane. MundeK z Adą i synem Krzysztofem, co nie był ani chrzczony, ani obrzezany, zjechali tu po Październiku. Julek dopiero po wielu spotkaniach powiedział nam trochę o sobie: za przemycanie i przeprowadzanie syjonistów do Czechosłowacji tuż po wojnie, później złapało go UB. Bił go tam kpt. Strobel, Żyd z Krakowa, jego sprawę prowadził płk Krzemień z Drohobycza, czyli dawny członek KPZU w naszym mieście, Feuerberg. Wszyscy — i wielu im podobnych — są dziś w Izraelu i często tu dawne tragedie i przejścia zazębiają się w nieoczekiwany sposób. O nędzo ludzko! — jak mówi Wiech.

Obywatele Izraela pożenili się z nim jak to bywa i w normalnych małżeństwach: jedni z miłości, inni z wyrachowania, jeszcze inni z musu. Ale codzienne życie wciąga ich nieustannie, wrastają w nowe warunki i, więcej niż umityzowana tu oficjalnie żydowskość, łączy ich przede wszystkim wspólne i stałe zagrożenie, wspólna dla wszystkich przyszłość, bez względu na to, jaka ona będzie. Przeszłość i stopień związania z żydowskością a nawet interpretacja tej żydowskości, są u każdego inne, różne i indywidualne. Dla wielu Żydów z Polski przyjazd do Izraela stał się wstrząsem: *dopiero tu przekonali się do jakiego stopnia są Polakami*. Ilekroć słyszałem tu takie, czy podobne zdanie: *W Polsce z Janem mnie nic nie dzieliło, tu z Żydem z Iraku nic mnie łączy, ty to rozumiesz?* Postawę ludności Izraela i jej stosunek do państwa (aczkolwiek nie brak tu starozakonnych ortodoksów, którzy nie uznają Izraela i ciągle czekają na Mesjasza, jak gdyby obecny Izrael nie był w jakimś stopniu Mesjaszem, ba, nawet nie służą w wojsku a państwo bojkotują i uważają je za grzech) można określić w dużej gradacji od euforii i szowinizmu, do spokojnej akcepta-

cji, czy nawet apatii i rezygnacji. Bo np. dla wielu byłych czy dalej wierzących komunistów*, wyrzuconych siłą z dobrych na ogół posad w demoludach — a którzy z biegiem czasu, jakże to ludzkie, uwierzyli iż to nie protekcja, czy partia wypchała ich na te stanowiska, ale własne zdolności i kwalifikacje predestynowały do tych posad — dla tych ludzi, powtarzam, pobyt w Izraelu jest nieraz bankructwem całego życia i służby idei, która w końcu dała im kopniaka i przetrząciła krzyż.

Izrael przyjmuje wszystkich Żydów; skądkolwiek by nie przybyli mają prawo przyjazdu na podstawie tzw. *Prawa Powrotu*, choć dają się słyszeć głosy że tacy jak gangster mafii amerykańskiej Mayer Lansky, czy ubek Różański, nie powinni byli być tu przyjęci, a raczej sążeni za ich działalność kryminalną, albo, jak w wypadku Różańskiego, za zbrodnie przeciw ludzkości**. Jednak bez względu na to, jakie powody kierowały Żydami z diaspory gdy tu przybywali, w której fali *Aliyi*, czyli imigracji, oraz nawet jak się ustosunkowali do Izraela — wszyscy z biegiem czasu, bo to jest nieuniknione, stają się dumni z tego państwa, armii, osiągnięć, determinacji i praworządności, chociaż nie zamykają oczu na braki, cienie, czy nonsensy — też nieuniknione.

Pierwszym, stale rzucającym się w oczy wrażeniem jest *godność Izraelczyków* i jest w tym coś pięknego i wzruszającego. Są u siebie. Są gospodarzami i właścicielami, budowniczymi tego kraju. To są inni Żydzi, niż ci, których znał świat i Europa z diaspory. To są może nawet Żydzi, jakich przedtem nie znali (czy nie podejrzewali że tacy mogą być) choćby i sami Żydzi. Na naszych oczach powstaje nowy naród, nie wybrany, nie tchórzliwe plemię schodzące z chodnika, nie mniejszość,

* Powstał tu związek Byłych Bojowników Ruchu Robotniczego, który w rozpisywanych listach i apelach domaga się wypłacania mu rent przez rząd PRL za ich „zasługi” przy budowie komunizmu! Nie brak wśród nich i b. pracowników U.B. i cenzury.

** Podobno oślawiony Fejgin tłumaczył się iż w UB prześladował tylko Polaków, ale zjednało mu to tutaj jeszcze więcej nienawiści.

nie typ Jojne-karabin, nie handełes, czy prominenci kilku tradycyjnych zawodów, ale normalny, prawdziwy naród, o zwykłej strukturze społecznej. Oczywiście nie obywa się to i nie obędzie bez ofiar i trudności, błędów, a nawet dramatów, ale żaden naród nie powstaje od razu, szczególnie naród tworzący się w trudnych i przyśpieszonych warunkach ze zlepków różnych kultur, tradycji, zwyczajów, języków, mentalności i kolorów skóry, ba, nawet religii, bo sfardyjscy Żydzi (czyli „czarni”, albo „frankowie”) o ile chodzą do bóżnicy, ciągle modlą się oddzielnie w „swoich” synagogach, podczas gdy biali Żydzi (ashkenazim), o ile chodzą do bóżnicy, to idą do swej aszkenazyjskiej. Sądząc po twarzach ludności widzianej na ulicach, „kolorowi” Żydzi już mają przewagę i za pokolenie, czy dwa, a może nawet wcześniej, bo tu wszystko zachodzi szybciej, Izrael, dziś jedyne europejskie z urzędzeń i organizacji państwo w tym rejonie świata, stanie się krajem azjatyckim. Tym bardziej, że pomimo propagandy i wysiłków czynników oficjalnych, animozje pomiędzy „białymi” Żydami a „kolorowymi” wcale nie są podskórne, widać je gołym okiem. To, poza samym przetrwaniem, uważam za najważniejszy problem Izraela. Gdyby tak miało się stać, byłaby to duża strata dla kultury europejskiej. Drugim zasadniczym problemem Izraela jest nacisk czynników religijnych — niewielkiej, ale wpływowej grupy, której ulega i rząd (dla świętego spokoju? dla mitycznej już dziś koncepcji narodu żydowskiego, jednoznacznego z religią mojżeszową? dla niedenerwowania licznej i bogatej grupy ortodoksów żydowskich w Ameryce, skąd tyle przychodzi dolarów?). Nacisk religii na codzienne sprawy obywateli, którzy przynajmniej w 80 % są postępowi, areligijni, a nawet antyreligijni i którzy w imię jakiegoś tabu i umityzowanej żydowskości poddają się tej presji, choć pomiędzy sobą otwarcie na nią psioczą i burzą się przeciwko niej. Wprowadza to w życie nowoczesnego narodu, który ma dosyć realnych problemów, element hipokryzji, zabobo-

nu, podwójnej moralności i gry, co na pewno nie może przynieść dobrych skutków.

Weźmy kilka przykładów:

Przepisy dotyczące kuchni koszernej, wprowadzone w diasporze w Babilonie, miały w określonych tamtejszych warunkach cywilizacyjnych i klimatycznych jakieś uzasadnienie racjonalne, może nawet zdrowotne. Lecz dziś? Kiedy wszędzie są lodówki i zamrażacze, kiedy wszędzie jest coraz więcej ludzi a mniej miejsca, kiedy współczesne życie zredukowało czas poświęcany na przygotowanie posiłku, a służba domowa zanika — jakie może być uzasadnienie na utrzymywanie dwóch zlewów w kuchni na potrawy mleczne i mięsne, dwóch kompletów rondli, łyżek, noży, widelców, na prowadzenie dwóch kuchni? Od ilu już wieków w przesadnie katolickiej Hiszpanii, czy w Polsce, sprawy przepisów religijnych nie są sprawą państwa a jednostki? Czy w Polsce, gdyby klient nawet kilkaset lat temu chciał w piątek opchnąć schabowszczaka, zamiast ryby, i go dostał, to restauratorowi czy karczmarzowi odebrano by licencję? W jakich cywilizowanych religiach sprawa jedzenia tego, a niejedzenia tamtego, ma dziś jeszcze zasadnicze znaczenie? I jakie? Religijne? Religia podobno jest sprawą ducha i zbawienia, wiary w Boga i moralności a nie brzucha i trawienia. A jeśli chodziło tu o nieuleczalne kiedyś zatrucie trychninami w wieprzowinie, to dziś weterynaria i chemia żywnościowa stoją tak wysoko — szczególnie zaś w Izraelu — że nie ma w tym już cienia problemu, czy uzasadnienia. Została mitologia!

Albo śluby cywilne. Państwo uznaje śluby cywilne zakontraktowane przez obywateli izraelskich w innych krajach, ale ślubu cywilnego w Izraelu nie można otrzymać. Dlatego ci, co z różnych względów taki ślub chcą zawrzeć, muszą jechać na Cypr. Lub sprawa pogrzebu. Przyjechał z Warszawy Żyd z żoną Polką. Umarła w Izraelu. Ileż się ten wdowiec nachodził do rabinów? Nie można jej pochować, bo nie była Żydówką. To samo było

u księdza, bo nie należała do jego owczarni. Ale wreszcie ksiądz widząc tragedię i rozpacz, dał się przebłagać, tym bardziej, że wdowiec złożył znaczną ofiarę na kościół. W następnych tygodniach ktoś wpadł na pomysł, że będąc Polką, może zapisać swe zwłoki, gdy wykorkuje, do prosektorium. Poszło to bez bólu. Ale władze rabinackie zorientowały się gdyż nagle sporo ludzi zaczęło swe przysłe zwłoki zapisywać dla fakultetu medycyny i teraz ta prosta do niedawna sprawa, wymaga już tylu załączników i chodzenia do tylu biur i instancji, że można skończyć w czasie przeprowadzania formalności. To tylko parę kwiatków, a jest ich sporo. *Kultura* już swego czasu pisała piórem autorów przebywających w Izraelu, o synach z mieszanych małżeństw, którzy musieli starać się o przywilej służenia w armii izraelskiej, a gdy padli w obronie Izraela, nie wolno było ich pochować na cmentarzu wojсковym. Sporo już — trzeba to przyznać — zmieniło się na korzyść w wielu wypadkach, lecz niemniej dalej trwają koszmarnie nielogiczności i wyjątki, zaś zasada nie ulega zmianie i presja sądów rabinackich, nawet ich przewaga nad państwowymi, trwa. Niech to zobrazuje ostatni przykład.

Za jednego z największych bohaterów naszych czasów uważam Izraelczyka zwącego się Missim Sharabi. Jego sprawa ciągnie się od roku 1967, ostatnio poszedł do więzienia, gdyż nie zgodził się na to aby — zgodnie z prawem *Halitza* — pluła na niego i ciskała weń butem wdowa po jego bracie, której on — zgodnie z innym prawem z czasów biblijnych, *Yibum* — udzielił zgody na powtórne wstąpienie w związek małżeński, czyli zrezygnował z przysługującego mu pierwszeństwa. Nie miał nic przeciwko temu, aby poślubiła kogo innego, uważał tylko że ten rytuał z pluciem i butem, poniża jego godność. Zresztą wiadome jest, że w innych sytuacjach choćby za opłatą można takie zezwolenie uzyskać od strony zainteresowanej. Były wypadki, że jeśli ktoś nawet za łapówkę nie chciał dać takiego zezwolenia, wyrokiem sądu

rabinackiego szedł na tak długo do więzienia, aż się potem sam na owo zezwolenie zgodził. W chwili, gdy przepisuję manuskrypt tej książki, mam przed sobą depeszę *Associated Press*, że Sharabi ponownie odmówił poddania się wspomnianej ceremonii, a wdowa po bezdzietnym bracie zaskarżyła go do sądu okręgowego, który zatwierdził wyrok sądu rabinackiego i skazał oskarżonego na bezterminowe więzienie za pogwałcenie orzeczenia sądu rabinackiego. Jak długo będzie siedział w więzieniu? Zapewne aż się zgodzi, by szwagierka nań popłuła. Wtedy go puszcza. Czemu uważam go za największego bohatera naszych czasów, choć ciut donkiszockiego? Bo miał odwagę przeciwstawić się *najgorszej zmorze naszych czasów* — presji własnego środowiska!

II

Jak po miesiącu wyglądał nasz odlot z Izraela?

Byliśmy już trochę przyzwyczajeni do krzyku, bałaganu i biurokracji, ale nasz odlot z Lod do Monachium wart jest osobnego opisu. Była to groteska i balet.

Izrael w owym czasie przeżywał okres dużego *boom*'u turystycznego. Podawano, że do kraju właśnie zjechało 80 tysięcy turystów, inni cytowali cyfry wyższe, faktem jest, iż tysiącom turystów i gości odmówiono wjazdu do Izraela — to znaczy: *odradzono* — ze względu na przeładowanie hoteli, aczkolwiek i te rosły w Izraelu jak grzyby po deszczu i w większości wypadków są naprawdę piękne i nie raziłyby w Paryżu, Rzymie, czy w Nowym Jorku, a może nawet tam wzbudzałyby podziw. Był to też w historii Izraela wyjątkowy okres. Takiego nasilenia strajków kraj jeszcze nigdy nie zaznał. Strajkowała poczta, robotnicy portowi, straż celna, naziemny personel *El-al*, a nawet żydowscy i arabscy taksjarze w Haifie wystąpili po raz pierwszy razem i zgodnie o podwyżkę

zarobków. Choć sytuacja ekonomiczna Izraela, pomimo obfitej pomocy Żydostwa Światowego, jest ciągle skomplikowana, strajk taksjarszy przyjęto jako coś dobrego. Po raz pierwszy Arabowie i Żydzi razem! To dodawało otuchy, że może kiedyś współpraca będzie możliwa i na innych polach. Wybuch tego strajku był niemal sukcesem narodowym.

Niemniej kilkudniowy strajk w Lod unieruchomił jedyne międzynarodowe lotnisko kraju i nagle zebrały się tam tłumy turystów, zarówno tych, których strajk zablokował, jak i tych, co nagle poczuli panikę, albo przyszli dowiadywać się kiedy najprędzej można Izrael opuścić. W naszych biletach powrotnych do Monachium firma „Globus” wystawiła nam na oko jakąś datę, twierdząc, że to i tak czysta formalność i że to można każdej chwili bez trudności zmienić; chcieliśmy zatrzymać się po raz drugi w Rzymie i mając ciągle ważny nasz dwumiesięczny bilet kolejowy pierwszej klasy na kilkanaście krajów Europy Zachodniej, wyskoczyć do Florencji. Ale oto z powodu strajku i napływu turystów okazuje się, że jest przepełnienie, o żadnej zmianie daty mowy nie ma, o ile zaś wyjedziemy w ogóle w wyznaczonym czasie, to z Florencji nici, ledwo zdążę do Zurychu na wieczór autorski, który uprzednio obiecałem Kaziowi Vincenzowi i Kiermaszowi Książki Polskiej. *Nota-bene* mój list lotniczy z Izraela, potwierdzający umówioną datę, ciągle jeszcze leci. Nigdy nie doszedł do rąk adresata.

Po wielogodzinnych ogonkach w kilku liniach lotniczych, skąd na dobitkę wypchano nas dwa razy, kiedy inni ogonkowicze zorientowali się, że nie znamy hebrajskiego, sytuacja wyklarowała się na tyle, że tego a tego dnia mamy być na lotnisku rano o godzinie 6.20 i że odlot nastąpi *El-alem* o 8-ej rano wprost do Rzymu. Stamtąd możemy jechać albo dalej do Monachium, albo do Zurychu, tam już nie przewiduje się żadnych trudności. A więc jesteśmy w Lod o 6.20 z Iziem Patrycją, gadamy oczywiście o Drohobyczu i robimy plany na

następny przyjazd za dwa-trzy lata, marzymy nawet, czy-
by nie udało się zostać w Izraelu na rok-dwa, tak się
nam kraj i ludzie podobali, bo są inni, realni, nie mówią
tylko o dolarach, po prostu żyją na całego, pomimo za-
grożenia i pomimo braków. Więc jesteśmy na dworcu
lotniczym i tragarz, zawołany przez Izia po hebrajsku,
bierze nasze walizki na wózek i jedziemy przed stoisko
El-al, numer okienka taki a taki, jak nam podano. Do-
piero pod koniec naszej rozmowy tragarz wtrąca się do
niej po polsku. Jest z Jarosławia. „*Oj, to ja też bym
pojechał do Szwajcarii na urlop, mamunciu moja, ale
bym wrócił tu, tu już jest mój kraj, co za pytanie...*”.
Wokoło nas tysiące ludzi, gwar, ruch, pośpiech, nerwy,
pot, krzyk i zamieszanie. Stajemy przed okienkiem i po
chwili stania w ogonku dowiadujemy się, że nasz *flight*
został wycofany, że może znajdzie się miejsce na samolo-
cie greckiej linii *Olympic* do Aten, a o ile nie chcemy le-
cieć do Aten, to możemy czekać na *standby*, to może się
coś wykombinuje do Rzymu. Izio na szczęście poznał
w jednej stewardessie dziunię, którą kiedyś podszczy-
pywał, więc prosi ją, aby nas załatwiła. Minuty lecą szyb-
ko i beztrzesko, a oni sobie wspominają ów urlop, gdzie
się poznali, naokoło zaś jest miasteczko Bełz, Bronx,
St. Paul i nieustanny krzyk. Przypomina nam się opo-
wiadanie Ady, jak to jej matka przyjechawszy na wy-
cieczkę jeszcze przed Sześciodniową Wojną, wołała prze-
rażona z ledwo co zacumowanego okrętu w Haifie:
Adzieńko, czemu ci ludzie tak wszyscy krzyczą?

— No, ale jak można sprawdzić czy jest jakieś wol-
ne miejsce dla nas w *Olympic Airways*? — pytam Izia.
Myślałem, że dziewczyna złapie za słuchawkę telefonicz-
ną, chyba powinny być jakieś połączenia pomiędzy stois-
kami. A tu naokoło ludzkie wiry, tłumy, rozmowy i kłót-
nie oraz obijanie bliźnich walizami. Ale gdzie! Dziewczy-
na powoli bierze nasze bilety, powoli je sprawdza, i po-
prawiwszy fryzurę w wiszącym na ścianie lusterku oraz
przywoławszy na twarz miły wyraz zaferowania, idzie

zgrabnie i wolno na swych żydowskich platfusikach poprzez tłumy, poprzez olbrzymią halę, jakieś tylko 120 metrów i nazad, niosąc nasze bilety w łapce, jak wachlarz, bo jest już pomimo rana upał. My czekamy, czekamy, Izio może spokojnie flirtować z dziunią (inną), tłumy się kłębią, zegar tyka jak szalony i nagle przez megafony płynie tragicznym głosem podany *call*, że pasażerowie lecący *Olympic*'iem do Aten proszeni są do autobusu, który na nich czeka, aby ich wziąć po odprawie celnej i paszportowej do Boeinga 707. My aż podskakujemy, bo już zrobiła się godzina 7.40, jeszcze nie wiemy czy lecimy czy nie, hosteski nie ma, a tu jeszcze czeka nas odprawa celna i paszportowa i rewizja osobista, gdyż są obostrzenia, jako że przyłapano poprzedniego dnia kilka młodych Francuzek z materiałami wybuchowymi, zaś onegdaj jakieś dwie Holenderki, czy Dunki, które jechały na swój ślub do Jerozolimy same, bo panowie młodzi wyruszyli wcześniej, by coś ważnego załatwić, zaś panny młode w walizkach wiozły prezenty od swych oblubieńców, czy dla ich rodzin. Owe Dunki, czy Holenderki rozpląkały się jak dzieci, skoro się okazało, że rzekomi oblubieńcy to arabscy terroryści, a w walizkach były bomby czy coś w tym rodzaju. A tu wśród *crescendo* wielu głosów, z megafonu płynie ten sam głos: tym razem to już jest *final call* dla pasażerów udających się do Aten, dziunia wraca powolutku na swych obcasikach i beztróskich platfusikach, owszem jest miejsce, jedziemy, tylko drobiazg, jeszcze trzeba przejść te odprawy, nasz samolot odlatuje o 8.05, jest już za trzy ósma, z głośnika leci *very final call*, gonimy poprzez tłum i tłumy, pa, Izio, jest osiem czy dziesięć separatek z napisem PASSPORT CONTROL, przed każdą kotarą ogonek, liczę, minimum czternaście osób w każdym, przestępują one z nogi na nogę — ja też, patrzą na zegar — ja też, punkt ósma, już u mnie trzynaście osób, ale w sąsiednim dwanaście, jedenaście, przenieść się tam? Z megafonu zasię płynie sucho: *last call for passengers going to Athens, facet,*

który przeszedł kontrolę — widać to przez nieszczelne kotary budki — biegnie dokądś, ktoś wrzeszczy, ja wrzeszczę, bo mi się pcha małe dziecko pomiędzy nogami z walizką, za nim nie wiadomo skąd papa jego, pokazuje na migi zdenerwowany, że to jego wołają na jego samolot, *lo, lo*, drę się, *me too, moi aussi, ich auch*, a tu głos jak w połogowej gorączce krzyczy: *this is the very last call* do Aten, a przede mną jeszcze dwanaście osób, ktoś się zaszpurtał z kamizelką i nie może jej odpiąć, celnik, strażnik graniczny, czy policjant wychodzi przed swe kotary i znudzonym wzrokiem patrzy ile to jeszcze czeka na niego klientów, pacjentów, delinkwentów, a ilu ich jest jeszcze u kolegów, gdzie Basia? u kobiet? a jak tam? już ósma dziewięć, pewnie pojechali, guzik z wieczoru w Zurychu, nagle jakiś pejsaty Grek pcha się, *kali-mera, get out* krzyczę, on też, jakoś długo nie było żadnego *call*, a tu jak gdyby nigdy nic, ten sam głos uprzejmie i z ładną dykcją informuje, jak by pierwszy raz o tym w ogóle mówił, że pasażerowie jadący do Aten mogą już zajmować miejsca w autobusie, klnę po polsku że mój ogonek tak wolno się posuwa, *cholera, psiakrew, zachciało mi się Izraela*, wtedy zziajany i spocony ortodoks w czarnym surducie i w czarnym bersalino i z czarnymi pejsami po brodę, a z brodą po przepuklinę, odwraca się i błyskając białymi zębami krzyczy przez ogólny wrzask: *ta co si pan tak pcha? pan skąd? zy Lwowa — a pan? — z Drohobycza — goj? — goj — a sklep Starka pan pamięta, zwariował pan, w tym szumie i wrzasku, ali pienkna była ta nasza synagoga Die Gildene Rojze, nie?, a w Drohobyczu znał pan rabina Awigdora? — osobiście nie, byłem za mały — to ili pan sobi lat liczy?...*

Co wam będę tu dużo opowiadał. Spocony i zziajany przeszedłem wreszcie budkę o 8,23, strażnik pokazywał mi w klitce ogłoszenie w kilku językach czy nie wiozę niczego dla kogo innego, czy mi ktoś nie podał jakiegoś pakunku, potem były inne kontrole, za dużo opo-

wiadać, w korytarzu stoi Basia i śmieje się, bo jej powiedzieli, żeby się nie denerwowała, bo bez nas autobus nie odjedzie, a bez autobusu samolot; docieramy do autobusu, kupa ludzi, ale szofera w ogóle w nim jeszcze nie ma, tu ludzie już odprężeni, już się śmieją, już widzą komizm tej sytuacji. A tam dalej tajfun i wrzask. Odlatujemy do Aten tuż po 9-tej. W Atenach wszyscy ci sami ludzie co tak krzydzeli w Izraelu siadają grzecznie i kulturalnie, czytają gazety. Potem Rzym, inny wrzask, dużo brudniej, samolot do Monachium spóźniony, przylatujemy tam około ósmej wieczorem, rano jadę pociągiem do Zurychu.

Formalności paszportowe i z bagażem w Monachium trwały półtorej minuty. Dosłownie.

ZIKHRON YAKOV

Ze wzgórz łańcucha Karmel wieczorem widać wspinałą autostradę Haifa - Tel-Aviv, Morze Śródziemne i około 30 stawów rybnych należących do miejscowego kibucu. Mkną setki wozów, światełka migają jak robaczki, skrzyżowania dróg są mocno oświetlone, a stawy połyskują przy księżycu. W stawach hoduje się karpie, bez których europejscy Żydzi nie mogą sobie wyobrazić szabesu. Dalej w lewo widać padesy, za nimi na wzgórzach winnice i ogrody pełne wiśni i moreli; tu powstają najlepsze wina izraelskie i likiery.

Zicron Jacob (bo i taką pisownię tu stosują) od dwóch lat posiada luksusowy ośrodek wypoczynkowy związków zawodowych, gdzie właśnie przebywa około 200 urzędników, robotników i inteligencji pracującej, wraz z żonami. Dzieci prawie tu nie widzę, są na obozach i koloniach. Urlopy roczne wynoszą w Izraelu od 2 do 3 tygodni z czego pracownik może tu spędzić od 7 do 10 dni — zależnie od ilości przepracowanych lat.

Czegoś tak gustownego, czystego i z rozmachem urządzanego nigdy w życiu nie widziałem. Bez przesady. Na pewno jest to pokazowy ośrodek wypoczynkowy, ale przyjechałem tu, nie żeby go zwiedzać, lecz by spotkać Izia, który tu akurat spędzał urlop. Mieliśmy ponadto

okazję zobaczyć dwa inne ośrodki wypoczynkowe i choć nie tak urządzone jak Zichron Ya'akov (jeszcze inna piśnownia), to były jednak w klasie bardzo dobrych międzynarodowych hoteli. Wszędzie uderzało dobre zaplanowanie i czystość.

Pomyślcie: 180 pokoi, jadalnie, werandy, baseny, tereny sportowe, biblioteka, czytelnia, sala konferencyjna, sala teatralna i kinowa (na 350 wygodnych foteli), kuchnie, przychodnie lekarskie, sale klubowe, terasy, ogrody, czytelnie pism — wszystko tu jest. O wszystkim pomyślano. I wszystko do najdrobniejszego szczegółu jest wykonane estetycznie.

Nagle z okien widzę obudowane ścianami ośrodka wewnętrzne ogrody, nie jeden, a kilka, na zewnątrz też nie brak ogrodów i trawników, pokoje idą amfiladą, rozciągnięte jak akordeon — do którego jest podobny cały budynek — aby każdemu pokojowi dać światło i słońce, wszędzie wiszą dobre obrazy — oryginały nie reprodukcje — każdy szczegół dobrany i przemyślany, wszystko zrobione dla wygody i wypoczynku, proporcja każdej ramy, klamki, czy fotela nienaganna, klimatyzacja, zimna woda, dywany, po kątach rzeźby i piękna ceramika, kwiaty — prawdziwe, nie plastikowe — no, istne cudo! Mam taki charakter, że lepiej się czuję, gdy znajdę w czymś lub u kogoś jakąś wadę: tu chodziłem godzinami i nic takiego nie znalazłem. Czemu ten ośrodek jest aż tak piękny? Trzeba wiedzieć, że każdy znany żydowski architekt*, malarz, rzeźbiarz czy dekorator wnętrz, postawił sobie za punkt honoru, iż w Izraelu musi wystawić coś nadzwyczajnego i jedyne, aby uwiecznić swe imię, czy okupić poczucie winy, że sam do Izraela nie wraca na stałe. Stąd w Izraelu taka ilość pięknych budynków, rzeźb — głównie nowoczesnych — rozwiązań i pomysłów nieraz zupełnie zaskakujących. Namawiam gospo-

* Ten nazywał się Reicher i był z Wiednia.

darzy, aby wykonali kolorową krótkometrażówkę i pokazali światu to чудо!

Rozmawiamy tu po polsku, ogórki małosolne i kiszzone są świetne, mówią nam że są tu nawet maślaki. *Ale nie takie jak w Polsce* — kiwa głową pewna piękna pani z Drohobycza, szczupła i wytwornie ubrana, z chłopięcą fryzurą. Wpatrując się w nią odkrywam, rozsuwając lata jak szuwary nad jeziorem, jej dawną twarz.

GALOPKIEM PRZEZ HISTORIĘ

Cokolwiek byśmy sądzili o prawach historycznych narodów do ziem, które dziś zamieszkują, gdy mówimy o historii Żydów, należy podkreślić dwa fakty: 1) Żydzi mieszkali na tej ziemi bez przerwy od prawieków aż do naszych czasów. Ulegali przemocy, byli pokonywani, wyganiani, rozpędzani na cztery wiatry, rozsiadały się tu obce imperia, lecz zawsze większa czy mniejsza ilość ludności żydowskiej tu żyła, a Żydzi z innych krajów i lądów uważali tę krainę za centrum żydowskości; słynne życzenie: *Na przyszły rok w Jerozolimie!* 2) Nigdy żaden inny naród nie stworzył tu własnego niepodległego państwa, ani też nie uważał tego kraju za swoją kolebkę czy za źródło swej historii.

Spisana historia żydowska liczy sobie prawie 4000 lat, z czego niemal połowa tego okresu przypada na niepodległe lub tylko autonomiczne państwo żydowskie, przy czym wówczas ludnościowo kraj ten był czysto żydowski.

Po okresie organizacji szczepowej Saul stwarza królestwo, zaś jego następca Dawid umacnia państwo i czyni z Jerozolimy stolicę. Ze śmiercią Salomona, około roku 930 przed Chrystusem, królestwo dzieli się na dwie dzielnice: *Judeę* i *Izrael*. Salomon wybudował Świąty-

nię, która staje się symbolem. Lecz z rozwojem imperiów assyryjskiego i babilońskiego Izrael (w VIII w. przed Chrystusem) a potem Judea (w 586 przed Chr.) zaznały niewoli, są zdobyte i zagarnięte, a wielu Żydów deportowano stąd do Babilonu. Za czasów Cyrusa Żydzi jednak wracają i w 70 lat później, wznoszą Drugą Świątynię. Przez 4 wieki Izrael cieszył się autonomią pod protektoratem perskim i greckim: Aleksander Wielki podbił kraj w 333 r. Gdy w 186 przed Chrystusem Syria Seleudzka próbowała ograniczyć ich autonomię, Żydzi pod wodzą Machabeuszów podnieśli bunt i odzyskali całkowitą niepodległość. Przez ponad dwa wieki rządziły tu dynastie Hasmonejska i Herodiańska. W wyniku wojen z rozrastającym się imperium rzymskim, następuje okupacja rzymska i uzależnienie od Rzymu. W 70 roku po Chrystusie Rzymianie zdławili Judeę i zniszczyli Drugą Świątynię. W r. 132 Żydzi na krótko uzyskali na nowo niepodległość: buntowi przewodził Bar-Kochba. Ale powstanie żydowskie zostało krwawo stłumione przez Rzymian, zaś kraj przemianowano na *Syria Palaestina*. Jednak nawet pod władzą rzymską i później bizantyjską — Żydzi utrzymali swą autonomię prawną, religijną i kulturalną.

Kolejnymi najeźdźcami i zdobywcami Izraela byli: Arabowie (673-1072), Seldżukowie (1072-1099), Krzyżowcy (1099-1291) Mamelukowie (1291-1517 i Turcy (1517-1917). Po pierwszej Wojnie Światowej mandat nad Palestyną objęła Anglia. Z chwilą wybuchu wojny w sierpniu 1914 ludność żydowska na terenie Palestyny wynosiła 85.000. Była to przeważnie ludność miejska, choć od roku 1878 małe grupki jerozolimskich Żydów szły na rolę. Pierwszą taką osadą była Petah Tikwa. Następnie Żydzi safardyjscy poszli w ślady Żydów jerozolimskich.

W 1882 przybywają tu pierwsi imigranci żydowscy z Rosji, czytają: przeważnie z Kongresówki i dawnych ziem Rzeczypospolitej. W 1897 Teodor Herzl powołuje

pierwszą organizację syjonistyczną, której kongres odbył się w Bazylei; celem tego narodowego ruchu wyzwolenie-
czego ludu żydowskiego *jest utworzenie publicznie i
prawnie uznanego państwa żydowskiego dla światowego
Żydostwa gdzie powstałby dla niego schron przed
prześladowaniami w innych krajach i gdzie mogłaby
swobodnie rozwijać się kultura żydowska.* Od tego
czasu datuje się renesans języka hebrajskiego, jako
języka żywego. Był on dotychczas tylko językiem litur-
gicznym. Syjonizm — nazwa ruchu pochodzi, jak wie-
my od góry Syjon — zawsze uważał, iż przyszłe pań-
stwo Izrael musi być pod każdym względem częścią orga-
niczną Bliskiego Wschodu i że nawet w państwie izrael-
skim Żydzi i Arabowie będą musieli współżyć zgodnie
i razem budować przyszłość, mając te same prawa i przy-
wileje. Rozumiał to, i nie miał nic przeciwko temu, król
Hussein z Hedżazu. Jego syn, Emir Feisal (główny dele-
gat arabski na paryską konferencję pokojową) w dniu
3 stycznia 1919 zawarł układ z dr. Chaimem Weizman-
nem (który reprezentował Światową Organizację Syjo-
nistyczną) stwierdzający że *Deklaracja Balfoura* zostaje
przez obie strony przyjęta, że Palestyna zostaje uznana
jako oddzielna żydowska całość, z którą nowopowstające
państwo arabskie będzie utrzymywać stosunki dyploma-
tyczne, pod warunkiem, że Anglia i Francja uznają arab-
skie roszczenia na innych terenach arabskich. Liga Naro-
dów w lipcu 1922 przyjęła Deklarację Balfoura i wyraź-
nie zaznaczyła, iż uznaje historyczny związek narodu ży-
dowskiego z Palestyną, gdzie ma powstać odbudowana
siedziba Żydostwa. We wschodniej Palestynie — na
wschód od Jordanu — rząd brytyjski ustanowił emirat
Transjordanii, dziś haszemickie królestwo Jordanu.

W okresie pomiędzy wojnami światowymi do Pales-
tyny napływają liczni imigranci żydowscy z różnych kra-
jów, lecz powoli Anglia wprowadza ograniczenia. Podno-
sząca się w kraju stopa życiowa przyciąga i Arabów z oko-
licznych ziem arabskich, niezawsze przybywających tu le-

galnie. W ciągu niecałego dwudziestolecia ludność arabska w tym kraju podwoiła się. Coraz bardziej staje się widoczne, że Anglia nie wykonuje władzy mandatowej, a prowadzi politykę ściśle kolonialną.

Wielki Mufti Jerozolimy — który podczas wojny był zwolennikiem Hitlera i przebywał w Niemczech — po wojnie podburza Arabów. Następują akty terroru, Żydzi powołują do życia organizację *Hagana*, co znaczy „Obrona”.

Po hitlerowskiej rzezi na sześciu milionach Żydów europejskich niedobitki spływają do Izraela, by tu znaleźć schronienie i budować nowe państwo, które powstało w 1948 r. W kilka lat później — na skutek prześladowań Żydów w krajach muzułmańskich, a potem i w komunistycznych — zjeżdża nowa *Aliyah*. Rosja Sowiecka, choć jedna z pierwszych uznała powstanie państwa Izraela, to obecnie — wspomagając i zbrojąc Arabów oraz wykorzystując ich szowinizm i fanatyzm — stara się zniszczyć Izrael, który siłą rzeczy jest dla niej przeszkodą na drodze do opanowania Bliskiego Wschodu, a w dalszej kolejności świata.

Pomimo zagrożenia kraju (który w międzyczasie w 1949, 1956 i w 1967 wygrał wojny z przeważającym przeciwnikiem, co było możliwe wyłącznie dzięki rzadko spotykanej determinacji, bohaterstwu i organizacji, oraz nowej strategii, którą teraz studiują pilnie sztaby wszystkich armii) oraz mimo usilnej propagandy czynników syjonistycznych w świecie i rządowych w samym Izraelu — *znacznie więcej Żydów pozostało w diasporze, niż mieszka ich w Izraelu*. Szczodra pomoc finansowa Żydostwa światowego i jego wpływy polityczne w USA są niezwykle potrzebne. Lecz powoli i tu zmienia się sytuacja: z jednej strony datki na Izrael, zbierane przez Żydostwo zagraniczne, kurczą się — z drugiej strony Izraelczycy odczuwają coraz silniejszy żal do swych braci w świecie zachodnim, że tak mało ich do Izraela przyjeżdża na stałe. Erupcja dumy, a nawet buty, wśród Ży-

dów pozaizraelskich po zwycięskiej Wojnie Sześciodniowej, ich chwalenie się udzielaną Izraelowi pomocą — gdy przyjeżdżają na urlop — powoduje takie komentarze, a słyszałem je nieraz:

— *Oni dają dolary, my dawaliśmy krew! — My codziennie ryzykujemy życiem i całym mieniem, bo Arabowie chcą nas zepchnąć do morza, a oni przyjeżdżają po to żeby nam powiedzieć, iż bez ich dolarów nie daliśmy sobie rady!*

WINGATE INSTITUTE

Niedaleko od Tel-Awivu, na drodze do Netanyi, kilka lat temu wybudowano *Wingate Institute for Physical Education and Sports*. Wingate był angielskim generałem, który Żydom okazał dużo życzliwości i pomógł im w organizowaniu paramilitarnych zrzeszeń i klubów sportowych. W ten sposób uczczono jego pamięć, a nazwa instytutu wychowania fizycznego jest na bramie wypisana po angielsku. Jeszcze nie tak dawno temu była tu pustynia, podobna do tej jaka rozciąga się naokoło: piachy, piachy, zrudziałe krzaczki i znów piasek i wydmy. A w dali morze.

W tej Wyższej Akademii Wychowania Fizycznego kształcą się nauczyciele szkolni i instruktorzy wojskowi, a także trenerzy. Przed wojną światową 1939-45 Żydzi uprawiali właściwie tylko piłkę nożną, ping-pong i trochę boks. Dziś uprawiają wszystkie dziedziny sportu i kształcą instruktorów w każdej dyscyplinie.

Wingate Institute to położone w pustyni śliczne, ruchliwe, pełne zieleni i parków miasteczko, lśniące od czystości, w którym wśród drzew i krzewów stoją kolorowe domki dla personelu i studentów. Ma ono znakomicie rozplanowane boiska i urządzenia sportowe, kryte hale, szatnie i tusze. Właśnie w trakcie budowy jest

olbrzymi basen z trybunami. Wśród studentów nie brak i zaprzyjaźnionych z Izraelem nieżydowskich studentów z krajów czarnej Afryki. Instruktorem jest tutaj Mundek Szefer, z Zagłębia Naftowego. Gdy jako trener narodowej piłkarskiej drużyny Izraela był niedawno temu w Sydney, z reprezentacją swego kraju, sydneyjski Hakoah oferował mu objęcie funkcji trenera klubowego z tygodniową gażą 300 dol. (australijskich, mocniejszych od dol. US), plus bezpłatnie dom do dyspozycji i co dwa lata podróż do Europy na koszt klubu. Odmówił.

— Gdzie pan znajdzie lepsze warunki? — spytałem.

— Nigdzie — odpowiedział — ale ja z Izraela nie wyjadę. Na urlop tak, na stałe nie. Zresztą jak tylko wyjadę na urlop za granicę, to już tęsknię, boję się, że tam może się coś stać beze mnie.

(To samo mówili mi Izio, Julek i Artek. Julek tak to ujmował: *Jak tylko przyjadę do Paryża i zobaczę wieżę Eiffla, to si sam siebi pytam: durny pomidor, ta czego ty tu szukasz? Twoji mniejszy tam.* A Hesio, chasydzki filozof, specjalista od tańca kapurot, ten który mnie przyjął w swej restauracji drohobyckim *kigiete* z ziemniaków i co mnie tak przywitał: *panie Chciuk, jak pan mógł pisać o Drohobyczu jak pan MNIE nie znał?* — tak mówił w *steki* Dombrowskiego: *Wisz Andrzej, ten kraj coś w sobi ma, możesz go lubić lub nie lubić, ali on do siebi ciongnie.* Później zresztą okazało się, że razem z Hesiem jeszcze w powszechnej Czerwonej Szkole zorganizowaliśmy strajk, bo nam zabroniono grać na dziedzińcu w piłkę nożną. Nas dwóch jako organizatorów strajku — mieliśmy wówczas po 8-9 lat — zlano po siedzeniu, uczynili to nauczyciele Denasiewicz i Himmlowa, ale że strajk się udał, bo nikt, poza dwoma maminsynkami nie przyszedł do szkoły, przeto pozwolono nam grać w futbol. Dziś ani Hesio, ani ja nie wyglądamy, niestety, na piłkarzy).

BOMBAJSCY ŻYDZI

Pewnego razu czekałem długo w kafejce pani Beli przy Allenby Road, niemal naprzeciw Banku PKO, na żonę, która u Neusteinów kupowała polski pasiak i talerze zakopiańskie, jakich nie widzieliśmy w firmach polskich w Australii. Był upał, więc zamówiłem sobie po polsku *leben*. Otworzyłem gazetę *The Jerusalem Post* i czytałem o zeznaniach świadków władz piłkarskich, gdzie często padało nazwisko Mundka Szefera. W chwilę potem podszedł do mnie jakiś śniady szczupły mężczyzna i bardzo śpiewną angielszczyzną, która przypomniła mi głos i akcent Artura Lesley — Hindusa, uczącego w tej samej szkole średniej w Melbourne co ja. Mitygując się i przepraszając obficie, podobnie jak to czyni Artur, za swą niedyskrecję, spytał:

— Widzę, że pan nie jest Żydem, kim pan jest i co pana sprowadza do nas do kraju?

— Jestem Polakiem z Australii i przyjechałem odwiedzić moich kolegów-Żydów z tego samego miasta co i ja. — I uprzedzając pytanie które tu każdy zadaje, dałem szybko: — I bardzo mi się tu podoba. Mieszkam w Australii 20 lat. W Melbourne.

— A czym się pan więcej czuje, Polakiem, czy Australijczykiem? — spytał z właściwym Hindusom miłym uśmiechem.

— Bo ja wiem? Więcej jestem Polakiem, choć mam obywatelstwo australijskie, jestem tego kraju lojalnym obywatelem i tam chyba już umrę. A kim jest pan?

— Ha — zaśmiał się. — *That's the question*. Władze Izraela uważają mnie za Żyda, którym w jakiś sposób się czuję, bo bym tu nie przyjeżdżał z Bombaju, ale wielu europejskich Żydów uważa mnie za Hindusa. Słyszał pan kiedyś o *Bene Israel*, potomkach zaginionych szczepów? Było tych plemion dziesięć. Deportowali je z Palestyny Assyryjczycy w ósmym wieku przed Chrystusem. Uważamy się za potomków tych plemion. Czy panu podoba się u nas ta sytuacja z przewagą czynników religijnych nad ogromną większością społeczeństwa, które jest obojętne religijnie i z zakonem żydowskim nie ma prawie nic wspólnego?

Byłem bardzo *uncommittal*, bo co się będę mieszał w zagadnienia państwa, którego jestem gościem i na których mało się znam? Ale facet rozgadał się. Gestem zamówiłem u pani Beli dwie kawy (*a fuche*) dla nas obu, a kiedy ona do nas je przyniosła, spytała mego Hindusa automatycznie po polsku:

— A może dla pana jakieś ciastko? Albo *croissant*?

Zdziwiła się, że nie rozumie po polsku i wzruszywszy ramionami, senna jak zawsze, pozęgłowała za kontuar.

No i tak zawiązała się rozmowa. Ponieważ znajomość spraw Żydów indyjskich nigdzie nie jest duża, przeto przygotujcie się na mały wykład:

Po zakończeniu drugiej wojny światowej Żydów na półwyspie Indyjskim, nazywanym Podkontynentem Indyjskim, było około 26 tysięcy. Nigdy zresztą ich w Indiach nie było przedtem tak dużo. Prawie połowa z nich znalazła się obecnie w Izraelu, ale aczkolwiek nigdy w swej długiej historii w Indiach nie mieli żadnych pro-

blemów, czy prześladowań, tutaj ich żydowskość wzbudza zastrzeżenia.

— Czy pan chodzi w sobotę do synagogi? — zapytałem. Coś mi się o Żydach indyjskich zaczęło przypominać z rozmów z Arturem. Artur był zawsze bardzo uprzejmy i miękki i australijskie dzieci wiedząc, że to Hindus, skakały mu po głowie. Miał więc — jak to się mówi w żargonie nauczycielskim — kłopoty z dyscypliną. Dyskutowaliśmy z nim różne sprawy; chciałem mu dodać otuchy i przy tej okazji przemycić kilka wskazań, jak postępować z dziećmi, które wyrosły w innej *way of life* niż delikatny i naiwny Artur.

— Do synagogi? Nie. Widzi pan, my od dawna jesteśmy takimi Żydami, którzy nie czują się zobowiązani do podkreślania Zakonu żydowskiego (*Jewish Law*) w tym stopniu jak to czynili Żydzi europejscy, którzy musieli to robić w obliczu prześladowań czy pogardy, aby zachować swą *identity and integrity*. Hindusi okazywali nam jak najdalej idącą tolerancję; żadnych prześladowań ani różnic nie było. Jedyna nietolerancja, jaką znamy, to ta którą okazywali nam Żydzi bagdadzcy; byli jaśniejsi od nas i przestrzegali bardzo ściśle przepisów religii możeszowej. Uważali nas za gorszych Żydów i dawali to odczuć. Byliśmy Żydami mniej religijnymi, czy nawet obojętnymi religijnie, i to od wieków.

— To po co pan przyjechał do Izraela? Nikt pana nie zmuszał do wyjazdu.

— Nie, nikt. Wyganiaли z Iraku, z Maroka, z Europy Wschodniej, ale nie od nas. Hindusi to piękny i mądry naród. Takiej wolności jak u nich, nigdzie nie było, choć i ich dotknął ostatnio bakcyl hipokryzji. Nietyle szarego człowieka, co przywódców. A przyjechałem, bo czułem się Żydem i pasjonowałem mnie eksperyment powstawania własnego państwa i narodu z różnych zlepek. Pomogła mi w tym — znów się uśmiechnął zażenowany, jak to czynią Hindusi — nieszczęśliwa miłość do młodej dziewczyny z wyższej kasty. Takie sentymentalno-roman-

tyczne sytuacje mają prawo istnieć zawsze, nawet w czasie wojen, konfliktów i wielkich kataklizmów. No, nie? „Dzieci Izraela”, czyli właśnie *Bene Israel*, wywodzą się z siedmiu rodów, które pozostały przy życiu, kiedy ich statki rozbiły się u południowych wybrzeży Indii i tyle ich wtedy zostało z całej grupy, skazanej na deportację. Historia nie mówi nic o asyryjskich strażnikach, którzy wówczas musieli konwojować Żydów. A jednak dziś — po tylu wiekach — *Dzieci Izraela* w Indiach było prawie 13.000; drugie tyle liczyli Żydzi bagdadzcy i kochińscy. I oto połowa z każdej społeczności, niezawsze zgodnie współżyjącej z drugą, wyemigrowała dziś do Izraela. Żydzi bagdadzcy i kochińscy przybyli do Indii dopiero na początku XIX wieku. W owym czasie *Bene Israel* pod względem koloru skóry — poprzez wchodzenie w związki małżeńskie z Hindusami — upodobnili się do miejscowej ludności. Klimat, stroje i sposób życia dopełniły reszty. Kiedy Żydzi bagdadzcy przywędrowali do Bombaju, potomkowie zaginionych Dziesięciu Plemion byli już normalną społecznością, uprawiającą różne zawody, a że otoczenie nie zmuszało ich do pewnych tylko zawodów — jak to było regułą niemal w innych ośrodkach diaspory — zaś celem ich nie było jedynie robienie pieniędzy, co gdzie indziej z kolei jednało im niechęć autochtonów, byli zwartą społecznością i w kastowym społeczeństwie zaczęli siebie określać jako „Kasta Żydowska”, lub „Kasta Izraelska”. Jak wszędzie gdzie asymilacja przebiegała bez nacisku, a kultura miejscowa była atrakcyjna, osiągnęli Żydzi wysokie stanowiska i znaczenie nawet w armii angielskiej i w *East India Company*, mimo że w poprzednich wiekach, na początku pobytu w Bombaju, ich typowymi zawodami było wytłaczanie oliwy i praca po urzędach.

To wszystko — asymilacja aż z tak dobrymi wynikami, bez kompleksów, i szczęśliwe życie — było możliwe jedynie dlatego, że nie było żadnych nacisków ani za asymilacją — ze strony mądrych i tolerancyjnych Hindu-

sów, ani przeciw niej — ze strony własnego szamańskiego kleru, jak to często zdarzało się w innych krajach diaspory. Mimo to, przez tyle wieków — prawie 2800 lat — Żydzi ci nie stracili poczucia narodowego, przeciwnie, potrafili przetrwać, rozrósć się, wchłaniając tu-byłców, wzbogacać się o piękne cechy i dorobek kultury kraju osiedlenia.

P.S. Już po powrocie do Australii natknąłem się na książkę pt. „The Children of Israel” (*The Bene Israel of Bombay*). Autorka jej, znany socjolog australijski, pochodzenia żydowskiego; dr Schifra Strizover, po wielomiesięcznych badaniach na miejscu w Bombaju, dochodzi do podobnych wniosków, że są oni Żydami, choć łączność religijną utracili. Więc są możliwi tacy Żydzi? Chyba tak. Ale powiedzcie o tym ortodoksom! Zaraz na was naskoczą i będą krzyczeć o tradycji, wspólnocie religii i znowu o tradycji, będą wspominać zburzenie Świątyni, jak gdyby tradycję należało wzmacniać i przeforsowywać prawem państwowym. Tradycja której ludzie nie chcą stosować jest już niczym, nie jest tradycją. Dopóki ktoś chce się oblewać wodą na śmigus-dyngus — to jest tradycja. Ale gdyby Państwo kazało w Polsce oblewać się wodą i wywierało presję na niestosujących się do tego — byłby to nonsens i ciemnota. Dlatego ta migawka o Żydach bombajskich wydaje mi się tak ważna i podważa opinię, że tradycję Izrael musi utrzymać.

WYCIECZKA DO HEBRONU

Ziemia ta gromadzi prochy tysięcy, religie, cywilizacje imperiów i ludów, zawiera w sobie kontrasty, zdawałoby się nawzajem się wykluczające, a każdy po swojemu urzekający i znamienny i pasujący do tej mozaiki, młodego ogrodu, cmentarza historii, pustyni i ziemi mlekiem i miodem płynącej. Wszystko to żyje i pulsuje namiętnie, zmienia barwy i światła, kontury i kąty perspektywy i czymś dziwi, czymś martwi i zachwyca.

Akko, dawna *Accra* krzyżowców, Jaffa ze swymi galeriami i uliczkami, pierwsza zaludniona tylko Arabami i ich minaretami, rozbrzmiewająca głosami muezzinów i zgiełkiem życia, tętniąca ciszą dawnych wspomnień i zabytków, a druga pełna uroku, szczególnie wieczorem; prześliczna nowa Bazylika Zwiastowania w Nazarecie — absolutne cudo i przeżycie nawet dla tak niedoskonalego chrześcijanina jak ja — na ruinach wcześniejszych świątyń i domku Marii: na ścianach wykute wersety Zdrowaś Mario po łacinie, a na zewnątrz groźny i surowy krajobraz pustyni, piachu i nikłych wzgórz z zetlałą zielenią, rozedrganym słońcem, gdy wewnątrz dojmujący ład serca i kolorowy półmrok chłodu spływający od barwnych modernistycznych a pięknych witraży; modły akurat przybyłej tu włoskiej pielgrzymki w podziemiach

kościół czterech wyznań w Betlejem, w miejscu stajenki, te małe drzwi w ogromnym murze, aby każdy, nawet innowiercy, *musiał się pochylić w miejscu gdzie się urodził Chrystus*; Ściana Płaczu, mniejsza niż przypuszczałem i niż sądzić można ze zdjęć, a jednak dławi tu człowieka wzruszenie spełnionego żydowskiego marzenia wieków i plemion diaspory; grobowiec Króla Dawida; oba słynne meczety jerozolimskie, złota kopuła i wspaniałe inkrustacje, dywany perskie zagniatane kolanami pokoleń; krajobrazy oglądane z Cytadeli Starego Miasta i koronka murów; chodzenie po Via Dolorosa i po każdej uliczce w starej Jerozolimie; nowoczesne Muzeum Izraela, gdzie największe świętości żydowskie — *Shrine of the Book* i manuskrypty-znaleziska z Qumran — wystawione są wspaniale w pawilonie, który na wypadek bombardowania może automatycznie obniżyć się pod poziom ziemi i stać się schronem dla tych narodowych świętości; a nawet olbrzymia szachownica pól i łąk nad Jeziorem Galilejskim w dziesiątkach odcieni zieleni i roli — wszystko to są wielkie i pamiętne przeżycia natury wewnętrznej i estetycznej, wzbogacające pamięć, wrażliwość i graduał wzruszenia o nowe wymiary i wrażenia. Ale najgłębiej w pamięć weszła mi scena w Hebronie, może dlatego, iż raczej w Izraelu szukałem żywych ludzi i chciałem poznać dzisiejsze sprawy tego kraju.

Do Hebronu — poprzez Jerozolimę i Betlejem — wziął nas Bolek Haendler z Borysławskiej ulicy, co mieszkał niedaleko polonisty Mściwujewskiego. Hebron, jedno z czterech miast w historii świata zamieszkałe stale od pięciu tysięcy lat, leży na „Ziemiach Odzyskanych” i Bolek wziął ze sobą browning. „*Wam nic nie grozi — powiedział z uśmiechem — ale mnie tak. Szkoda, że Basia nie wzięła krzyżka!*”.

Jedziemy wozem Bolka poprzez Ramłę, wyjechaliśmy wcześniej rano, by uniknąć ruchu, a poza tym mamy dziś długą drogę przed nami. Gadamy o tym i owym, po drogach czekają na autostop grupki żołnierzy i żołnie-

rek, ale nie możemy im dać *lift'a*, gdyż w małym wozie jedzie nas pięcioro: nas troje i córka Bolka z mężem. Po polsku nie mówią dużo, ale w miarę się rozkręcają. Po raz któryś z rzędu dowiadujemy się, podobnie jak i wcześniej od innych, że dzieci często nauczyły się po polsku same, ze słyszenia, aby wiedzieć o czym rodzice mówią, lub o co się kłóca. Przejeżdżamy przez Latrun, gdzie są ruiny fortecy Krzyżowców i klasztor Trapistów. Na tym ważnym skrzyżowaniu dróg do Jerozolimy miała swój obóz nasza Brygada Karpacka, tu po dziś dzień stoi na wzgórzu panującym nad całą okolicą olbrzymi czworokątny budynek, posterunek angielskiej policji, piętrowy i grubo murowany blokhauz, stanowiący właściwie fort. Jest różowy jak glina tutaj, śladu kul na nim już nie ma, odnowiono go chyba, żadnego życia tu nie widać. Ilekroć przejeżdżaliśmy tędy, zawsze były tu te opuszczone rolety i czerwieniejąca płaszczyzna ścian na tle spokojnego krajobrazu, gdzie nie brakło zieleni i drzew. A o kilkaset metrów dalej stoi duży klasztor, z daleka widoczna wieża kościoła, czerwonymi dachówkami kryte dachy, jest i duży ogród, winnice, zieleń, pracują deszczownice.

— Anglicy oddali po cichu posterunek Arabom i trzeba było go zdobywać w 1948 — opowiada Bolek, dawny drohobycki Wilek. — Tu padło 311 naszych chłopców i ja tu walczyłem. — Potem milknie i wzdycha. Patrzę na ten teren, na wzgórze z fortem, panującym nad dookolnym krajobrazem i choć niewiele liżnąłem wiedzy wojskowej, od razu widać jak trudna i beznadziejna była ta walka. Tu kompania mogła bronić koszar przeciw brygadzie, tym bardziej, iż atakujący nie mieli artylerii. Nie ma tu ani jednego krzaczka, ani jednego załomu, czy fałdy terenowej, nic, trzeba było piąć się po zboczu, po gołym wzgórzu aż pod same koszary, skąd obstrzał był idealny i łatwy. Innej rady nie było.

— Ale zdobyliśmy — kończy po chwili Bolek.

Dalej po bokach autostrady wiodącej przez pofałdowaną przełęcz do Jerozolimy stoją wypalone i pordzewiałe wozy pancerne i *carriery* — to pamiątki z walk w 1949. Podmurowano je na cementowych cokołach i są dziś pomnikami. „*Tu naszych zginęło 83*” — objaśnia Bolek. — Wokół jest las, skały, przypomina mi to partyzantkę we Francji, w Alpach. Też nie łatwo było tę drogę forsować. A chociaż w 1947 Izraelczycy przychwycili koło Dodekanezu duży transport broni czeskiej dla Syryjczyków — wartości jedenastu ówczesnych milionów dolarów — to przecież ich braki w uzbrojeniu były wówczas spore.

— Do tej budowli była nasza dawna Jerozolima — zwraca mi uwagę Bolek i pokazuje, gdy zjeżdżamy w dół do miasta — dalej jest ta część, którą mieli Arabowie. Zobaczysz różnicę, mimo że już teraz wiele zmieniło się na lepsze.

W Jerozolimie od razu widać różnicę w zasobności i architekturze pomiędzy częściami miasta, które Żydzi mieli od 1949 roku, a tą, którą władali Jordańczycy do 1967. Ale dopiero poza miastem kraj robi się pusty, bezdrzewny, bardziej szary i biedny. Brat mój, jeszcze przed Sześciodniową Wojną, po zwiedzeniu Jordanii uzyskał jako dziennikarz pozwolenie na przejście przez bramę Mandelbauma na izraelską stronę Jerozolimy. Po stronie arabskiej prawie że nie było widać krów, tylko parę kóz; w Izraelu zobaczył fryzjijskie krowy. Po arabskiej stronie Jerozolimy były nieporządki, brudne domy i ulice, w Izraelu czystość i ruch. „*To były różnice rzucające się w oczy* — opowiadał mi, kiedy go odwiedziłem w Monachium — *dwie różne światy, dzień i noc, a raczej noc — bo naprzód byłem u Arabów — i dzień*”.

Jedziemy pustynnym krajem bez zieleni, a w każdym razie jest jej tu dużo mniej niż w dawnym Izraelu. Z wiossek arabskich — ściany arabskich domów są kolorowe,

przeważnie niebieskie, lub zielone — bije fetor* mimo, że oddalone o 200-300 metrów od drogi. Smród czujemy nawet w samochodzie. Mijamy arabski autobus, do którego ładuje się grupka ludności. Stali w upale czekając na autobus Arabowie w burnusach, kobiety z kwefem lub bez na twarzy, ale trzymające na głowach paczki, pakunki, tobołki, worki. Patrzą na nas apatycznie, bez złości, bez niechęci. Za chwilę spotykamy stado czarnych kóz, dogłada go stary pasterz z kijem i psem. Upał, kurz. Czasem jawią się małe gaje oliwkowe, ale przeważnie, jak okiem sięgnąć, gołe pagórki, kamienie, piarg, wszystko na szaro spalone słońcem. Gdzieś po bocznej drodze idą wielbłądy i kilka osłów z tobołami na grzbietach. Na innych osłach i mułach jadą milczący Arabowie, za tą grupką truchcikiem idą kobiety i dzieci. Izrael ma jeszcze kilka plemion Beduinów, koczowników.

Zwiedzamy Betlejem, wrócimy tu jeszcze, i znowu 22 km. pustynnej drogi w upale, w zakrętach serpentyn. Zbliżamy się do Hebronu.

Według statystyk Hebron liczy 39.000 mieszkańców, jest taki jak Drohobycz, lecz w pierwszej chwili widzi się tylko małą i pustawą wioskę, ludzi prawie że nie widać, upał wprost leje się z nieba, na płaskich dachach sterczą anteny telewizyjne, mury się obsypują, gdzieś gdzie widać drzewka i krzewy. Wreszcie obskoczeni przez chmury chłopców (dziewczynek tu nie widać) dojeżdżamy do wałącego się muru na placu i pod drzewem figowym parkujemy wóz. Wyrostki palą papierosy, ale gdy nas zobaczyły, z miejsca je chowają, zrobiły to błyskawicznie, i już wyciągają ręce, prosząc o bakszysz i o... papierosy. Ofiarują usługi, że popilnują samochodu, albo przyniosą wody do chłodnicy, próbują sprzedać nam rzeźbione w drzewie osiołki i wielbłądy, wisioriki, fujarki i widokówki. Krzyczą, przekrzykują się, próbują kilku ję-

* Czym one tak śmierdzą? — pytałem przy innej okazji Benia. — Jak to czym? — odparł oburzony. — Czosnykiem!

zyków, bo nie wiedzą jeszcze z kim mają do czynienia, mówią nawet po niemiecku, chcą być naszymi przewodnikami.

— *My name is David* — woła najbardziej nachalny — zapamiętajcie to imię i nie kupujcie nic od nikogo innego, tylko od Dawida!

Bolek podnosi szyby w wozie, zamyka go skrupulatnie. Idziemy pod górę, placyk otoczony jest domkami, całe kondygnacje dachów, zamkniętych drzwi, czasem gdzieś widać druty elektryczne, pstrokacizna wypłowiałych ścian, widać jednak, że miasto rozciąga się w kilku kierunkach, że tu i tam wisi bielizna, kręcą się kobiety, nawet gdczą kury, a z niektórych kominów snuje się dym.

Wspinamy się po schodach, których jest wiele. Upał, muchy. Na wzgórzu, niby forteca otoczona wyschłymi już rowami, stoi ogromny meczet, wzniesiony na grocie Machpelah. Jest imponująco wielki i wysoki, w nim są groby Abrahama i Sary, Izaaka i Rebeki, Jakuba i Lei.

— Pomyśl tylko, że to stoi prawie pięć tysięcy lat — mówi na ogół małomówny Bolek. — Jest to święte miejsce i dla Żydów i dla Arabów, bo kiedyś byliśmy kuzynami — uśmiecha się. I obciera chusteczką twarz z potu.

Pod jakimś dużym drzewem stoi *jeep* armii izraelskiej, na nim siedzi kilku żołnierzy, karabiny położyli na kolanach i patrzą dokoła. Szofer powoli obiera pomarańczę.

Wspinamy się coraz wyżej, krużganki, mostki, wypalone słońcem ściany, okien nie ma, tylko dwoje czy troje drzwi. Zebrało się tu kilkunastu turystów, Arabów i grupka amerykańskich chasydów, ubranych na czarno. Są z żonami i z dziećmi. Jest też kilka tejmenek z dziećmi; tejmenki są rozkrzyczane, chasydzi przejęci i milczący, za chwilę będą mogli się modlić u grobów Patriarchów. Bolek musi oddać u wejścia broń, odbiera mu ją podoficer izraelski, my musimy nakryć głowy, Basia

apaszka osłania ramiona, ja głowę chusteczką, stoi tu grupka żołnierzy, ale straż porządkową trzyma arabska policja. Idziemy przez jakieś podwórza i ganki, podcienia, schody i schodki, wreszcie ogarnia nas półmrok i chłód świątyni. Sufity są niebotyczne, gdzieś w górze otwarte okienka, wewnątrz lata zabłąkany tu ptak i ćwierka niespokojnie; co chwilę natrafiamy na kute w żelazie drzwi: wzory okuć to pajęczyna misterna. Tak. Od Sary i od Agar rozeszły się te dwa ludy, kuzyni, semici, od przodka Abrahama; tysiące lat patrzą na nas, majestat ciszy, a za chwilę słychać pomruk modlitw. Stajemy przed kaplicami, gdzie leżą patriarchowie z matriarchami. Abraham, Izaak i Jakub to i dla Arabów prorocy.

Małżeństwa te leżą w oddzielnych grobowcach; znowu misterne żelazne ażurowe bramy i półmrok kaplic. Kamienne grobowce wyglądają jak ogromne wypukłe budy na cygańskich wozach, mają po sześć, siedem metrów wysokości, kolor ich to ciemna zieleń; szarzeje tu światło; inne kamienie są brązowe i czarne; palą się świece i lampki oliwne, leżą makaty i dywany, z jednej strony widać kilku brodatych i pejsatych Żydów, kiwają się z książkami w rękach, nosem niemal bijąc w wysoki grobowiec, oczy mają zaczerwienione — łzy wzruszenia, czasem aż dech tracą z wrażenia. A po drugiej stronie grobowca siedzą nieruchomo w kucki Arabowie, na wschodnich dywanach, czasem tylko przewracają oczyma i ruszają bezgłośnie wargami. I oni modlą się do swego Boga za pośrednictwem owych patriarchów, wspólnych dla obu religii.

Robi to na mnie ogromne wrażenie. Może więc kiedyś kuzynowie się pogodzą, może pogodzą ich właśnie ci wspólni Ojcowie? Jeśli Arab i Żyd mogą razem się modlić, to może i powinni żyć razem? Często później wspominałem tę scenę. Ale również prawdą było, iż z obu stron modlili się głównie starcy. Młodzieży tu nie było, a jeśli była, to stała z boku, patrząc tylko z ciekawością na ową scenę.

Nagle w przedsionku robi się ruch, rwetes, wrzask. To czarne Żydówki z Tejmenu chcą ubliżyć Arabom i w meczecie plują pestkami i resztkami jedzenia. Żołnierz izraelski zwraca im uwagę, robi się awantura. Wiecie jak kłąć i wymyślać potrafią kobiety Wschodu! Żołnierz tłumaczy im o poszanowaniu miejsc świętych, nadchodzą inni żołnierze i przepędzają tejmenki. Arabowie patrzą na zbiegowisko niespokojnie — co będzie? — ale za chwilę widać ulgę i wdzięczność na ich twarzach. Żydówki z bachorami jeszcze trajkocą i brzęczą, ale żołnierze wyprosili je poza obręb świątyni.

Na zewnątrz jest jeszcze większy upał, wściekłe słońce zalewa świat, zwiedzamy bazyry na szuku, stragany, wnęki mrocznych sklepów, pijemy *Coca-Colę*, *Bitter Lemon Schweppes'a* i zimne soki owocowe. Naokoło tłum: znowu osiołki, kobiety z tobołami na głowach, w kwefach i bez, rośli Arabowie. Siedzą grupami w kawiarniach i palą nargile z długich fajek, u rzeźnika wiszą nogi baranie w roju much — na ten upał! Dalej kupić można orzeszki, makagigi, ociekające tłuszczem ciastka i słodycze, pestki, lusterka; mnóstwo jest zakładów fryzjerskich, kawiarnie; widokówki, ówdzie w worach fasola, bób i jakieś kasze, baranie kozuszeki i ubiory; każdy mężczyzna nosi na sobie po kilka szat, ale żaden nie jest spocony; jest tu nawet kilka samochodów; numery rejestracyjne są w innym kolorze niż tablice rejestracyjne obywateli Izraela. Niektóre z nich to lśniące Mercedesy, wewnątrz widać otyłych Arabów żujących daktyle, patrzą na słowiańską Basię z zainteresowaniem, bo już zdjęła chustkę z głowy i z ramion. Dopiero teraz, od środka, widać że miasto jest dość duże. Nawet jest sklep nowoczesny: *American Ice Cream Shop*. Ale przy bliższym obejrzeniu widać brud.

Idziemy jeszcze do arabskiej wytwórni ceramiki i słynnego w całym świecie szkła hebrońskiego. Mieści się ona w jednej piwnicy, zawalonej setkami prześlicznych wyrobów. Naprzód oglądamy to wszystko i patrzymy jak

garncarz pracuje, jak na obracającym się kolistym talerzu formuje kształt przyszłego dzbanka, potem oglądamy prymitywne piece do wypalania ceramiki. Właściciel fabryczki, młody Arab, ma śliczne oczy i jest zawstydzony obecnością młodych europejskich kobiet. Chcemy kupić upominki dla przyjaciół w Melbourne, ale możemy do samolotu wziąć tego nie dużo i tylko same małe przedmioty. Wybieramy, Arab i kupa małych pomocników słuchają jak mówimy po polsku; po chwili chłopcy powtarzają: *tak, nie, weź to, to nie duże* itp. Mają z tego dużo zabawy, my też. To urodzeni lingwiści. Wreszcie, gdy na stole ułożyliśmy to, co chcemy kupić, Bolek zaczyna targ z Arabem. Mówią na odmianę to po hebrajsku, to po arabsku i widać, że obaj mają z tego targowania się dużo frajdy. Są tu słowa i niedowierzające uśmiechy, cały wschodni rytuał mimiki, gestów i zaklinania się. „*Ty chyba kpisz, podając tę cenę? Ja kpię? To ty umyślnie podajesz cenę dziesięć razy większą (lub mniejszą) zależnie czy mówi sprzedający, czy kupujący* i Arab wtrąca coś po niemiecku, w jidysz i nawet po francusku, to w ogóle jest balet i pantomima, dzieci przyglądają się artyście i Bolkowi z uznaniem, wreszcie płacimy jakies 30 % żądanej na początku sumy i wszyscy są zadowoleni, a Arab wprost szczęśliwy. Na dodatek dokłada nam sznur szklanych paciorków dla Basi i dla mnie maleńki dzbanuszek na kwiaty. *Ohne Geld* — mówi — *Nosink*.

Wtedy do piwnicy wchodzi Żyd amerykański, turysta, z cygarem w ustach, szpakowaty, starszy, z nim gruba zziajana upałem żona. On zasiada za tokarką i maluje malutkie flakoniki, maczając pędzel w rozłożonych talerzykach z farbami. Potem rysuje na oczach zachwyconych dzieci sylwetkę *Donald Duck* i *Mickey Mouse*. My w międzyczasie pakujemy nasze zakupy. Bolek też kupił kilka dużych dzbanów i szklanych flakonów i wazonów na kwiaty, są tu o dwie trzecie tańsze niż w sklepie WIZO na Allenby Road w Tel-Awivie. Żyd z Filadelfii wybiera coś i pyta ile flakonik kosztuje. *How much?*

Trzy funty, odpowiada bez namysłu Arab. Żyd wyciąga portfel i z miejsca płaci. *A to ile kosztuje* — wskazuje na podobny przedmiot. Pięć, odpowiada niepewnie Arab. Żyd płaci bez słowa. *A to?* — wybiera następny. Siedem funtów, mówi Arab. Tamten znów płaci. Za każdym razem Arab podwyższał cenę, a tamten bez słowa płacił. Na twarzy Araba malowało się naprzód rozczarowanie, a potem wyraźna pogarda do Żyda zza oceanu. Po jego wyjściu mówi do nas po niemiecku: „*On nie umie kupować...*”. I splunął.

W „ROWALU” NA DIZENGOFF

Wszyscy ludzie, szczególnie z mniejszych krajów, mają inklinację do lokalno-patriotycznej przesady. Nie brak było w Polsce przed wojną takich, którzy nazywali Warszawę „Paryżem Północy”, jak gdyby sam niepodrabialny urok Warszawy im nie wystarczał i pomimo tego, że nasza stolica nie leży tak bardzo na północ od Paryża, zaś podobieństwa istotnego chyba w ogóle nie było. Podobnie Izraelczycy zwą Tel-Awiv „Paryżem Bliskiego Wschodu”, chociaż Syryjczycy i Libańczycy swoje stolice także ochrzcili „Paryżami Wschodu”. Ci przynajmniej, jako kolonie Francji, mieli bliższe kontakty z Paryżem. Ale i mój kolega Egipcjanin, kopt o imieniu Migo, czyli Magdy, uczący wraz ze mną w australijskiej szkole średniej i który w życiu nigdy nie był w Paryżu, nazywa Aleksandrię, w której się urodził, „Paryżem Afryki”.

Siedzimy w „Rowalu” na Dizengoff Street i Izio Patrycha pyta mnie czy istnieje duże podobieństwo pomiędzy ulicą Dizengoffa a Champs Elysées. Skrzywiłem się uprzejmie, bo duma dumą, ale i przesada przesadą.

— Dizengoff Street jest piękna i żywa i szczególnie wieczorem przypomina bulwary paryskie, te już bliżej Placu Republiki. Gdyż w dzień widać tu bardziej Wschód; jednak wieczorem przy tylu światłach i drze-

wach, przy tylu pięknie ubranych, ładnych kobietach może oblecieć za Boulevard des Italiens. Ma jednak swój własny wdzięk i urok, jakiś nawet styl i to chyba jest najważniejsze.

Café Rowal został zaanektowany przez ziomkostwo drohobycko-borysławskie i o każdej porze dnia i wieczoru można tu spotkać kogoś z Zagłębia Naftowego przy mrożonej kawie, która jest niemal narodowym napojem.

Ale „Rowal” ma drugi lokal przy Placu Królów Izraelskich i tamten bez wstydu mógłby się znajdować nawet na Champs Elysées, taki jest elegancki i czysty. Jednak i ten na Dizengoff Street jest ładny i ma obszerny ogródek, atmosfera tu jest bardzo przyjemna i kilku kelnerów mówi tak po lwowsku, jak gdyby nigdy ze Lwowa nie wyjeżdżali. Znamienne wszakże jest, że w piątki wieczorem „polskiej” publiczności tu się nie widzi, ani nie słyszy.

— Czyżby szabes? — pytam.

— Zwariowałeś? Jaki szabes? W piątek Polacy grają w karty po swych domach. Wtedy tu przychodzą Rumuni *dupa masa*, czyli po kolacji.

To słynne izraelskie piątkowe kartołupstwo ludzi z Polski jedni uważają za aberację umysłową, a inni za podtrzymywanie tradycji i przyjaźni ze swego miasta, bo drohobyczanie grają z drohobyczanami, a warszawiacy z warszawiakami, oczywiście powstają nowe komplety, ale na ogół ludzie trzymają się dawnych znajomości i przyjaźni.

Było to w mej obecności w księgarni Mundka, w pierwszy ranek po dewaluacji funta izraelskiego w stosunku do dolara amerykańskiego, był to pierwszy telefon z miasta. „*Mundek, słyszałeś o dewaluacji? Musimy podnieść nasze stawki brydżowe też o 20 %*”. O tym kartołupstwie mówili mi nie tylko moi drohobyczanie, których tryb życia obserwowałem, ale i inni, np. pisarz Stanisław Wygodzki i pewien pułkownik ludowego Wojska

Polskiego, który prowadził Zespół i Chór Wojska Polskiego w Warszawie.

Tu jednak byłyby okazja, aby powiedzieć kilka słów o *ziomkostwach* jakie samorzutnie powstają wszędzie, gdzie się tylko zbierze grupa Żydów z jakiegokolwiek miasta Środkowej Europy. Szczególnie zaś wśród Żydów polskich utrzymuje się ta tradycja i prawie każde ziomkostwo poza działalnością samopomocową i towarzyską przejawia jeszcze inną działalność. To samo obserwuję pomiędzy Żydami polskimi w Melbourne: ziomkostwo białostockie* jest najpotężniejsze, ma swój dom, *Białystoker House*, gdzie piękna ongiś i stale zasobna w białe kruki biblioteka murszeje i gnije, jako że z wymieraniem jej klientów nie ma komu tym wszystkim się zajmować, bo młodzież już nie czyta po polsku. W Melbourne istnieją ziomkostwa: warszawskie, krakowskie, łódzkie, nawet taki Sokołów Podlaski ma swe ziomkostwo, gdyż sporo futrzarzy z tego miasta uratowało się; w ogóle tych ziomkostw jest sporo. Prawie każde z nich poczuwało się do obowiązku, aby wydać — w jidysz — historię i księgę pamiątkową swego miasta, gdzie zanotowano wiele relacji niedobitków z okresu okupacji. Niektóre z nich zawierają bardzo ciekawe i propolskie materiały, choć po wojnie, pod ogromem strat i bólu, nikomu nie było łatwo o obiektywizm.

Podobne ziomkostwa istnieją w innych krajach — po wieczorze autorskim w Izraelu otrzymałem zaproszenie od drohobyckich ziomkostw z Argentyny i Stanów Zjednoczonych. Drohobyckie ziomkostwo w Tel-Awivie (istnieje drugie w Haifie) należy do najliczniejszych, jego prezesem jest inż. Drzewiecki, dawny Holzmann, i co roku na rocznicę likwidacji getta w Drohobyczu urządza wieczór *Askara*, czyli dzień pamięci. Głównym mówcą wówczas jest zwykle Benio Sharoni, bo pięknie przema-

* W Australii mówi się że jej ludność pochodzi z trzech *stocks*: *English stock*, *Irish stock* i *Białystok!*

wia. Drohobycko-borysławskie ziomkostwo nie wydało jeszcze księgi pamiątkowej swojego miasta, czy swoich miast, ale jeżeli nas tak serdecznie przyjmowano, to dlatego, iż koledzy moi uważają tu że w „Atlantydzie” *wystawiłem pomnik Żydostwu z naszych stron*. Z taką opinią tak sformułowaną spotkałem się kilkakrotnie. Na mym wieczorze w *Beth-Sokolov* — bilety kosztowały po 10 i 7 funtów izraelskich — było dobrze ponad 300 osób, przeważnie drohobyczanie. Ci czuli się niejako zobowiązani, a że wieczór się udał i podobał, natychmiast dopominano się o dalsze wieczory, lecz ze względu na szybki odjazd po tej dacie, nie było to możliwe. Najbardziej się dopominał pan Majer z Borysławia, bo miał akurat *barmycwę* w dniu mego wieczoru i nie mógł jej opuścić: „Ja przyprowadzę 60 osób z tej *barmycwy* i nawet za nich zapłacę, ale pan musi powtórzyć ten wieczór. Ja panu szczerze powiem, że ja nie wierzyłem, iż pan może być dobry, bo pan z Drohobycza, a co dobrego może być w Drohobyczu? Pan rozumie, wy cebularze drohobyccy, a my małachy borysławskie, ta konkurencja jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy...”. Pan Majer zasłużył na mą wdzięczność przy innej okazji: Po wyjściu z warszawskiej kawiarni Kapulskiego zaszliśmy do jego sklepu z Janem Fokiem. „On wielki bogacz” — cmokał pan Jan, dawny księgarz i wydawca krakowski. Pan Majer patrzył na mnie z ciekawością i powiedział: — Ja jestem z Borysławia i tam mieliśmy z bratem firmę Majer, ale pan tego nie będzie pamiętał.

— Co znaczy nie będzie pamiętał? — zaprotestowałem — Majerowie mieli duży sklep koło mostu w centrum!

— To pan pamięta gdzie to było? — rozculił się i z miejsca zawołał na subiektów — po polsku — aby mi dali koszulę. Popatrzył na mnie krytycznie i szepnął do nich: *największa, ta w tej paczce, XXOS, szara, będzie pasować do tych szortów co pan Chciuk nosi. Leżała jak ulana, „no, ja mam to oko”* — mruknął zadowolony

że mi się podoba. A potem nie chciał za nią grosza. „*Niech się panu w zdrowiu zedrże*” — uśmiechnął się. — *Mnie na to stać, panu się przyda, co jest, ni ma o czym mówić. Cała przyjemność po mojej stronie. Mnie mówili, że pisarze emigracyjni nie zarabiają dużo... Ale że też pan pamiętał gdzie był nasz sklep?...*”

Więc nieraz siadywaliśmy w owym „Rowalu” i gadaliśmy. Kiedy rozmowy przeciągały się w noc, przechodziliśmy do knajpy pana Leona z Mławy — restauracja dwóch braci, niemal naprzeciwko, nazywająca się „Imbiss” — gdzie dzwonko śledzia jest mięsiste, a szczypiorek zieloniutki, zaś wódka zawsze mrożona i gdzie dowcipny i żywy jak rtęć pan Leon nieraz postawił nam wszystkim wódkę. „Hłasce stawiałem, oj, szkoda tego Marka, to panu tyż postawię, co jest? Poza tym ja jestem już honorowym drohobyczaninem, gdyż wasz król nożowników, Artur Zuckerberg, wnuk tego dorożkarza z „Atlantydy”, to mój serdeczny przyjaciel i mnie dostawia kury” — uśmiecha się, zmiatając serwetką nieistniejące kurze; wypił, chuchnął i już gonił do innych gości, aby za chwilę wrócić i sypać powiedzonkami. „Co pani podać? — pyta mej żony. — Siekaną wątróbkę? Karmenadle? Gefilte fisz? Śledzia? Naleśniki z serem? Czy szczupaka po agresorsku?” a do mnie: „Panie Andrzeju, słyszałem, że przez wiele lat gotował pan jako kucharz nawet w polsko-żydowskiej restauracji. Napisz pan, że nasza kuchnia już ginie, coraz więcej ludzi zamawia ten arabski *chumus*, albo narodowe danie izraelskie *pulkies*, czy też odwieczny hebrajski specjał *steak and chips*. Widział pan? A płuca na kwaśno? A kreplach, czy blintze, barszcz, czy czulent mit kiszkie, a twarożek, a śledzia, a knedle ze śliwkami, a kigiele, a karpia w galarecie, a kurczaki z mizerią? Kto to tu będzie jadł za 20 lat? Nikt. Młodzież odchodzi od tradycji ojców”. Za chwilę gdy wróci, będzie niemal z rozrzewnieniem opowiadał o swej służbie wojskowej w Różanie i o swej orkiestrze tanecznej, z któ-

rej żył, zanim nie przerzucił się na restaurację. „Oj, gwałt, mówię panu — szepce wzruszony przy innej okazji — trzeba było aż tu przyjechać, aby dopiero zobaczyć na własne oczy, jak te parszywe Żydy kochają Polskę...”. I już się śmieje szelmowsko i truchcikiem, lekko zgarbiony, biegnie po nową butelkę wódki. Polskiej z Izraela.

Opowiadamy sobie wszyscy o naszych losach za ostatnie trzydzieści kilka lat, przerywamy sobie kawałami i chwilami nagłej zadumy, pamięć podrzuca co chwilę komuś mało — na oko — istotne zdarzenia, czy sytuacje, mówimy o naszych sympatiach, belfrach, marzeniach, jak przeżyliśmy wojnę, co się nam przytrafiło, lub nagle milczymy i bez słowa patrzymy na przewalający się tłum, gdzie widać dużo wojska i żołnierek w zgrabnych mundurach i obcisłych mini-spódniczkach, z czarnymi torebkami na pasie przez ramię. Chodnikami płynie tłum twarzy, takich, innych, kolorowych, śniadych, turystów, bogaczy, niebieskich ptaków, ojców rodzin, urzędników i kupców, są tu nawet „podrywacze” — rozmnożyli się ostatnio, nie chcą pracować, wałkonią się po kafejkach — polujący na bogate zagraniczne, głównie amerykańskie turystki, w ogóle zrobiło się tu nagle za wiele złotej młodzieży, ulicą mkną autobusy, zawsze punktualne i szybkie, lśniące od okuć wozy, głównie Mercedesy i Volkswageny, są i BMW — to z odszkodowań i ścisłych stosunków handlowych, choć żaden Żyd w Australii nie odważyłby się jechać niemieckim wozem, presja środowiska — są tu wozy amerykańskie, francuskie, szwedzkie, nawet japońskie, włoskie też, ale stosunkowo mało widzi się samochodów angielskich. W ogóle z wpływami angielskimi w Izraelu sprawa ma się osobiście.

Choć angielskiego uczy się w szkołach obowiązkowo i jest on niemal oficjalnym językiem poza hebrajskim i arabskim (prawie wszędzie obok napisów hebrajskich, a często i arabskich, są napisy angielskie), wydaje się — i tego wrażenia nie mogę się pozbyć przez cały czas pobytu w Izraelu — że angielskiego używa się tu coraz

mniej i coraz mniej chętnie. Poza milczącym podziwem dla kultury, cywilizacji, organizacji i wielu cech systemu, przejętych przez Izrael, dobrze tu mówi się o Anglii tylko jeśli się przypomina sprawę angielsko-francuskiego desantu na Suez w 1956 i wszyscy żałują, że Ameryka tak niefortunnie się wmisczała wówczas w sprawy Bliskiego Wschodu, czego smutną konsekwencją jest stałe wrzenie w tej części świata. Przeciętny obywatel Izraela wierzy Ameryce, że ona go nie opuści — słuszność sprawy, walka o ideały wolności i demokracji, fakt, że w interesie Ameryki jako przeciwwaga rozszerzającym się wpływom Rosji na tym terenie jest istnienie silnego Izraela — ale w tym całym raczej wyrozumowanym podejściu do Anglosasów jest gorycz i świadomość, że na ogół wierzy się w to, w co chce się wierzyć, bo życie bez nadziei jest dużo cięższe. Liczy się też na wpływy Żydostwa amerykańskiego.

Ale oprócz tego wszystkiego uderzające jest stanowisko wobec angielskiego języka. Dziwi jakaś trudna do zdefiniowania inność tego tutaj używanego języka: nieraz całe zdania w *Jerusalem Post* aż się proszą o przeredagowanie. Nie zanoszą się na powstanie nowego języka angielskiego (chodzi nie tylko o *akcent*, ale i *składnię*) jak w Indiach, gdzie już od początku kolonizacji żyje on swych oddzielnym życiem i prawami. Tutejszy język angielski staje się po prostu coraz gorszy i nikogo to nie obchodzi. Podczas wędrówek po kraju widziałem i wynotowałem setki takich napisów jak: Conditory, Jeweller, Moda Shik Paris, Faschions, Vatchmaker and Goldsmith, a nawet w ustępach: *Mak love no war!* Inną sprawą jest ciągle nieuregulowana sprawa pisowni nazw miejscowości w języku angielskim: obok Netania, jest Natania, Netanyah, Nathania, obok Tel-Itzhak, widać i Tel-Itshak, Tel-Itzhaq czy Tel-Ytzhak, zaś nazwa na butelce wiśniaku wyprodukowanej w Zircon Jacob (w tej transkrypcji) na mapach i drogowskazach pisana jest w różnych wariantach: Zikhron Yakov, Zirchron Ya'acov,

czy nawet Zichron Yaaqov. Nie jest to na pewno sprawa bardzo ważna, ale już byłby czas, aby państwo istniejące od dwudziestu z górą lat, ujednostajniło pisownię nazw i miejscowości. Oczywiście, że wytłumaczenie, iż dotychczas było sporo problemów ważniejszych, ma swą logikę.

Na ulicach, w lokalach, czy w sklepach słyszy się dziesiątki języków: poza angielskim, czy polskim, słychać francuski, niemiecki, węgierski, bułgarski, hiszpański, *ladino*, rumuński, arabski, — *you name it* — a nawet mówi się tu po hebrajsku. Często jednakowoż słyszy się i rosyjski.

Żydzi całego świata robią dużo szumu o pozwolenie Żydom rosyjskim na emigrację do Izraela — „*let my people go, campaign*” — ale ciągle nie mogą się oprzeć wrażeniu, że gdyby Breżniew i jego klika chcieli Izraelowi zrobić szpetny kawał, wypuściliby naraz milion czy dwa miliony Żydów i to załamałoby Izrael, który nie byłby w stanie wchłonąć tak dużej masy, nie miałby tylu mieszkań i świadczeń dla nich, pracy i szkół. Ponieważ rezerwuary żydowskiej emigracji z innych krajów — poza Ameryką — już praktycznie biorąc się wyczerpały, a Żydzi z Rosji przyjeżdżają z dziećmi, wpływy języka rosyjskiego utrzymują się w tym kraju najdłużej. I to może być groźne z wielu powodów. Bo inne języki powoli będą zanikać, co jest normalne, bo już zanikają. Izrael stanie się państwem jednojęzycznym — zresztą zmierza do tego; poza hebrajskim, który ciągle jeszcze się tworzy (bo napotyka na problemy i terminologię nieznaną dawniej) ludność będzie tu za 25 lat mówić tylko jeszcze trochę po angielsku, i nie daj Boże, po rosyjsku. Przyjazd dużej ilości emigrantów z Rosji — ilościowo to już jest wyczuwalne — stwarza i inne problemy: życie pod komunizmem wynaturza stosunek człowieka do pracy i do państwa, państwo tam jest wrogiem i kiwanie go jest cnotą. Wynikają już trudności i nieporozumienia, na razie traktowane humorystycznie, jak casus tego żydowskiego krawca z Odessy, co przyjechał, dostał mieszkanie

i otworzył sklep i wkrótce zaczął się zalić, że nie ma klientów, co tu za *bardak*: w Rosji miał wyznaczone ulice, z których klienci musieli do niego przychodzić, tam również miał wyznaczony procent usług dla sektora prywatnego i przedsiębiorstw państwowych, przydziały, które mógł na lewo sprzedawać, a tu nikt do niego nie przychodzi, bo go nie znają, zaś oficjalnych przydziałów nie ma. Można też sobie wyobrazić — znając KGB — jaki procent wśród tych emigrantów z rosyjskiej aliji, to podstawieni agenci.

— Najprędzej — mówi mi w Rowalu drugi Izio — po hebrajsku nauczyli się Bułgarzy, przepraszam, Żydzi z Bułgarii. Spytasz, czemu akurat z Bułgarii, czy oni tacy lingwiści? Nic podobnego, ale że nikt tu nie mówił po bułgarsku — bo kto w ogóle mówi po bułgarsku? — to musieli się nauczyć albo jidysz, albo hebrajskiego. Dlatego tu nie ma prasy w języku bułgarskim, choć jest w każdym innym.

(Izio zresztą nie miał racji, w każdym kraju często różne zagadnienia się upraszcza i stwarza *fellacies*: bo oto *Facts about Israel 1971*, podają, że istnieje pismo w języku bułgarskim).

Redaktor naczelny — oficjalny tytuł: sekretarz redakcji — codziennego pisma w języku polskim powstałego z połączenia dwóch: *Nowiny-Kurier* (złośliwcy zwą je: *Kurwiny*) p. Rostal mówi mi, że 47 % czytelników prasy ukazującej się w Izraelu korzysta z wydawnictw obcojęzycznych, bo albo jeszcze nie umieją po hebrajsku, albo ich związek z innymi językami jest zbyt ścisły i myślą w tych językach, czują, mówią słowa miłości, a także liczą. Sam to nieraz widziałem: kupcy mówią po hebrajsku, albo z nami po angielsku, ale liczą i sprawdzają rachunki po niemiecku, w jidysz, czy po francusku, choćby z innymi klientami rozmawiali przed chwilą po hebrajsku. (Znajomość tylu języków u tej generacji jest miła, ale to zniknie u następnej; będzie to jakąś dużą stratą i odbierze Izraelowi wiele uroku!).

Z tych 47 % — według opinii redaktorów Rostała, Klugmana i Dankowicza — jedna trzecia czyta prasę izraelską w języku polskim. (Prasę, którą niektórzy publicyści emigracyjni polscy na Zachodzie niesłusznie podciągają pod miano *polskiej prasy emigracyjnej*; jest ona prasą *rządową izraelską*, tyle że wydawaną w języku polskim). Czy te cyfry są ścisłe, czy nie — nie wiem. Obserwowanie kiosków, gdzie polska prasa krajowa i emigracyjna są bogato reprezentowane, a *Nowiny-Kurier* zawsze leżą na poczesnym miejscu, nawet u ulicznego sprzedawcy, skłania mnie do przyjęcia tego, co mi tu wielu ludzi mówi, że z polszczyzną jest związanych — mniej lub więcej — około 20 % ludności. Oczywiście stopień związania tej 400-tysięcznej grupy, wywodzącej się z Polski, zależy od daty przybycia i miłości, niechęci, albo rozwoju kulturalnego i asymilacji, jest różny, jak różne jest stanowisko samych Żydów wobec państwa i idei Izraela. Nieraz nawet dzieci urodzone w Izraelu mówią po polsku i to lepiej niż moje własne. Ileż tych sabrożniczek mówi po polsku, co było dla mnie bardzo wzruszające! Z lubością powtarzają tu odezwancko Mariana Załuckiego, satyryka krajowego, który podczas *tournée* przed Sześciodniową Wojną, pytał z udanym niedowierzaniem: *A ci wszyscy, co nie mówią po polsku, to też Żydzi?*

CODZIENNE ŻYCIE W IZRAELU (II)

W ciągu tylko 10 lat — pomiędzy 1956 a 1965 — w Izraelu zasadzono 100.000.000 drzew i krzewów. Ze zdziwieniem i pewną dumą dostrzegłem, że wśród nich jest wiele eukaliptusów australijskich (po polsku *rozdrębów*) czyli *gumtrees*, a jakich jest w Australii 130 gatunków. Drzewa te nie potrzebują dużo wody — Australia jest najsuchszym kontynentem — znajdują tu więc podobny klimat. Cokolwiek mówi się o sadzeniu drzew, czy oddawaniu pod uprawę nowych akrów ziemi, trzeba pamiętać że w Izraelu ziemia leżała wiekami odłogiem, co całe przedsięwzięcie czyni bardziej skomplikowanym i kosztowniejszym. Do tego też trzeba więcej wody, której Izrael ciągle ma za mało. I — poza pokojem — jest ona jedynym z jego głównych problemów.

Problem wody staje się coraz bardziej palący dla całego świata ze względu na zwiększenie ludności, polucję i stale wzrastające zużycie wody w przemyśle. W klimatach gorących dochodzi do tego zagadnienie magazynowania wody. A desalinizacja wody morskiej — pomimo ciągłych poszukiwań tańszych metod — jest stale zbyt droga.

W porównaniu z tym co było tu jeszcze 6 lat temu, Izrael sporo trudności rozwiązał i prawie że ma wody pod dostatkiem, ale w hotelach dalej wiszą kilkujęzyczne obwieszczenia zalecające oszczędzanie każdej kropli wody. Do pustyni Negev doprowadzono wodę olbrzymimi rurociągami, pokonując niepokonywalne, zdawałoby się, trudności. Na przysłowiowym pustynnym (pod Egipcjanami) Synaju dowiercono się wody w dużej ilości, a odczytując na nowo Biblię, że w niektórych miejscowościach przed tysiącami lat były oazy i studnie, odnaleziono wodę. Korzystając z doświadczeń twierdzy Masada, która w zamierzchłych czasach posiadała wykute w skale zbiorniki pozwalające załodze na przetrwanie, podobne metody, lecz unowocześnione, wprowadzono obecnie: powierzchnię wody pokrywa się powłoką chemiczno-plastykową aby chroniła ją przed wyparowaniem. W dziedzinie wiercenia, magazynowania wody, desalinizacji a także konserwacji gleby Izrael przoduje dziś w całym świecie. Dzięki temu *cudowi* — Izraelczycy lubią swój kraj nazywać *ziemią cudów* — opartemu na przemyślności i uporze mózgów i rąk ludzkich, możliwe są i inne cuda. Na razie wszakże Jezioro Galilejskie (Kinneret), strzeżone dzień i noc jak oko w głowie (przed sabotażem arabskim) jest głównym rezerwuarem wody dla kraju. Łatwo sobie wyobrazić jaką klęską byłoby zatrucie tego zbiornika słodkiej wody przez terrorystów, albo desant.

O zamachach terrorystycznych i niebezpieczeństwie mówi się zresztą dużo więcej zagranicą niż w samym Izraelu. Tu tego się nie wyczuwa, choć podczas naszego krótkiego pobytu w Izraelu zdarzyło się kilka zamachów. Linia kolejowa Jerozolima - Tel-Aviv została dwa razy przerwana wybuchem bomby i miało miejsce jedno umyślne wykolejenie pociągu towarowego. Rzucono też na prowincji kilka granatów. W bagażu turystów przybywających do Izraela dwa razy wykryto materiały wybuchowe, a kilkanaście osób na wysokich stanowiskach otrzymało z zagranicy przesyłki, w których były bomby

zegarowe, na szczęście wykryte na czas przez świetnie pracującą *security*. Nazajutrz po naszym pobycie w Hebron przeczytałem w gazetach*, iż aresztowano tam kilkunastu uzbrojonych terrorystów arabskich, zaś w przebraniu kobiet zatrzymano trzech od dawna poszukiwanych zamachowców z bronią. Wybudowanie nowych dróg w Gazie i zezwolenie uchodźcom z Gazy na kupowanie domów w kraju, dało w wyniku spore rozładowanie napięcia. Z jednej strony mając drogi, po których mkną wojskowe łażniki łatwiej jest kontrolować Gazę, z drugiej strony coraz więcej uchodźców palestyńskich wchodzi w życie kraju. Przez 20 lat nie można żyć w walizkach, jak my, emigranci, wiemy, tym bardziej że w tym wypadku nie były to walizki i lokatorskie pokoje, a tłumoki i namioty. Coraz też więcej uchodźców palestyńskich zdaje sobie sprawę, że byli „towarem” i obiektem przetargów w rękach swych przywódców.

Izrael to kraj kontrastów. Spotyka się je na każdym kroku. Jest tu mnóstwo bogaczy, ale też takiej nędzy i nawet żebractwa nie widzi się już nigdzie w Europie. Poza proszeniem o wsparcie, widać tu także nie istniejących już nigdzie indziej handeśesów: na chodniku facet rozkłada dywanik, kładzie na nim kilkanaście pudełek zapalek i już ma sklep. Po lokalach natrafia się na wędrownych sprzedawców, oferują oni publiczności grzebyki, sznurowadła, igły itp. A obok tuż za wystawą sklepu z meblami widzi się tak luksusowo i gustownie wykonane meble, że duńskie mogą się przy nich schować! Artykuły pierwszej potrzeby są tanie, bardzo tanie, lecz już delikatesy i mięso są drogie. Czyli, że robotnik ze swej przeciętnej pensji — płaci się tu miesięcznie; tygodniówki są nieznane, mimo, że tak długo rządzili tu Anglicy — a która wynosi 700 IL (funtów izraelskich) może wyżyć i wie, że nazajutrz i za dwa tygodnie on i jego ro-

* W *Przeglądzie* przeczytałem, iż głównym przywódcą terrorystycznej organizacji świata arabskiego, Al-fatah, jest renegat żydowski, komunista z Pabianic.

dzina będą mieli co do garnka włożyć. Dobre obuwie i suknie natomiast są droższe niż w Paryżu.

System płac ma swą logikę, bo członek parlamentu pobiera pensję miesięczną wynoszącą 1.267 funtów, marszałek sejmu 1.941, do czego dochodzą dodatki rodzinne, niezbyt duże. Ale robotnik portowy, zarabia ponad 2.000 funtów izraelskich, czyli tyle samo co wysoko wykwalifikowany inżynier. Toteż w państwie wytworzyły się grupy nacisku — właśnie dokerzy — z którymi w państwie demokratycznym nie jest łatwo walczyć. Funt izraelski — przypomnijmy — przed dewaluacją w stosunku do dolara amerykańskiego wynosił 25 centów, po dewaluacji 20 (w sierpniu 1971), przy czym zawsze siła nabywcza funta była niższa niż 20 centów w dolarze. Z wyjątkiem — znowu — artykułów pierwszej potrzeby, które w innych krajach kosztują o wiele więcej. Cena samochodu i benzyny jest niezwykle wysoka, bo do niej dochodzi ponad 100 % podatku, natomiast transport publiczny — autobusy, koleje i szejruty, czy nawet taksówki — są tanie. Każdy przejazd autobusem w Tel-Awivie czy w Haifie kosztuje 25 agorot, czyli piastów, a więc jedynie 5 centów amerykańskich, bez względu na odległość, czy przesiadkę. Jednego dnia w narożnym sklepiku na Yarkon Street, w typie „szwarc, mydło, powidło” (*ale z własną maszyną do liczenia i lodówkami!*) zakupiłem półlitrową butelkę mleka, 4 bułki, 250 gramów twarożku, sześć plasterków czerwonego sera w rodzaju tyłzyckiego — a trzeba było mnie słyszeć zamawiającego w jidysz *a bysele rojte kejze* — oraz butelkę soku malinowego i trzy kartoniki leben, czyli tutejszego wspaniałego kwaśnego mleka, jakie tu wszyscy jedzą rano na śniadanie przed kawą, serami, jajkami i sałatkami z pomidorów. Za to wszystko zapłaciłem 3 funty i 20 agorot, czyli jakieś 65 centów amerykańskich, a więc naprawdę grosze. Ale np. kilo polędwicy, którą tu trudno dostać, kosztuje 26-28 funtów izraelskich, czyli ponad sześć dolarów. Inna rzecz, że gdy kupiec Żyd z Iraku

zorientował się, że ja słabo mówię w jidysz, to w dwa dni później za tę samą ilość tych samych artykułów — umyślnie kupiłem to samo, dla porównania — policzył mi nie 3 funty 20, a 5,10. Pewnego dnia Basia zakupiła krążek do zatkania zlewu w umywalce za 35 agorot w dużym magazynie. Ale sprzedawczyni udawała, że zapomniała wydać resztę z funta. Dopiero jakiś Izraelczyk ujął się za żonę, a dyskusje długo nie pomagały; chłopak twierdził, iż nie chodzi o tę groszową sumę, ale o zasady. Kłócił się przez kilka minut aż pieniądze dostał z powrotem i przeprosił Basię za cwaniactwo swych rodaków. Trzy razy taksjarze też nie wydali nam reszty.

Dworzec autobusowy Tachana Merkazit to curiosum samo w sobie. Dziennie korzysta z niego kilkaset tysięcy ludzi, bo z wieńca miast i miasteczek otaczających Tel-Aviv przyjeżdża do metropolii do pracy (i wieczorem odjeżdża) około 150.000 ludzi albo i więcej. Ruch tu jest niesamowity, ale też i porządek, oraz sprawność. (Choć wrzasku jest tu na milion ludzi na meczu!). Jeśli chodzi o drobne nieuczciwości, szczególnie wobec cudzoziemców, bo bez języka muszą płacić frycowe, podam jeszcze kilka przykładów: Dwa razy na pocztę za listy wysłane do Australii lotniczo — ta sama waga, bo te same koperty i po jednej kartce papieru — liczono nam różnie, za każdym razem wyżej, niż za trzeci podobny list zapłacił kolega, mówiący po hebrajsku. Ponieważ do szejrutów idących do Netanyi były długie ogonki, a nam się śpieszyło, dobiegliśmy do innego pustego szejrutu, przy którym po angielsku rozmawiało młode małżeństwo z trojgiem dzieci również zmierzające do Netanyi. Więc razem wzięliśmy ową taksówkę, targowaliśmy się długo, wreszcie ubiliśmy cenę na 30 funtów. Taksjarz — a prawie wszyscy z nich mówią po angielsku — był bardzo niezadowolony i nieuprzejmy, dawał do zrozumienia, iż jemu nie wolno brać pasażerów, że robi nam łaskę. Małżeństwo z dziećmi byli to Żydzi z Południowej Afryki, z Johannesburga. Najstarsza dziewczynka, może z sześć

lat, pytała nas: *Czy wy też przyjechaliście osiedlić się do naszego kraju, you know, to jest nasz kraj!* Oni przyjechali trzy dni temu i byli oszołomieni wrzaskiem, kanciarstwem i częstym brakiem uprzejmości. Taksjarsz wysadził nas w złym miejscu, a Izio potem włosy rwał sobie z głowy, że byliśmy bażanty, bo nabrano nas co najmniej o 100 %.

Filmy idą tu w wersji oryginalnej, mają tylko podtytuły hebrajskie. Izrael jednak też produkuje swe filmy. List z Haify do Tel-Awivu (90 km) szedł 6 dni. Napoje alkoholowe można nabyć w każdym sklepiku żywnościowym, pubów w rodzaju angielskich dostrzegłem w całym Izraelu dwa. Były one tylko dla turystów. Bardzo modne są również *country clubs* (klub, masaże, basen, łaźnie, dancing, golf, tenis itp.), do których mają prawo wejścia cudzoziemcy, a miejscowi, tylko jeśli są takich klubów członkami. Ci ostatni są z tego bardzo dumni. Urządzone są wspaniale, czystość panuje wzorowa i co rzadkie w Izraelu — jest tu cicho. W niektórych są eleganckie *boutiques*, które mogłyby znaleźć się na bulwarach paryskich. W hotelach klubowych inteligencja izraelska może się snobistycznie wyżyć, poderwać cizie nie z tej ziemi, pograć w tenisa i golfa, czy w pokera, w ogóle nałykać się Zachodu i pożyć życiem widzianym na filmach zagranicznych. Biednych w klubach się nie widzi, kolorowych też mało, albo tylko takich, co już się zeuropeizowali.

Mięso w Izraelu jest drogie, za to drób — własne kury i indyki — jest tani. Taki obrazek: znajomi zaprosili nas do restauracji i koniecznie namawiali na szaszłyk barani, który w jadłospisie był najdroższy*. Nam bardzo smakował i nawet Basia, nienawidząca baraniny, twierdziła, że izraelskie barany i jagnięta są zupełnie jadalne, ale Ada mruknęła: *Widzisz? Żydy nas znowu oszukali, dali indyka zamiast barana!*

* Izraelska brandy Carmel jest reklamowana: *The most expensive brandy of Israel.*

Oprócz *befszyków z chipsami* i chumusu, bamii w sosie pomidorowym i pyt (podpłomyków znanych na całym Bliskim Wschodzie, zbliżonych do libańskich *khobza*) je się tu głównie *pulkies*. To jest szczyt i *non plus ultra!* Ponieważ kur jest tu dużo, *pulkies* (od francuskiego: *poule*) są to nogi kurze, dolna część, którą łatwo trzymać w ręce. Gryluje się je na *barbecue* i to jest w tym kraju przysmakiem. Artura Zuckerberga, który handluje kurami i dowozi je nieraz aż do dalszych miast (wyrusza o drugiej rano swą ciężarówką) i który nas przyjął coś trzema tuzinami takich *pulkies* — jedno grylowane, drugie w sosie, inne pieczone — spytałem co się robi z resztą kury. *Z reszty się robi salami wieprzowe!* — odparł.

CODZIENNE ŻYCIE W IZRAELU (III)

Rano zwykle budziło nas wołanie na ulicy, przeciekające poprzez szum morza. Był to sprzedawca nafty. Na lorze wyposażonej w opony samochodowe lecz ciągniętej przez konia, miał zbiornik z naftą i sprzedawał ją, odmierzając produkt blaszanymi dzbankami. Na innym zwykłym wozie jechały kawony, cała ich góra na małej platformie: sprzedawca krzyczał, albo trąbił. W elegantszych dzielnicach nowoczesnych tego już się nie widzi, ale w Mensziji tak. Ulica od samego rana jest ruchliwa, najczęściej widać tu trzykołowych pojazdów: skrzyżowanie kamionetki z motocyklem. Oczywiście w każdej bramie na Allenby Road można zobaczyć nieduży kramik z owocami — jest ich dużo i są tanie — lub z galanterią. Pocztówki w Izraelu są tanie, kosztują około 5 centów; kolory są żywe i dość naturalne. Oczywiście, że w Nazarecie czy w Betlejem bez trudu można dostać widokówki z chrześcijańskich miejsc świętych, podobnie jest i w Jerozolimie, ale w Tel-Awivie trzeba za nimi się nachodzić, tu przeważają karty z elementami żydowskimi: grób Herzla, a nie Chrystusa. Co kilkadziesiąt kroków widzi się wózek, gdzie sprzedają *sabry*, pustynne owoce. (W Australii zwane są *prickly pears*; tak szybko rozrastają się iż w Australii, szczególnie w Queensland, uważa

się je za plagę i niszczy kwasami). Owoc podobny jest w kształcie do wielkiego jaja, ma twardą łupinę i kolce, ale wewnątrz posiada soczystą, bardzo smaczną masę. Sprzedawca sprawnymi ruchami obcina łupkę z kolcami — skaleczenia są bardzo bolesne — i podaje klientowi, nigdy nie dotykając miąższu owocu palcami, akrobatycznie trzyma *sabrę* koniuszkami palców za ostatni centymetr łupki czy skóry. Słowo *sabra* przyjęło się jako określenie pokolenia wyrosłego w Izraelu: że niby twarde i chropowate, ale wewnątrz słodkie i orzeźwiające. Sprzedawcy w gorące dni trzymają je na lodzie. Stąd koło ich wózków — często kałuże.

W ogóle nierzadko Izrael przypominał mi Australię, oczywiście w jej pustynniejszych częściach, lub w bardzo luksusowych dzielnicach, z tym, że trzeba pamiętać, iż cała ludność Izraela wynosi troszkę więcej niż ludność Sydney, lub Melbourne, choć cały kontynent — największa wyspa świata i najsuchsza część świata — nie ma jeszcze 13 milionów mieszkańców, a wszystkie rzeki Australii łącznie nie mają nawet 10 % wód Amazonki.

Bardzo popularnym w Izraelu sposobem ogrzewania wody jest używanie do tego energii słonecznej, za pomocą systemu luster. Wielokrotnie z dumą zwracano mi na ów system uwagę, w tonacji: *patrz, przebiegłe Żydy nawet słońce kiwnęły* (pan Dombrowski na naszą cześć zainstalował takie coś na dachu domu!). Izraelczycy byli jednak zmartwieni, gdy im mówiłem, iż podobne instalacje w Australii, szczególnie na *outback*'u (pardon my French: na zadupiu, gdzie nie ma elektryczności), są znane od kilkudziesięciu lat. Potem już tego nie mówiłem, żal mi było ich rozczarowania.

Do budowy domów — poza stałą — używa się tylko miejscowych produktów i nigdzie — nawet w najbogatszych domach, gdzie na ścianach są francuskie tapety, na suficie francuskie kryształowe kandelabry, a w łazience niemieckie importowane kafelki i kłamki — nigdzie, po wtwarzam, nie widziałem parkietów. Wszędzie są posadz-

ki. Ze względu na kurz (czyści się je dwa razy dziennie angielskim *mopem*) i klimat — przyjemnie jest bosą nogą przejść się po posadzce w gorący dzień; oraz dlatego, że posadzki nie przeżrą białe mrówki. W łazience, w kabinie na tusz, prawie wszędzie są kurki na wysokości 30 cm. nad ziemią. Po to aby wróciwszy do domu z zakurzonej ulicy można było umyć sobie nogi, nie rozbierając się. Bardzo podobały się nam w nowych budynkach okna pomysłowe i praktyczne, rozsuwane w bok i wchodzące w ściany. Ale raził brak *hoists*, czyli kręcących się stojaków do suszenia bielizny, której ze względu na klimat zużywa się więcej niż w Europie. Sznury w oknach zawieszono schnącą (szybko) bielizną, przypominały Włochy. Ciekawostka: prawie nikt nie nosi tu podkoszulek, tylko wprost koszulę na gołe ciało — w Australii rzecz nie do pomyślenia. Czy z oszczędności, czy dlatego, że tu ludzie się mniej pocą, nie wiem. Najważniejszym problemem przy robieniu planów na dom jest, aby uzyskać duże przewiewy. Bez nich trudno żyć.

Wojskowych obojga płci widzi się dużo na ulicach, szczególnie wieczorami. Stała armia — służba czynna — liczy 75.000, zaś rezerwy jakie Izrael może wystawić w trzech broniach szacowane są na 300.000. Sądzę, że cyfry te są zawężone. Na terenach zajętych widzi się sporo patroli zmotoryzowanych: dobra postawa i grzeczność wobec Arabów rzucają się w oczy.

Historia zazwyczaj notuje ważne fakty i zdarzenia, mnie zawsze interesowały więcej drobiazgi, bo te przemijają bez echa w kronikach, a o czymś też świadczą i pozwalają poznać miąższ życia nieraz lepiej, bo nie z zewnątrz, a od podszewki. Opowiadano mi tu, że na pierwszych defiladach z okazji świąt narodowych w Izraelu, oddziały pancerne nowopowstałej armii miały komendę w języku rosyjskim — tyłu tam było Żydów rosyjskich i polskich, którzy walczyli w czasie wojny w Czerwonej Armii. Załącznikiem marynarki izraelskiej była grupa Żydów... krakowskich. Bronie techniczne, głównie łączność,

opanowane były przez Żydów niemieckich i komenda tam często była... niemiecka, choć w wojsku niemieckim żaden z nich nie służył. Po prostu trzeba było jakoś się porozumieć, hebrajskiego nie znali jeszcze wszyscy, więc do czasu było to jedyne wyjście*. Urząd skarbowy — *drugie miejsce poza ścianą płaczu, gdzie Żydzi płaczą*, kawał izraelski — stworzyli Żydzi warszawscy, wychodząc z założenia, iż *nie ma takiego numeru, którego by Żydzi warszawscy nie znali jeśli chodzi o kiwnięcie władz podatkowych*.

Wracając do wojska, wspomniałem już, że żołd jest bardzo niski, bo wynosi 1 funta izraelskiego (20 centów ameryk.) za dzień służby, czyli około 25 funtów miesięcznie. Żołnierz, czy żołnierka (kobiety pracują w biurach, szpitalach, kantynach, messach, w transporcie, uczy się je także pisania na maszynie, stenografii, prowadzenia samochodów i ciężarówek, no i musztry i władania bronią) — z wojska otrzymuje umundurowanie, wyżywienie i nocleg. Bogatsze rodziny, ażeby zaoszczędzić państwu wydatków, nocują dzieci-żołnierzy w domu i dają im własne sandwicze przed pójściem do koszar. Sam widziałem, jak córka przyjaciół, idąc rano do służby, gruntownie czyściła mundur i sandałki, torebkę i czapkę, a do torby brała kanapki z razowego chleba z szynką, oraz owoce. — Z szynką? — spytałem. — *To pan nie zna tego kawału tatusia?* — odpowiedziała po polsku. — *Myśmy się umówili że to łosoś!*

W miejscach publicznych, w wojsku, w urzędach i na liniach lotniczych obowiązuje kuchnia koszerna, lecz przepisy te czasem są obchodzone. W Jaffie, w restauracji pana Lipskiego, można opchnąć schabowszczyka z kapustą i kiełbasę w szarym sosie, czy mecyje-kaszankę wieprzową; do stołu oczywiście dostanie się pieczywo z ma-

* Do dziś istnieją grupy Żydów niemieckich czy polskich — grupy dużych Aliji — które nie znają, lub znają słabo język hebrajski. Jest w tym trochę snobizmu, wolą ograniczyć się w swoich kręgach i dalej mówić swoim językiem.

słem. W cukierni „Łodzianka”, gdzie właściciel z dumą na ścianie powiesił przedwojenny dyplom (z orłem w koronie!) mistrza cechu cukierników, można dostać polskie makowniki i pączki (po hebrajsku — fonetycznie: *e ponczki*). Do stylu życia wśród polskich Żydów należy, aby, gdy się jedzie do Jerozolimy, stanąć w polskim klasztorze, gdzie siostry prowadzą pensjonat. Pytałem jednego wyższego urzędnika (z Łodzi) dlaczego tam się zatrzymuje? — *Bo tanio, czysto, smacznie i po polsku. I cicho.*

Służba wojskowa jest przymusowa. Dla kobiet trwa dwa lata, dla mężczyzn — trzy, a w zaawansowanych technicznie broniach, jak mi mówiono — pięć. Zamężne kobiety, matki i kobiety ciężarne są zwolnione od służby wojskowej. Zwolnienie otrzymują również nauczycielki i osoby, którym przekonania religijne tego wzbraniają. Kobiety mogą być powołane do lat 26, mężczyźni do lat 29. Lekarze i lekarki mogą być powołani aż do lat 34. Społeczność Druzów (o ich preferencjach świadczy ilość przekleństw, do których jako wyznawcy swej religii są codziennie zobowiązani: 40 przekleństw idzie pod adresem Arabów, 30 dla chrześcijan, a tylko 20 kieruje się do Żydów) sama zgodziła się na służbę przymusową w wojsku. Czerkiesi, sprowadzeni tu z Kaukazu przez sułtana Abdel Hamida w XIX wieku, oraz sekta Ahmadi, licząca 600 przybyszów z Pakistanu, a także **mużulmanie i chrześcijanie mogą zgłosić się na ochotnika do służby wojskowej i czynią to. Zasadniczo młodzież miejscowa jest powoływana w wieku lat 18, co niektórzy uważają za zbyt wczesne. Rozciągliwa górna granica dotyczy tylko przybyszów. Służba wojskowa przyspiesza integrację.**

Podstawą armii jest zawodowy korpus oficerski i podoficerski, ale pensje tam, jak wszędzie w Izraelu, nie są wysokie. Nowoczesna armia daje na ogół często przeszkolenie, jakiś zawód techniczny, który potem może przydać się w życiu cywilnym. Podstawą sił zbrojnych jest rezer-

wa, która może być powoływana do odbycia ćwiczeń nawet na przeciąg dwóch miesięcy co roku. Jednak nie zdarza się to regularnie i nikt nie wie jakim kluczem kierują się władze, rozsyłając powołania. Ale że według prawa izraelskiego pracodawca jest zobowiązany do płacenia powołanemu rezerwiście poborów do wysokości dwóch trzecich pensji, wielu ludzi, z którymi rozmawiałem, bardzo sobie chwali owe ćwiczenia: *Na dwa miesiące odrywam się od rodziny i rutyny, mam zmianę i pomaga mi to w utrzymaniu kondycji fizycznej!*

W czym bardzo Izrael odbija od państw zachodnich — to młodzież. Choć i tu są coraz częstsze wyjątki — *New Left*, narkotyki, *Black Power*, podrywacze i nieroby — ogólnie biorąc młodzież izraelska jest najzdrowsza na świecie: mam na myśli znikomy procent tych, którzy przepadają przy egzaminach, co jest plagą państw należących do tzw. *affluent society*. W Australii te cyfry są przerażające, od 39 do 45 % młodzieży na pierwszym roku studiów przepada, pomimo znacznych stypendiów. Tu stypendiów jest mniej i niewysokie a chłopak czy dziewczyna po odbyciu służby wojskowej nie ma czasu na dyrdymałki, wie, że konkurencja jest duża, że trzeba złapać kwalifikacje, że krajowi potrzebni są fachowcy — więc się uczy solidnie. Mniej też widzi się *hippies* i brodaczy, a jeśli są — najpewniej będą to turyści.

Leo Lipski znakomity pisarz polski, mieszkający tu od 30 lat, sądzi że „kolorowych” jest już w Izraelu do 70 %. Mówiliśmy już, że ich kwalifikacje są zazwyczaj niższe niż Żydów aszkenazyjskich, co powoduje różne problemy. Jednym z nich jest duża ilość sfardyjskich Żydów w policji na niższych szczeblach. Niektórzy twierdzą, że istnieje tu już *mafia*, czemu winni są właśnie sfardyjscy niżsi funkcjonariusze policyjni, że istnieją okupy (*protection rackets*), nielegalne kluby karciane, prostytutka. Wystarczy przejść wieczorem ulicę Yarkon w Tel-Awivie i zajrzeć do jednego z licznych lokali nocnych, by stwierdzić, że te opinie nie są bezpodstawne.

W Izraelu zdarzyło się ostatnio kilka niewyjaśnionych morderstw, jest tego coraz więcej. (Kawał izraelski o właścicielu domu publicznego. Znajomy pyta go jak mu idzie. — *W sezonie dobrze, zarobek fajny, dziękuję.* — A co poza sezonem? — *Leżę z towarem...*).

Armia dalej cieszy się ogromnym miernem i zaufaniem. Ale rząd? Poza dobrotliwą ciotką Gołdą Meir, która w każdym wywiadzie kładzie dziennikarzy na obie łopatki, taka jest *schlagfertig* i dowcipna, poza Dayanem, któremu opinia dziwnkarza (widzi się go bez żadnej obawy na Dizengoff w tym-że nieraz „Rowalu” z wdechowymi ciziami, że oko bieleje) wcale nie przeszkadza*, a nawet dodaje uroku, wśród młodszego pokolenia spotyka się opinię, że rząd to żądni władzy starcy. Minister skarbu nigdzie nie jest lubiany, szczególnie w państwie gdzie są wysokie podatki i inflacja. Chociaż Bercio z Piotrkowa mówi mi że min. Sapir to dawny skarbnik kibucu i człowiek bardzo skromny i uczciwy, jednak gros społeczeństwa osądza go krytycznie. A w związku z pewną sprawą dziennikarze *wypożyczyli go sobie* na telewizji. Istnieje przepis, ogłoszony przez tegoż ministra Sapira, że nie wolno kupować za granicą wielkich samochodów powyżej ceny 40.000 funtów izraelskich (10.000 dol.). Dotyczy to głównie dużych wozów amerykańskich. A tu jednego dnia dziennikarze podpatrzyli iż Sapir jedzie służbowym wozem wielkości małej łodzi podwodnej — Cadillac’iem, czy czymś w tym rodzaju, zakupionym za 56.000 funtów. No? — pytają go. — To ty nam zakazujesz, a sam takim czymś jeździsz? To w porządku? I akurat za 56 tysięcy?

— Po pierwsze zadajecie podchwytliwe pytania, aby zdyskredytować członka rządu, a po drugie mnie duży wóz jest potrzebny w sprawach służbowych. Przynajmniej dwa razy w tygodniu muszę ruszyć w dłuższą pod-

* Ostatnio w prasie podano, że Dayan uzyskał rozwód i że o rozwód wystąpiły obie strony, p. Dayanowa też, mimo, że według religijnego prawa żydowskiego kobietom te uprawnienia nie przysługują.

róż z Jerozolimy do Tel-Awivu i z powrotem — odpowiedział ze złością.

Dystans tej *dłuższej podróży* — wynosi 62 km w jedną stronę.

Opowiadano mi tę historię w kawiarni „Dalia”, którą tu zwą: *Balia*. Że niby pierze się tu brudną bieliznę. Popołudniu przy kawce i ciastkach z kremem można nasłuchać się kto, z kim, kiedy, po co, a jeżeli nie, to dlaczego. Tu z przyjemnością usłyszałem kawał, którego mi już dawno nikt nie opowiadał. Głos pierwszy: *Wiesz, że Monius wziął z żoną rozdział od stołu i łóża?* Głos drugi: *Co? To on jeść tyż już nie może?*

NA TROPACH SMĘTKA

Pierwsze dwie noce spaliśmy w hotelu „Monopol” na rogu Allenby Road i Herbert Samuel, nad samym morzem, gdzie jest też kilka innych hotelików. Okazało się, że właściciel jest ze Lwowa, jego wspólnik z Będzina, obaj mówią po polsku. Więc rozmawiamy, a rozmowie z uszanowaniem przysłuchuje się nocny stróż, zliczający jakieś kolumny cyfr. Widzę, że czasem podnosi głowę i obserwuje nas. Przeto zwracam się do niego po polsku:

— Pan skąd z Polski?

On kiwa przecząco głową i odpowiada z westchnieniem:

— Pan nie będzie znał takie dziure.

— A może? Więc skąd pan jest z Polski?

— To niemożliwe, żeby pan znał takie dziure, tam nic nie było.

— No, dobrze, ale skąd?

— Suwałki.

— Koło Jeziora Augustowskiego — mówię.

— Pan tam był? — aż przestał pisać i patrzy na mnie. Bezczelnie łągałem, że byłem, bo prawie wzrokiem prosił mnie o to kłamstwo:

— Byłem.

— Panie — rozmarza się siwy starszy pan — ach, jakie to było piękne miasto...

I zadumawszy się na chwilę wraca do liczenia rzędów cyfr. Liczył w jidysz: *fufcik, zybcik*. Język hebrajski jest tu od święta i parady, polski od wspomnień, a od poważnych spraw, czyli do interesów — jest jidysz.

W Moshav

Rozmowa jest ożywiona, stół świetnie i gościnnie zastawiony, trunki wyśmienite — nalewki własnej roboty — nastrój naprawdę miły. Benio gnał swym wozem bocznymi drogami ze względu na duży ruch na głównych autostradach — te boczne szosy też są wspaniale utrzymane: jedzie się jak w tunelu pomiędzy cyprysami, które na wiosnę chronią plantacje pomarańczowe od wichrów — ale pomimo tego spóźniliśmy się i jest już ciemno, więc nie zobaczymy *pardesów* indywidualnego gospodarza Berkowicza z Piotrkowa, na których przeszczepia i eksperymentuje z owocami typu *Clementine*, *Jaffa* i *Valencia*. Gospodarz jest troszkę zawiedziony, bo słusznie chciał się pochwalić swymi osiągnięciami, a i my koniecznie chcieliśmy obejrzeć jego plantacje.

— Nic nie szkodzi — mówi ten małomówny człowiek — może państwo jeszcze kiedyś wpadną do Izraela. Najważniejsze tylko jest to — uśmiecha się — skąd ja do tego? Skończyłem gimnazjum w Polsce, miałem być buchalterem, czy kupcem, znajomi mówili: *co coś akurat ty na rolę?* No i podobno jestem zupełnie niezłym specjalistą od pomarańcz, w ogóle od owoców cytrusowych.

Jest indywidualnym gospodarzem, należy do spółdzielni *moshawim*, dom pięknie urządzone — prawie wszędzie widzi się kilimy z Polski, czy inne drobiazgi — dzieci odchowane. Na jego opalonej twarzy spokój. „Przeszło się to i owo, ale wytrwaliśmy” — ucina rozmowę o sobie. Od innych wiem, jak jest ceniony, prawy

i po sąsiedzku uczynny. Ma 30 dunamów ziemi, nie za dużo, ale wystarczy.

Drugi sąsiad to uśmiechnięty inż. Fryd. Grał na lewym skrzydle w lwowskiej Pogoni w latach 1932-4, agronom z Dublan, pracował u Lanckorońskich, wspomina coroczne targi końskie w Ułaszku koło Jagielnicy, mówi jakie tam były *szneltraperki* i *angloaraby*, był oficerem rezerwy, co z dumą podkreśla, tu ma 30 dunamów i hoduje na nich kwiaty, żyje dostatnio, jest zadowolony. Wszyscy, a jest nas kilkanaście osób, naraz mówią, że nieraz nie wiadomo kogo słuchać, wiecie jak to jest, gdy przy gościu akurat chcemy jak najwięcej o sobie opowiedzieć w jak najkrótszym czasie, bo gość przypomina nam naszą młodość i inne czasy, gwar, napijmy się: *staropolskim zwyczajem napijmy się lechaim*, tego ojciec miał folwark, był ziemianinem, innego papa był najbogatszym kupcem w mieście, tamtego tatuś był dentystą, *a może naszego ogóreczka?*, ja miałem niezłe stanowisko, ale po Październiku wyczułem, że te zmiany się nie utrzymają, *może chumusiku* (polska terminologia gastronomiczna lubi zdrobnienia), *albo tych pikli? a kto tam jest z Lwowa w Australii?*, mój ojciec to był bogacz i nafciarz, miał coś tam w Słobodzie Rungurskiej, udziały, czy szyby, panie, co pan mnie powie, ja byłem podporucznikiem rezerwy w ułanach jazłowieckich. Wszyscy emigranci gdy są przeniesieni w inne warunki hołdują tonacją i konwencją *miau-miau*, co kto miał i czym kto był, *a może trochę kompotu? ten tort Fedora to ja sama robiłam, jeszcze z przepisu matki*, wreszcie pewna spokojna pani, życie też nie było dla niej łaskawe, ci ludzie potracili rodziny, mężów, żony, dzieci, wychodziły owe panie powtórnie zamąż, owi panowie też nieraz na nowo życie zaczynali, nędza i bohaterstwo tych sytuacji, i wszystko już niby się nie liczy, choć ciągle się liczy i ugrzęzło w pamięci jak drzazga, wreszcie owa pani mówi do mnie:

— Panie Andrzeju, niech no mi pan powie, gdzie są ci wszyscy synowie biednych żydowskich krawców, których u nas było tak dużo, a teraz okazuje się, że ich chyba nie było wcale?...

Kiedy późno w nocy opuszczaliśmy gościnny dom państwa Berkowiczów i towarzystwo już się rozjeżdżało, bo jutro niedziela, czyli dzień pracy, zapachy wsi były odurzające, niesło wonią eukaliptusów. Noc rozgwieżdżona jest ostrymi diamentami, dzwonią cykady, potężnie rechoczą żaby, a ja myślę, że Benio to był taki Marek Czertwan, zaś Berkowicz to Ślimak i jego *moshav* to Placówka. Szczęść Wam, Boże!

W samochodzie — odwoził nas do Tel-Awivu znajomy Hanki, Żyd niemiecki, też jeden z budowniczych tego kraju i szczęśliwy, że nam gojom się Izrael podoba — przypomniałem sobie jednego z gości minionego spotkania. Wrócił po wojnie z Rosji, służył w Czerwonej Armii, ma odznaczenia i rany, wreszcie po szpitalu wybrał się do Nasielska, skąd pochodzi. Wiedział, że rodzina zginęła, że nikogo tam nie zastanie, ale pojechał. Wiedział, że rozkrwawi sobie na nowo serce, ale jednak tam pojechał.

— Czemu? — zapytałem go przed godziną.

Wzruszył tylko ramionami:

— Bo ja wiem po co?

Gdy zobaczył rynek miasteczka wybrukowany — a może to nie był Nasielsk, może nie zapamiętałem dobrze nazwy? — pokruszonymi nagrobkami żydowskimi, zapłakał i powiedział sobie: *ja w tym kraju już bym nie mógł żyć.*

Przecież tego nie zrobili Polacy — powiedziałem mu wtedy — to, jak i likwidacja Żydów w Polsce, to robota Niemców.

— Tak, wiem — odpowiedział — wiem i do Polaków nie mam pretensji, ja dalej myślę w tym języku, ja w Polsce wyrosłem. Ale żeby już nawet umarłym nie dać spokoju? Mnie się po prostu odechciało Europy. Pamięta pan, wtedy Europa była zniszczona i rozhisteryzo-

wana, obawiano się nowej wojny, komunizmu, powstawało gigantyczne zakłamanie i skurwianie się narodów, klas, grup, ludzi. Chciałem czegoś prostszego, czegoś prymitywnego, człowiek chciał stanąć twarzą w twarz ze swym losem, mieć proste radości, wyraźne problemy, czyste proporcje. Kibuc mi to dał.

— Czy pan jest wierzącym Żydem?

— Nie. Ach, zresztą zapomnij pan o tej rozmowie. No, a jak się panu tu u nas w kraju podoba?

Pinhas Timberg

Było to wczesnym piątkowym popołudniem, już większość sklepów zamykała się na szabes. Wracaliśmy do domu z żoną, ulice pustoszały, żona chciała parę rzeczy przeprać, ale przypomnieliśmy sobie iż na gospodarstwie nie mamy proszku do prania, mydła jest mało i mnie kończyły się żyletki. Rozglądaliśmy się za sklepami, gdzie można by to kupić, ale sklepy już były zamknięte. Idąc Allenby Road do placu Mongrabi skręciliśmy w lewo, ku morzu, ku mieszkaniu p. Dombrowskiego. Nagle za załomem muru dostrzegliśmy kramik, gdzie na półkach szafki stanowiącej cały sklepik stały poszukiwane przez nas artykuły. Właściciel kramiku obsługiwał ostatnich klientów, mówił z nimi po hebrajsku i po angielsku, w jidysz, więc zaczekaliśmy chwilkę i po angielsku poprosiliśmy o proszek do prania, oglądając bogactwo pudełek i flaszeczek jakie ten niepozorny z zewnątrz sklepik zawierał. W pewnym momencie żona powiedziała do mnie po polsku: *On tu ma i żyletki, ale nie widzę Wilkinsonów, które lubisz. Ma też zapalniczki, których zapomniałeś kupić, a potem będzie wszystko na mnie, że to moja wina, bo pan i władca zdenerwowany.*

— To państwo z Polski? Czemu pan tego od razu nie mówi? — woła rozpromieniony kupiec. — Kiedy państwo tu przyjechali?

— Trzy tygodnie temu — mówię.

— A czy pan chodzi na *ulpan*? Przydałoby się panu...

Wtedy żona mówi, że jesteśmy Polakami z Australii, gojami i że przyjechaliśmy tu odwiedzić przyjaciół.

Zaczyna się rozmowa, nieuniknione w takich wypadkach zapytania skąd on pochodzi, skąd my, czy nam się tu podoba i jak on się urządził.

— No, milioner, jak państwo widzą to ja nie jestem, ale nie krzywduję sobie.

Jest czerstwy, opalony, bo cały dzień na świeżym powietrzu, nad szafką stojącą przy murze ogrodzenia ma daszek, to wszystko za chwilę będzie składał i zamykał na kłódki. Robimy mu zdjęcie, z czego jest bardzo zadowolony. Jest z Zagłębia Dąbrowskiego i przyjechał do Palestyny 1 września 1939. Gdy zsiadł ze statku — polskiego — z pierwszej gazety dowiedział się, że w Polsce wybuchła wojna, że hitlerowcy napadli na nas. „*Co ja wtedy odczuwałem*” — łapie się za głowę. Mówi pięknym językiem polskim, w oczach ma mądrość człowieka, który już dużo widział i przeszedł, słowa wyważa i bardzo się cieszy, gdy mu mówimy, że jego język polski jest taki piękny i czysty. „*No, bo czytam po polsku* — wyjaśnia. Prosimy o adres, aby posłać mu fotografię, mieszka Geulah 42.

— No, co będzie z Arabami? — pytam.

Niepodrabialny żydowski grymas i rozłożenie rąk: *kto to wie?*

Patrzę na rachunek, który nam wystawił na skrawku jakiejś ulotki reklamowej, na odwrocie, ładnym, wyraźnym charakterem pisma, *ja państwu muszę rachunek wystawić po polsku, na pamiątkę* (zachowałem ten rachunek i patrzę nań w tej chwili gdy piszę te słowa) wreszcie mu opowiadam, że byliśmy zdziwieni, iż już z kilku stron spotkaliśmy się z tym, że młode pokolenie nie czuje niechęci do Arabów, mybyśmy im nie dowierzali, te gra-

nice muszą być jakieś bezpieczniejsze. I że potrzebne będą jakieś gwarancje, nie?

— Ja panu powiem — zaczyna i mówi wolno — każdy człowiek ma prawo żyć. A gwarancje? Co znaczą gwarancje, gdy któraś ze stron z góry wie, iż ich nie dotrzyma? Mój ojciec nigdy nie podpisywał umów ze współnikami. Na tym jedynie zarabia adwokat, a gdy ktoś chce drugiego kiwnąć, to co papier znaczy? Nic. Ale ja bym się zgodził z tą młodzieżą, trzeba w życiu trochę idealizmu. Oni, Arabowie, też mają prawo żyć, to też ich kraj. Byle tylko nam dali żyć, ot co...

Kelnerka Basia w Jerozolimie

Jerozolima na ogół jest chłodniejsza niż Tel-Aviv, ale w tym dniu był i tu upał. Ignac z trudem zaparkował swego Peugeota — nowiutki, wypożyczony na tę okazję od brata — i poszliśmy do kawiarni, aby się czegoś napić. Był to dość duży lokal, spodobał się nam, więc po południu wróciliśmy tu. Za drugim razem obsługiwała nas młoda kelnerka, mówiła do nas po hebrajsku, a że Ignac niebardzo w tym języku może się wysłowić, więc rozmawialiśmy po angielsku. Kiedy poszedłem zatelefonować Ignac wywąchał już, że ona jest z Polski. Gdy wracałem do nich, słyszałem jego słowa: *To ten, co w gazecie pisali o nim*. Na co ona odpowiedziała: *Nie, na wieczorze autorskim nie będę mogła być, chociaż w tym dniu będę w Tel-Avivie*.

— Jak pani dawno z Polski? — spytałem.

— Niecałe dwa lata.

— No, a jak się pani tu podoba, jak się pani urządza?

— Cóż, na początku było obco i ciężko. Teraz już się przyzwyczajam.

Rodzice jej przeżyli Oświęcim, gdzie stracili córeczkę, jest ich późnym dzieckiem. „To starsi ludzie, schoro-

wani, przez całe 20 lat nie wiedziałam nawet, że oni są Żydami. Studiowałam na uniwersytecie warszawskim polonistykę, a jak się zaczęły te hece marcowe i jak mnie o mym żydowskim pochodzeniu poinformował pan z MSW, powiedziałam sobie, że w tym kraju nie zostanie. Żeby moje dziecko miało później jakieś przykrości? stygmat? — w jej oczach sarny, śliczne podłużne jak śliwki oczy, widzę wilgoć. — Więc jeśli już mam być Żydówką, to niech moje dziecko tu się urodzi, gdzie być Żydem jest normalną rzeczą. Rodzice zostali, nie chcieli wyjeżdżać, *my już za starzy na zmiany, my tu mamy swą emeryturę i wszystkie nasze wspomnienia, naszych przyjaciół, zrozum córeczko, mówili...*”

Milczeliśmy wszyscy. Co tu było do powiedzenia? A jak okazać jej współczucie, czy go zresztą chce?

— Chciałam tu studiować, kilkoro takich samych młodych jest tu z tego samego roku, spotykamy się i nawzajem widzimy za każdym razem, że stajemy się inni, choć tamto też nie znika, każdy *Przekrój*, czy numer warszawskiej *Kultury* powoduje nowe dyskusje, tkwimy w tamtych problemach. No, cóż? Życie nie malina — wzrusza ramionami i zmiata ściereczką kurz na stole, aby pokazać koleżankom i właścicielowi, iż pracuje i nie marnotrawi czasu. — Wysłałam za męża, mamy małe mieszkanie, męża powołali do wojska, ciężko nam, ale trzeba wytrzymać. Jak mąż wróci z wojska to ja pójdę na studia, o ile dziecko nie przyjdzie na świat wcześniej — znowu się uśmiecha, te uśmiechy mówią więcej niż słowa, te uśmiechy wprost krzyczą. — Nie dam się, niech się pan o mnie nie boi. Och, i pomyśleć, że do pewnego dnia ja w ogóle nie wiedziałam nic o mym żydostwie...

— Tęskni pani? — spytałem wzruszony, chrząknąłem, chrypa nie przechodziła.

— Czasem, często — wzruszyła ramionami i biust jej zafalował, była ładniutka w tym mundurku kelnerki, była — to brzmi głupio, ale tak było — jakaś bliska i przypomniało mi się to Wierzyńskiego: *Polak, który*

się wstydzi — uczułem to w sobie. Ale machnęła ręką: *Co będę panu głowę zawracała swymi problemami?*

— A jak mnie łapie chandra, to kładę się na łóżku z papierosem i oglądam sobie album, Łazienki, Wilanów, Stare Miasto, mosty. A potem biorę Tuwima i czytam znane na pamięć wiersze i beczę.

— Inowłodzka łąka — mruknąłem.

— Tak, żeby pan wiedział. I najciekawsze że nigdy jej nie widziałam — na twarzy ma grymas. Uśmiecha się i odchodzi, bo ją wołają do innego klienta.

Panie Andrzeju, zwariował Pan?...

Byliśmy u nich kilka razy i bardzo zbliżyliśmy się. Za każdym razem jak gdyby jakieś zasłony rozsnuwały się i coraz wyraźniej przypominałem sobie ją w płaszczku gimnazjalnym, jak wolno szła przez *corso* i jego, postrzeleńca, ciągle czymś zaaferowanego w tym wielkim kosmosie małego Drohobycza. Ofiarowali nam pięknie wydany album reprodukcji malarza Gottlieba, sławy Drohobycza. Gadaliśmy godzinami o dobrych Polakach i złych Polakach, o dobrych Ukraińcach i złych Ukraińcach, o Żydach i o złych Żydach — jak Miciu Rosen, bek „Betaru”, co teraz w Kanadzie siedzi i boi się do Izraela przyjechać, i o innych, co służyli w policji w getcie i własnych rabowali i niszczyli. Czasem, nagle, mała dziura Drohobycz piękniał w naszych wspomnieniach, wszystkie barwy tam wydawały się złote i jasne, cóż, młodość i o niej wspomnienia. Jedni sypali, inni się bali, inni ratowali i pomagali, inni się odwracali i udawali że niczego nie dostrzegają, groza i dno, a nieraz nieodłączna od losu groteska i komizm, tragedia i znowu za chwilę wszystko się wyrównywało w pamięci, staw pamięci był bez jednej zmarszczki. Opowiadali mi swoje przeżycia, ja im swoje, bawiliśmy się z ich wnukami, z których są dumni, nakładałem *kipę* na głowę do piątkowej kolacji.

— Ty, Jędryk nie myśl, że ja taki religijny, to z szacunku dla pamięci mego starego, zresztą ty wiesz, jak to jest z Żydami: nikt nie chce być ten pierwszy co si wyłami z wielowiekowej tradycji, niech i tak bendzi, już, co mi to szkodzi? — jedliśmy specjały i smakołyki — ta ty wiesz ży mama moji żony gotowała dla samych Suchestowów? To byli milionery i moja pani ma wszystkie przepisy, słowo honoru, ty tera pendzłujisz to co bywało na stoli u Suchestowów... Opowiadają o swych kłopotach w Polsce Ludowej, o draniach i dobrych ludziach, pytają o mych braci, z jednym z nich on chodził do budy i myśląc sobie mnie z najstarszym bratem Antkiem pyta z wyrzutem: *Ta czemu ty zmienił sobi imi na Andrzej, ta tobi byłu Antoni, ja dobrze pamiętam...*

Wreszcie przy jakiejś okazji mówię: — Mam różne zastrzeżenia do Polski Ludowej, dlatego do niej nie wracam, nie bardzo jestem dumny z mojej ojczyzny niby ludowej, dlatego cieszę się, że po tych różnych przejściach macie tu teraz ojczyznę z której możecie być dumni. Serdecznie wam tego gratuluję i zazdroszczę!

— Panie Andrzeju, pan chyba zwariował! — powiedziała wtedy pani domu surowo i popatrzyła na mnie z wyrzutem swymi wyblakłymi oczyma. — Ta jaka ojczyzna? Ojczyzna to było tam, Drohobycz, Borysław, panie Andrzeju, jak pan może coś takiego powiedzieć? — jej intonacje były nie do podrobienia drohobyckie, w rodzaju *co ty nie mówisz?*, a co w bałaku znaczyło: *ta co za głustwa plecisz* (bez p, panie Zecer!). Tu — kończyła — jest dom, dach, schron — kiwała ręką na każde słowo — ale ojczyzna? — wydeła wargi, nie mogąc jeszcze przetrwać faktu, że mogłem być coś takiego powiedzieć...

I długo kiwała przecząco głową.

GADI MANELA

Każdy naród ma swe legendy, stwarza je, bez nich nie może żyć. Bohaterskie legendy szczególnie potrzebne społeczeństwom są w momentach zagrożenia. My, Polacy, też nie jesteśmy inni: z potyczki pod Raclawicami zrobiliśmy wielką bitwę, odejmując sobie zero od cyfry naszych strat, a dodając je Rosjanom; wielu Polaków porównuje obronę Westerplatte do Termopil, choć bohaterscy obrońcy Westerplatte nie wszyscy padli, jak to dla dodania ducha podała na początku wojny prasa stołeczna i radio. W rzeczywistości — choć z miejsca stali się symbolem bohaterstwa i legendą — było tam 15 zabitych i ponad 20 rannych — a załoga z mjr. Sucharskim poddała się 7 września. Ale ta załoga złożona z 182 ludzi potrafiła zadać wrogowi nieporównanie większe straty pomimo beznadziejności położenia, pomimo gorszego uzbrojenia i pomimo przewagi ogniowej Niemców: padło tam bowiem ponad 300 Niemców, a około 700 było rannych.

Potrzebę legendy odczuwają obecnie specjalnie Żydzi, gdyż ich młode pokolenie — zresztą nie tylko w Izraelu — nie było w stanie zrozumieć apatii, z jaką na ogół Żydzi podczas okupacji czekali na likwidację, zarówno w obozach, jak i gettach. Chociaż Żydzi bili się świetnie

w wielu armiach alianckich, chociaż zrobili bunt w Treblince, chociaż Powstanie w Getcie Warszawskim było chronologicznie biorąc pierwszym powstaniem zbrojnym, a wśród partyzantów polskich i francuskich nie brak było Żydów — faktem jest że nie tylko Żydzi na terenach zajętych przez Niemców szli sparaliżowani strachem, bez protestu do gett, wagonów i komór gazowych, ale że i Żydostwo Światowe — a szczególnie wpływowe Żydostwo Amerykańskie — nie zdobyło się na głos i od-ruch skutecznego protestu. Dziś, gdy młodzież na Zachodzie jest świadkami manifestacji, *sit-in*, bicia szyb w konsulatach sowieckich i amerykańskich, darcia i pa-lenia kart mobilizacyjnych — a jest to pożywka dla co-dziennych wiadomości radiowych, telewizyjnych i praso-wych w każdym kraju — karygodna i niewytłumaczalna bierność Żydostwa Amerykańskiego w obliczu zagłady milionów ich współbraci w okupowanej i zbydlęconej przez Niemców Europie, przechodzi ludzkie pojęcie. Te-go młodzież żydowska nie może — i słusznie — zrozu-mieć. Stąd też nieraz narasta w niej lekceważenie wobec starszego pokolenia, a nawet pogarda. „*Jak oni mogli tak biernie iść do komór?*” — pytał mnie żołnierz izrael-ski, wiedząc, że ma do czynienia z Polakiem i partyzan-tem, który uratował 5 nieznanych mu Żydów. — „*To nam by się nie przydarzyło, to by było niemożliwe. Zgi-nęlibyśmy sami, ale przedtem wytłuklibyśmy sporo hitle-rowców...*”. — Tłumaczyłem mu że ówczesne warunki były inne, a dzisiejsze inne, ale to niewiele pomagało. „*Wszystko jedno — kiwał głową — gdyby teraz, nie daj Boże, Arabowie kraj zajęli i spędzili nas do gett i obozów, nikt by nie poszedł do żydowskiej policji, któ-ra by działała w imieniu okupanta i pomagała mu w li-kwidacji ziomeków. Nie?*”. — Inny zaś powiedział: „*Gdyby w getcie było takich jak ja bodaj pięciu, wszystko by inaczej wyglądało!... Nie myśli pan?*”.

— Nie wiem — odparłem — ja już dużo rzeczy wi-działem na świecie, ty nie wiesz jak strach może upodlić,

jaka jest chęć życia w człowieku, i jak w każdej sytuacji potrafi on znaleźć podbudowę filozoficzną dla wytłumaczenia swego postępowania. Całe szczęście, że nie wiesz, obyś nigdy się tego nie dowiedział!

Ale już nie chciałem dodawać tego, co mi mówił Wacek Jabłoński (dawny Kurz), stary działacz komunistyczny. Proponował na zebraniu publicznym w 1942 roku w getcie warszawskim by pół miliona Żydów, zamkniętych tam wówczas nagle, jednego dnia wyszło z getta, rozlało się jak wszy, wszędzie, gdzie tylko można. Niemcy takiego exodusu nie byliby w stanie opanować i choć zginęłoby przy tym 60-80 %, reszta by się uratowała i poszła w lasy. Ale Wacka zakrzyczano.

Nazwisko Hanny Arendt nie padło podczas mej rozmowy z młodym żołnierzem, ale czułem, że obaj o niej myślimy.

Biorąc to wszystko pod uwagę, rozumiem, że nie brak Żydów, którzy „na siłę” chcą stworzyć legendę o latach okupacji, bo legendy są potrzebne narodom jak chleb. Szczególnie wobec milionów wymordowanych Żydów w czasie wojny i wobec niebezpieczeństwa z jakim oko w oko stoi Izrael. Ale legenda musi mieć podłoże w faktach i nie może całkiem ignorować prawdy, jak to np. czynią niektóre żydowskie wydawnictwa propagandowe w języku angielskim, poczęte z wyżej wspomnianych szlachetnych intencji, ażeby młodemu pokoleniu odebrać trochę lekceważenia wobec starszego. Mam tu na myśli „They fought back” Yuri Suhla, rzekomo „znanego historyka żydowskiego”, mieszkającego w Stanach Zjednoczonych. Zabawne jest, że ów tytuł (przełożony na polski brzmi: *Oni odpowiedzieli walką*) partyjni antysemiccy propagandziści w Warszawie przetłumaczyli jako: *Oni walczyli na tyłach*. Zresztą książka Suhla nie jest jedyną, do której w tej materii miałbym zastrzeżenia. Suhl — a antygojów wśród Żydów nie brak i wśród wielu ich szowinistów antypolonizm jest stale cnotą — często pisze, że otrzymano z Getta Warszawskiego depezę, czy

wiadomość, nie podaje jednak wyraźnie, że owe depesze były przesyłane z Getta przez polskich łączników, zaszyfrowane i nadane przez AK z nielegalnych stacji radiowych, a na Zachodzie doręczone przez emigracyjny Rząd Polski w Londynie. Kiedy zaś raz — a przecież warunki okupacyjne były trudne, nie chodziło się na pocztę, a Gestapo szalało — powstała zwłoka w przekazaniu depechy, wywołana wyspą i śmiercią kilku radiotelegrafistów, Suhl oskarża Polaków o rozmyślną zwłokę i sabotaż*. Suhl opisuje np. rzewną historię, jak to w Kopyczyńcach na Podolu ksiądz proboszcz wylewnie dziękował partyzantom żydowskim, którzy trzymali straż około kościoła i bronili wystraszonych Polaków przed Niemcami. Dzięki owym partyzantom — żydowskim komunistom, Polacy mogli się bezpiecznie modlić i chodzić na mszę. A już najlepsze jest jak most, który sam z kolegami wysadzałem we Francji podczas okupacji, zapisany jest u Suhla na konto żydowskiej *Résistance*.

Ponieważ lubię prawdę i mam sympatię do Żydów i do Izraela — a prasa izraelska w języku polskim witała mnie tam jako „piewcę przyjaźni polsko-żydowskiej”, o co nie prosiłem — i że szczerze przejąłem się piękną postacią Gadi Manela, oraz sprawą jego żywego pomnika w kibucu Tel-Itzhak, proszę najusilniej jak mogę Czytelników, o poparcie tej akcji. Byłbym bardzo szczęśliwy gdyby właśnie Polacy w tym pomogli, iż pamięć jednego z najlepszych oficerów armii izraelskiej, symbolu nowej generacji, jej aspiracji i jej ducha — będzie trwać. Niech tu prawda stanie się legendą, a obie zespolone niech nigdy w tym kraju nie zaginą, dopóki będzie bić jedno żydowskie serce!

Genia Gutfreund i Dawid Manela przybyli do Palestyny w 1936 roku z Sosnowca; należeli do umiarko-

* Mój brat Tadeusz opowiadał mi, że gdy jako kurier zrzucony do Polski, po kilkutygodniowym pobycie w getcie warszawskim, wróciwszy do Londynu składał relację na temat sytuacji w getcie, przywódcy Żydów polskich w Radzie Narodowej — jak np. dr Schwarcbart — nie wierzyli mu. Brat mój występował i pisuje jako Marek Celt.

wanej-centrowej organizacji syjonistycznej *Hanoar Ha-tzioni*. Jej rodzice mieli sklep owocarski, jego ojciec miał sklep optyczny. Razem z nimi w tej samej organizacji był Gidek Czarny, obecnie mieszkający w Melbourne, a który jest mym przyjacielem. Właśnie gdy kończę tę książkę w Surfers Paradise w Queensland, spotkaliśmy się z Gidkiem na plaży w czasie letnich wakacji (w Australii miesiące grudzień-styczeń) i rozmawialiśmy o rodzinie Manelów. Stąd te informacje.

W dwa lata później w roku 1938 Manelowie wraz z innym mym przyjacielem, znanym już z kart tej książki, Beniem Sharoni, stali się założycielami obecnego kibucu w Tel-Itzhak, na równinie Sharon.

Gadi był ich drugim dzieckiem, pierwszym była córka Noah. Gadi urodził się 9 stycznia 1946 — był młodszy o 10 dni od mego syna — i na początku był brzydkim i bardzo milczącym chłopakiem. Godzinami potrafił siadywać na drzewach; rysował, lgnęły do niego zwierzęta. Potem, gdy już był w gimnazjum ORT w Natanyi, pożerał wprost książki o podróżach, przygodach i wojnach. Od dłuższego czasu interesował się maszynami rolniczymi i obiecano mu, że po odbyciu służby wojskowej pójdzie na kurs mechaników. Był on wychowankiem kibucu i chciał w nim być przydatny. Gdy się okazało, że na owym kursie nie będzie dlań miejsca, zgłosił się ochotniczo do służby w oddziałach spadochronowych Nachal. W czasie Sześciodniowej Wojny był zastępcą dowódcy plutonu i miał sporo scysji z przełożonym, gdyż palił się do walki, a rozkazy nakazywały, że mają stać w odwodzie. W sumie Gadi mało miał okazji do czynnej walki; dopiero w ostatnich dwóch dniach Sześciodniowej Wojny w boju wykazał zimną krew, przemyślność, odwagę. Okazało się, że ma na ludzi wpływ wprost magnetyczny. Był wysoki, małomówny, miał niebieskie oczy — pies w służbie, a najlepszy przyjaciel poza nią.

Gdy w czerwcu 1968 Tzahal (armia izraelska) postanowił wziąć na Syryjczykach odwet za terrorystyczne

napady poprzez granice na terytorium Izraela, w których ginęły kobiety i dzieci, a zadane szkody były znaczne, Gadi zgłosił się na ochotnika, by wziąć udział w rajdzie na Karame w Syrii, w dniu 18 czerwca. Po tej akcji otrzymał *Order of Merit*, a w uzasadnieniu tego wysokiego odznaczenia czytamy: *Podczas rajdu na Karame z własnej inicjatywy ruszył swym wozem ażeby ściągnąć na siebie ogień nieprzyjaciela i w ten sposób pomóc kolegom w rozpoznaniu skąd idzie obstrzał. Również z narażeniem własnego życia pod ciężkim ogniem npla zebrał naszych rannych żołnierzy, aby nie dostali się do niewoli.*

Gdy mu gratulowano odznaczenia i awansu odparł: *A co? Może miałem siedzieć w kibucu i uprawiać bawełnę? Nasze miejsce jest w dolinie Jordanu, nad Kanałem Sueskim i na Wzgórzach Golan. Byłem pies dla żołnierzy, ale byłem i dla siebie bezwzględny, a kiedy przyszła godzina próby, zrozumieli, że to się przydało. Robotę trzeba było odwalić w ten sposób i koniec. A jeśli sytuacja się powtórzy, ponowimy wszystko jota w jotę...”.*

Często wracał do kibucu, do rodziców, gdzie znał każde drzewko, każdy kamień. Ale każdą przepustkę sam skracał, aby być na granicy na wszelki wypadek. Nie folgował sobie nigdy i często nawet poza służbą sprawdzał posterunki. Gdy trzeba było wysłać patrol, sam szedł na jego czele, miał krew żołnierza i zagończyka. Razem z Arikiem, dowódcą brygady, młody kapitan Gadi Manela zginął na jednym z takich patroli w walce z przeważającymi siłami syryjskich terrorystów. Dziwnym trafem jeden z ocalałych zdążył na kilka chwil przed walką zrobić zdjęcie Gadi i Arika i to zdjęcie, powiększone na całą ścianę w sali poświęconej jego pamięci, robi ogromne wrażenie. Sala ta jest częścią *Domu Kultury* w kibucu Tel-Itzhak, którego jednymi z założycieli byli jego rodzice, w którym on urodził się i wyrósł i w którym obecnie spoczywa na zawsze.

Wpisaliśmy się po polsku do księgi pamiątkowej *Beit Gad Manela* i uczyniliśmy to ze wzruszeniem. Prostota

tej sali i jej gustowne, stonowane dekoracje i meble, znicze i pamiątki po kapitanie Maneli, cała atmosfera szczerzej pamięci, symbolu nowej generacji izraelskiej są po prostu niezapomniane. To nie jest pomnik z kamienia, czy żelaza, jakich wszędzie spotyka się setki. To jest pomnik wystawiony z żywej pamięci i dalej żywy. Z powiększonego zdjęcia patrzą na nas spokojne, marzycielskie oczy, przez pustynny krajobraz idzie wśród żołnierzy i przyjaciół smukła, wysportowana sylwetka, w geście i zastygłym na fotografii ruchu jest determinacja i skoncentrowanie się na jednej idei. I jest posłanie dla młodych Izraelczyków, ażeby już nigdy nie byli inni.

„Pytasz: dlaczego tak się stało? Pytasz: czy to nie było na próżno? A my odpowiadamy, i wierzymy w to, że nie było innego wyboru, nie ma innego wyboru. I że w dzisiejszej rzeczywistości takie jest jedyne wyjście. A więc musimy przemoc w sobie ból i nauczyć się milczeć, nawet gdybyśmy mieli do krwi zagryźć wargi. Wiedz, że żaden dowódca nie będzie krzyczał: *naprzód*, lecz pierwszy pójdzie na czele, nawet gdyby miał pierwszy paść. Jeśli zaś oplakujemy kogoś z naszych, to nie dlatego tylko, że padł mąż; taki jest los całego pokolenia że nie syn, czy wnuk poległego, ale najpewniej jego ojciec, odmówi nad grobem „Kadisz”...

Kadisz — jest to żydowska modlitwa za umarłych.

Wiersz przytoczony powyżej w wolnym tłumaczeniu poprzez dwa języki — z hebrajskiego na angielski i z angielskiego na polski — napisany został na śmierć Gadi przez poetę izraelskiego, którego nazwiska nie udało mi się stwierdzić. Lecz nie poeta jest tu ważny, a to że przemówił on głosem całego Narodu: oddał los żydowski w tych kilku prostych słowach. W Izraelu nikt nie przeżywa się zamachami i niebezpieczeństwami, ale śmierć każdego żołnierza dotyka cały naród, obchodzi każdego. Nieraz mi mówiono: *W takim małym kraju, każdego zabitego ktoś znał, nie tylko rodzina, grono przyjaciół; mieszkańcy ulicy, osady, z miejsca pracy, więc wszyscy*

są jak gdyby jego kuzynami — toteż śmierć każdego żołnierza jest sprawą ogólną. A cóż dopiero śmierć takiego „kozaka”, takiego odważniaka i bohatera jakim był Gadi. Przeto jego pogrzeb był manifestacją całego narodu. Z przemówień nad jego grobem można by zestawić antologię krasomówna i najprościej wypowiedzianego bólu, który jest udziałem wszystkich.

Oprócz samego *Domu Kultury*, który już jest wykonany i działa, dalszą częścią ośrodka poświęconego pamięci kpt. Gadi Maneli ma być muzeum męczeństwa żydowskiego którego budowa jest już rozpoczęta. Zwiedziliśmy ten budynek. Jak wiele budynków i muzeów w Izraelu, obiekt ten jest tak zaplanowany, by na wypadek wojny stał się automatycznie schronem. Na ten cel trzeba jeszcze pieniędzy. Datki proszę przesyłać: „*Beit Gadi*”, *Mr. Ben Sharoni, Kibbutz Tel-Itzhak, Israel*. Dziękuję.

MIGAWKI, TYPY i ANEGDOTY

W nadjordańskim kibucu Degania odkryto niedawno w archiwum paczkę listów sprzed 50 lat. Kibucnicy-chaluce (pionierzy) pisali wówczas o każdym problemie do Centrali Syjonistycznej, która znajdowała się w Berlinie. Gdy w nowopowstałym kibucu pierwszej kobiecie urodził się syn, dyskutowano zajadle, czy ma ona go wychować sama — tak jak chciała — czy też zgodnie z zasadami kibucowymi miano wychować dziecko gromadnie, co przy braku urzędzeń, personelu i funduszków było niemożliwe. Wtedy jeden z zapaleńców, widząc ile problemów przynosi nowe dziecko, wystąpił z wnioskiem, ażeby nikt przez następnych pięć lat nie wstępował w związki małżeńskie, po to aby nie było dzieci i kłopotów z nimi. Po burzliwych dyskusjach i kłótniach kolektywu projekt upadł, lecz żadnej obowiązującej uchwały nie powzięto. Niefortunny wnioskodawca, nie czując się zobowiązany, a może nawet na złość kolegom, w jakiś czas później ożenił się i w rok potem z tego związku przyszedł na świat syn.

To właśnie dzisiejszy Mosze Dayan.



Inżynier izraelski opowiadał mi następującą historię: Niedawno temu Amerykanie wprowadzili do użycia wyjątkowo udany ale kosztowny aparat, umożliwiający łączność na wszystkich kierunkach z wszystkimi jednostkami naraz, na różnych parametrach. Izrael z miejsca zakupił te aparaty, lecz wkrótce okazało się, że są one zbyt delikatne i przy wstrząsach w polu „wysiadają”. Izraelscy wynalazcy skonstruowali więc skrzynię izolującą aparat skutecznie od wstrząsów. Teraz Izrael takie skrzynki sprzedaje Amerykanom.



Armia jest otoczona czcią i wszystko co ma związek z siłami zbrojnymi wykonywane jest natychmiast i sprawnie. Lecz poza tymi sprawami wszędzie indziej zaczyna panoszyć się biurokracja i tumiwizizm. W roku 1952 urzędników w ministerstwach było 27.000 — cyfry są oficjalne z roku 1971. Dziś jest ich 55.000. Kiedy z Julkiem B. pojechaliśmy zwiedzić nowobudujący się port w Ashdod, zatrzymaliśmy się obok bramy wjazdowej, aby uzyskać zezwolenie na wizytę. Przed strażnicą stał celnik i strażnik portowy. Na zapytanie Julka, czy można port zwiedzić, jeden odwrócił się, a drugi wzruszył ramionami w tonacji: *rób co chcesz, co mnie to obchodzi?* Na ponowne pytania odpowiedzi były takie same: *mimiczne*. Wreszcie jeden z nich rzekł: *My dziś strajkujemy, jedź, nie jedź, twój interes...*

Najprostsze sprawy, które można by załatwić od ręki, czy jednym telefonem, zabierają dużo czasu i chodzenia. Na ten temat powstało nawet kilka ordynarnych dowcipów.

Kiedy na początku naszego pobytu zaistniała możliwość, że miejscowi wydawcy książek w języku polskim wznowią mój wydany w Australii tom wierszy, metodą fotograficzną, gdyż robocizna w tym kraju jest tania (wydali tą metodą „Jeden dzień” Sołżenicyna i zrobili to efek-

townie!) poprosiłem telefonicznie brata w Monachium, aby wysłał mi zapomniany przeze mnie egzemplarz lotniczo przez *El-Al*. Dni mijały, wszyscy się denerwowali, a książki nie ma. Gdy interweniowałem w centrali *El-Al* (przesyłka jednej książki to sprawa *importu* i trzeba na to specjalnych zezwoleń i opłat), pytano beznamyślnie czy mam dowód nadania książki, bo bez dowodu nadania nie można wszcząć żadnych reklamacji. Jak mogę mieć dowód nadania, gdy ja byłem tu, a brat w Monachium! — odpowiedziałem. — A przy wadliwym funkcjonowaniu waszej poczty i tym bardziej strajku, skąd mogę mieć ów dowód? *Nie szkodzi*, wzruszano ramionami, *nic się nie da zrobić. Trzeba mieć dowód nadania. Następny!*



W przepięknie, z dużym pietyzmem i smakiem urządzonym *Israel Museum* w Jerozolimie są sale poświęcone folklorowi żydowskiemu, gdzie zgromadzono i sklasyfikowano ogromną ilość eksponatów takich jak żydowskie stroje weselne i codzienne z różnych krajów i lądów, księgi, rodały, świeczniki, naczynia, nakrycia, stroje liturgiczne, makaty itp. Obok eksponatów umieszczono tabliczki z napisami w języku angielskim; są to objaśnienia dokładne, jak np.: *świecznik z synagogi w Augsburgu, Niemcy, wiek XVII*, czy *ambona z bóżnicy w Debreczynie, Węgry, XVIII wiek*. Na ilość Żydów w Polsce, na ich długowieczny pobyt w naszym kraju, liczba eksponatów zidentyfikowanych iż pochodzą z Polski, jest zadziwiająco mała. Mam podejrzenie, iż wśród wielu sklasyfikowanych ogólnie: *z Europy Wschodniej, wiek taki a taki*, niemało jest pochodzących z Polski, ale albo ktoś się nie wysilił, albo mu na tym nie zależało, lub, co gorzej: zależało, ażeby imię Polski nie powtarzało się tu za często. Czemu?

U wejścia do tych sal znajduje się wspaniały świecznik mosiężny, zakupiony bodaj ze zbiorów prywatnych

przez amerykańskich Żydów, pochodzących z Kielc, dla upamiętnienia Żydów kieleckich, którzy zginęli w 1942 — *killed in gas chambers, in Poland*. Ponieważ młodzież, a nawet starsi z innych krajów coraz mniej wiedzą na temat KTO Żydów w Polsce mordował w komorach gazowych, nie od rzeczy by było, aby tam dodano — zgodnie z prawdą historyczną — *by German Nazis*. Bez tego szczegółu, iż zrobili to hitlerowcy, automatyczne asocjacje będą powodować niechęć do Polski.



Opowiadano mi, że pewnego dnia telewizja izraelska pokazała zdjęcia dokonane dalekoteleskopicznymi obiektywami, jak po drugiej stronie Suez — *najszerzego okopu w historii* — Egipcjanie kopali umocnienia. Oczywiście pod dozorem „doradców” sowieckich. Tu należy dodać, iż oficerowie egipscy należą przeważnie do arystokracji, mają swoiste poczucie honoru i że często nienawidzą Rosjan. Kapitan rosyjski ochrzanił pułkownika egipskiego, że nie pilnuje należycie swych żołnierzy. Przez twarz Egipcjanina przebiegła wyraźnie widoczna chmura złości. W kilka dni później wszyscy doradcy sowieccy otrzymali stopień co najmniej pułkownika, aby ratować prestiż oficerów Sadata.

Często rozmawiałem z pewnym Żydem egipskim — świetnie mówił po francusku i angielsku — mieszkającym o piętro niżej od nas. Pracuje w *security*, w Egipcie spędził około 35 lat życia, zanim nie wygnano go stamtąd. Nie odczuwa niechęci czy pogardy do Egipcjan ani do gorszych — jego zdaniem — Arabów, ale twierdzi, że z nimi nigdy nic nie wiadomo. Religijny muzułmanin nienawidzi komunizmu i każdy wierzy, że w końcu oni kiwną Rosjan. „Arab naprzód robi coś, a potem myśli — twierdził — a gdy się przekona, iż zblądził, lub coś źle zrobił, wściekłość obraca nie przeciw sobie, lub tym, co go do tego namówili, ale przeciw... Żydom. Brak im

wykształcenia, ich stopa życiowa jest ciągle niska, są okrutni i mściwi, a także chytry i wprost złodzieje. Ich przekleństwem są przywódcy, jadący na najniższych instynktach mas, wyzyskujący je dla swych celów. Najgorsze — kiwał głową — że Arab nie ma poczucia humoru i jest niesłowny. Słowność to coś, co nie wchodzi w ogóle w rachubę...



Jest ludzkie i zrozumiałe, że obywatel Izraela lubi chwalić się swą ojczyzną, która dokonała wiele w krótkim czasie. A wszystko — krytykę i chwalenie — Żydzi wykonują z wrodzoną sobie przesadą, co czasem denerwuje postronnego obserwatora i trochę śmieszny. Ale przy tym jest to jakieś ludzkie i zrozumiałe. Ciepłe i prawdziwe.

— Dzisiaj pokażę wam naszą Izraelską Szwajcarię — powiedział raz Benio — zobaczycie jakie to piękne! Ile razy jestem zmęczony i zgliwiały, przyjeżdżam tu i na nowo oddycham, zresztą to podobne trochę do Karpat!

Wyjechaliśmy za Haifę w góry, pusto, tylko małe, ale dobrze zbudowane więzienie, parę wąwozików, pagórki i wzgórze, krzewy i grupki drzew, kamienie, słońce, kamienie i jeszcze raz kamienie. Samochód pnie się w górę, Benio krzyczy:

— No, patrzcie, proszę was, bo ja muszę obserwować drogę, ja to zresztą znam. Czy to nie piękne?

Jeden wąwóz jest istotnie ładny, u jego wylotu w dole błyszczy Morze Śródziemne, ale nas bardziej interesują czarne kozy i arabski pasterz — jak gdyby przeniósł go ktoś tu z zamierzchłych czasów. W ogóle te widoki to duża przesada: kamienie, kamienie, górki i pagórki, kurz na drodze, no, myślę sobie, my też odkrywaliśmy u nas podobieństwo pomiędzy Pojezierzem Kartuskim na Pomorzu a Szwajcarią. Zaś Benio szczebiocze:

— Prawda, jakie piękne? Patrzcie dokładnie, to śliczne, nie?

Każdy szuka potwierdzenia, że żyje w ładnym miejscu, w brzydkim nigdy nikt nie chce żyć, ja go rozumiem, on ten kraj budował, dał mu swe wszystkie najlepsze lata i najserdeczniejsze troski, włożył tu swą krew i pot, kiwam więc głową, a on dalej tokuje:

— No, co? Piękne, nie? Co powiesz na to?

— No — mówię — Szwajcaria przy tym to gówno.

Wszystkim nam robi się przykro. I jemu i nam. Ale w Szwajcarii byliśmy akurat trzy tygodnie temu i choć apatyczni i ciężcy Szwajcarzy posiadający luksus na wysoki połyk, nam się nie podobali, to jednak krajobrazy szwajcarskie są klasą dla siebie.

— Ty mnie zrozum — zwraca się do mnie speszony Benio — ja wiem, że ja przesadzam i natrętnie domagam się komplementów, może nie powinienem tak robić, lecz ja ten kraj kocham. No, dobrze, już, sza, szojn, ja nic nie będę mówił, ale jak coś wam się będzie podobać, to mi powiedzcie o tym sami... Proszę was...



Wiele dni spędziłem w księgarniach polskich, ażeby obserwować publiczność jaka tam zachodzi. Przede wszystkim bardzo czynne są wypożyczalnie książek polskich. Księgarnie polskie w Izraelu przejęły trochę z kawiarni i różnych klubów Dziennikarza, Literatów, czy Spatifu. Tu się przychodzi pomacać nowe książki, poglądać stare, tu większość nowoprzybyłych zapoznaje się na dobre z literaturą i prasą emigracyjną, a że lokale są klimatyzowane i jest w nich chłodno, publiczki ciągle tu jest dużo. Tu rodzą się nowe komentarze, kawały, powiedzonka, zawiązują się dyskusje i w kilku słowach poddaje się analizie twórczość takiego lub innego pisarza, tu ludzie mówią o swej przeszłości i swych stanowiskach, tu widać jak wielu dopytuje się o nowe książki, jak młodzież uczy się z podręczników krajowych, bo jeszcze nie zna hebrajskiego, jak ci ludzie tęsknią, choć pokrywają

to niby cynizmem i szorstkim słowem, jak ciągle nie rozumieją, w jaki sposób to wszystko mogło się stać i po co? Tu dopiero widać, ile indywidualnych i różnych tragedii i konfliktów mogła wywołać polityka mafii partyjnej w walce o władzę, ilu Gomułka wypchał z Polski twórców kultury polskiej i *co więcej* — tysiące, dziesiątki, a może setki tysięcy konsumentów tej kultury, jej — nieraz — najzagorzalszych kibiców.

Na moim wieczorze autorskim zdarzył się taki incydent: Sala była pełna po brzegi, miał mnie wprowadzić Stanisław Wygodzki — co poczytywałem sobie za zaszczyt — ale otworzyć zebranie miał Benio, drohobycki mówca, po hebrajsku oczywiście, z ramienia ziomkostwa. Że powie kilka słów po hebrajsku, wydawało mi się gestem kurtuazyjnym wobec Izraela i nawet podobała mi się ta myśl. Aż tu nagle po kilku słowach Benia ktoś wstaje i wzburzony krzyczy: *Po polsku mówić, to jest polski pisarz, dziś tu jest polski wieczór!* Nastąpiła konsternacja, z miejsca głosy za i przeciw, dyskusja. A potem już wszyscy pogodzeni byliśmy w Polsce, w tej dawnej, w tej idealnej, w tej wspólnej.



Przed wieczorem ostrzegali mnie sami Żydzi, że na początku muszę powiedzieć coś co by wzruszyło publiczność: *Jak już Żydzy płaczą* — mówili mi — *to już jest dobrze, już możesz z nimi robić co chcesz. Ale na koniec musi być coś wesołego...*

Więc odczytałem dwa fragmenty „Ziemi księżycowej” (dokończenie *Atlantydy*, które ma wkrótce się ukazać drukiem) potem kilka wierszyków satyrycznych i króciutki felieton napisany w przeddzień wieczoru o mych wrażeniach z pobytu w Izraelu, *bo każdy* — podobno — *na takie coś czeka!* Nie wiem co ten felietonik był wart, lecz w pamięci utkwiło mi jedno zdarzenie. Opisując prasę izraelską, a raczej podkreśla-

jąc jej lekkie opóźnienie — wywołane koniecznością tłumaczenia depesz na hebrajski a potem z hebrajskiego na (w tym wypadku) polski — pozwoliłem sobie na wyrażenie obawy, iż w wypadku nowej wojny arabsko-izraelskiej dziennik *Nowiny-Kurier* doniesie o jej wybuchu w sześć godzin po jej zwycięskim zakończeniu. Był to uprzejmy komplement pod adresem Izraela i sala gorąco to przyjęła. Ale nazajutrz red. Rostał poprosił mnie do redakcji i przez 20 minut tłumaczył na serio, co powoduje opóźnienie w jego gazecie.



Parę drobiazgów:

Bardzo tania i ładna jest izraelska biżuteria; do jej wyrobu używa się srebra i półszlachetnych kamieni. ◆ W Jerozolimie w starym mieście, na głównej ulicy szuku, widziałem w dwóch arabskich zakładach fryzjerskich wywieszony na ścianie portret Nassera, w innym króla Husseina. Nikomu to nie przeszkadzało. ◆ W wydawnictwach w języku angielskim używa się zwrotu BCE (*before common era*), w polskich p.n.e. — (*przed naszą erą*). ◆ Hobby Izraela — a głównie jego wybitniejszych generałów, jak Dayan, czy Bar-Lev — stała się archeologia. Wszędzie widać dużo rozkopów i prawie co tydzień nauka izraelska może się pochwalić nowymi wykopaliskami i odkryciami. ◆ Fakt, że Żydzi po raz pierwszy w swej historii mają jarzyny, sałaty i owoce przez cały rok na okrągło, zmienia tradycyjną kuchnię żydowską. ◆ Kursuje tu powiedzenie, że pod jednym względem rząd *zgadza się z antysemitami w różnych krajach*: chce, aby Żydzi z całego świata powrócili do Izraela na stałe! ◆ Poza dziennikami radiowymi w języku hebrajskim i arabskim słyszy się tu wiadomości w łatwej hebrajszczyźnie dla nowoprzybyłych, w jidysz, ladino, moghrabi, w języku rumuńskim, rosyjskim i perskim, a także raz na tydzień po węgiersku. Najbardziej słucha-

ne są dzienniki radiowe w jidysz. Ponadto stale w eter idą audycje rozrywkowe po hebrajsku, arabsku, angielsku i francusku, jak również regularne biuletyny i wiadomości. W Izraelu istnieje oprócz tego jedna radiostacja państwowa nadająca stale po arabsku przez 15 godzin dziennie. Służy ona nie tylko miejscowej ludności arabskiej, ale też może się przeciwstawić propagandzie arabskiej z Egiptu i Syrii. Jest tam szeroko słuchana. Telewizja nadaje codziennie od 1969 po hebrajsku i arabsku przez 270 minut. Nie ma żadnej audycji w języku polskim ani w radio ani w telewizji. ♦ Długogrających płyt wyprodukowanych w Izraelu sprzedano w roku 1969 ponad 1.250.000 sztuk. ♦ Izrael przeżywa obecnie duży rozkwit sztuki nowoczesnej. Chociaż osobiście mam smak raczej trochę staromodny, następujące rzeźby czy *murals* zrobiły na mnie duże wrażenie: nowoczesna rzeźba Buki Schwartza przed Muzeum Izraela w Jerozolimie, jego fontanna w Eilath, Siosny Shimskiej ściana pokryta *bati-kieim* w tel-awivskim Hiltonie, mozaikowy ceramiczny *mural* wykonany przez Kahana na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, pomnik z kamienia i żelaza dla Israel Museum, dzieło Dantzigera i Habera, symbolizujące siew, oraz metalowy pomnik Yad Lebanim Memorial w Holon, dłuta Dantzigera. Nie zapamiętałem nazwiska artysty, który przed nowym Uniwersytetem w Haifie postawił prześliczne drzewko z blaszek i drucików. Aviva Uri ma na swym koncie świetne rysunki. Ale martwi mnie fakt, iż malarstwo Lachura, Polaka, mieszkającego w Polsce, który po Oświęcimiu przejął się tematyką wyłącznie żydowską i stworzył rodzaj płaskorzeźby połączonej z malarstwem — jest tu zupełnie nieznane. Widziałem kilka jego rzeczy u znajomych w Melbourne — udało się im to wywieźć pomimo zakazu — i mogę powiedzieć, że nikt inny nie znalazł takiego wyrazu dla folkloru i tragedii żydowskiej, co ten były więzień Oświęcimia.

ARABOWIE W IZRAELU

Oficjalne wydawnictwa izraelskie z reguły podkreślają, że położenie Arabów w Izraelu jest korzystne, wypuklają jaśniejsze strony i osiągnięcia, lecz o drażliwych aspektach, lub błędach strony izraelskiej — milczą. My, Polacy, mamy — bolesne i po niewczasie — doświadczenie z mniejszościami, toteż wiemy, iż wzajemnych pretensji nigdy się nie uniknie, bo wynikają one z innej perspektywy. O zupełny obiektywizm w stosunkach *Państwo-Mniejszości* jest zwykle jeszcze trudniej niż w innych dziedzinach. Tam gdzie w grę wchodzi dwa odrębne interesy — punkty widzenia są zazwyczaj bardzo subiektywne. Ale też wiemy, że napięcia czy różnice mogą być rozładowane przy dużej dozie rozsądku i cierpliwości, nie tylko na skutek dobrej polityki, lecz i na drodze współzycia, indywidualnych przyjaźni, mieszanych małżeństw, codziennych stosunków, oraz wspólnych interesów. Oficjalna polityka wobec Arabów jest liberalna i mądra, niechęci do nich nie ma, ale nie ma współzycia. Żydzi i Arabowie w Izraelu żyją *OBOOK* siebie, nie znają się nawzajem i często patrzą na siebie jak na muszlę klozetową, czy brudną szybę. Albo w ogóle drugiej strony nie dostrzegają. Nieuniknione i konieczne przy współzyciu dwóch grup na jednej ziemi małżeństwa mieszane są

nieliczne, a jeśli Arabowie akceptują je, choćby z niechęcią, to na odwrót Żydzi na ogół uważają je za tragedię lub zdradę. Na życie *obok siebie* od biedy może sobie pozwolić duży naród w stosunku do małej mniejszości, bo symbioza i tak musi się z biegiem czasu dokonać. Ale gdy trzymilionowy Izrael ma ponad dwa i pół miliona Żydów i około 450.000 Arabów obywateli izraelskich, plus milion Arabów na terenach administrowanych, proporcja wygląda groźnie. W tych warunkach izolacja jest błędem i winę za ten stan rzeczy ponosi więcej społeczeństwo niż rząd. Nigdzie nie dostrzegłem, aby ktoś o tym myślał. Nigdzie też nie zaobserwowałem, ażeby Izraelczyk miał „swojego” Araba tak jak Polak miał „swego” Żyda. Chodzenie do arabskich restauracji czy kawiarni jest nawet modne — a gdy tam dokuczały nam komary, nieodmiennie słyszałem butadę: *te komary, to arabska dywersja!* — Kiedy pytałem Izraelczyków, czy mają przyjaciół Arabów, czy utrzymują z nimi stosunki, czy w ogóle ich znają, również nieodmiennie słyszałem w odpowiedzi jedno słowo: *Zwariowałeś?* Często z dumą mi opowiadano, że taka a taka wioska arabska była lojalna wobec Żydów nawet za mandatu, lub podczas wojny w 1948, 1956, że w tej, albo innej wiosce arabskiej przechowywano żydowskich bojowników w 1948 roku. Ale kiedy pytałem, czy przyjaciele moi zwiedzili ową wioskę, czy znają tam kogoś odpowiadało zakłopotane milczenie. „*Lepiej tam się nie pchaj, mówiono, to dzicz, czekają tylko aby wbić nóż w plecy. Tobie, dodawano szybko, tam nic nie grozi, ale nam... rozumiesz...*”

Chociaż wiele informacji o Arabach w Izraelu jest już rozsianych w tej książce — i nie chcę ich powtarzać — do pełniejszego zrozumienia trzeba jeszcze kilka dodatkowych danych.

W granicach Izraela po wojnie 1948-9 zostało Arabów około 140.000. Duży przyrost naturalny i powrót wielu uchodźców z innych krajów arabskich sprawił, że

na początku 1971 niezydowskiej ludności w Izraelu było 439.000. Ich wewnętrzny podział już znamy.

Prawie połowa ludności arabskiej żyje w stu wioskach, dwie piąte ludności arabskiej mieszka w miastach (w samej Jerozolimie 73.000), reszta, czyli ponad 11%, to półkoczownicze lub zupełnie wędrownie szczepy Beduinów.

Każdy dzień trwania władzy izraelskiej umacnia ją na tych ziemiach, a większości tej ludności unaocznia korzyści z lojalności wobec państwa. Te są niewątpliwe. Ale, jak to zawsze bywa, *pozytywiści* rekrutują się przeważnie z ludzi starszych i kobiet. Arabowie są na ogół konserwatywni jeśli idzie o władzę starszych: rządzi głowa rodu i dziadek, czy ojciec decyduje nawet jak mają być wydane pieniądze zarobione przez dzieci czy wnuków. Młodzież arabska zaczyna się obecnie buntować z dwóch przyczyn. Jedni widząc wzrastający dobrobyt, tranzystory, motocykle itp. *gadgets* u młodych Izraelczyków, chcą tego samego za zarobione pieniądze dla siebie! Inni, szczególnie młodzież męska, są podatni na hasła panarabizmu. Praca i zdobywanie *gadgets* mniej ich interesują. Tych drugich jest znacznie mniej, ale są. Lecz dyktatorska władza starszych też ich denerwuje i chcieliby ją obalić, bo, jak już rzekliśmy, starsi są *pozytywistami* i zwolennikami spokoju. Jak się zachowa narastająca klasa młodej inteligencji arabskiej wychowywanej na uniwersytetach w Izraelu, nie jest jeszcze jasne. Można przypuszczać, że będzie bardziej rewolucyjna jeśli idzie o sprawy społeczne i emancypację, ale pod względem politycznym będzie reprezentowała linię ugody, a może nawet wspólnoty. Oni najbardziej chyba zdają sobie sprawę, że technologicznie i organizacyjnie Izrael staje się potęgą na Bliskim Wschodzie. I że Izrael nie ma planów zaborczych wobec innych państw arabskich, zaś u siebie w kraju jest wobec Arabów liberalny i praworządny. Pod warunkiem, że ci są lojalni. Wobec terrorystów jest stanowczy, ale też praworządny: zamacho-

wiec ma normalny proces, z obrońcami, nie ma samosądów, wybryków lub zbrodni do których przyzwyczała nas okupacja niemiecka, czy rosyjska. Nie istnieje tu odpowiedzialność zbiorowa ani w stosunku do rodziny aresztowanego. Zaś z tego co mi opowiadano, co czytałem i co sam widziałem, stosunek wojska i policji nawet do podejrzanych — jest ludzki i uprzejmy.

Najchętniej do idei współpracy z Izraelem nastawione są kobiety i starsi. Kobiety nie chcą wojny, chcą widzieć swych mężów i dzieci w zdrowiu, pragną coraz większego dobrobytu i spokoju. Izrael poprawił ich status, zniósł bowiem na terenie państwa wielożenstwo i zabronił wychodzenia za mąż młodym dziewczynkom. Dzięki dobrze zorganizowanej służbie zdrowia śmiertelność wśród Arabów zmalała z 20 do 5,8 na tysiąc w ciągu ostatnich 20 lat, co jest jedną z najniższych cyfr na świecie. Śmiertelność niemowląt arabskich spadła w tym samym czasie z 68 do 39 na tysiąc i stale się poprawia stan zdrowotny ludności — dzieci i matek — gdyż coraz więcej Arabek rodzi w szpitalach, a nie w prymitywnych warunkach wschodniego domu czy namiotu. W roku 1948 rządowych powszechnych szkół arabskich było tylko 60 oraz jedno gimnazjum. Dziś Arabowie, obywatele Izraela, posiadają 177 przedszkoli (*Kindergartens*), 207 szkół powszechnych, 39 średnich i 12 zawodowych. Na wyższych uczelniach Izraela studiuje 450 Arabów.

Za czasów mandatowych Żydzi mieli szeroko rozbudowany system samorządów miejskich i wiejskich (*local government*) podczas gdy Arabowie jedynie w Nazarecie i w dwóch innych miejscowościach posiadali rady miejskie i gminne. W chwili obecnej dwie rady miejskie i 45 gmin wiejskich posiadają większość arabską, a 82,5 % Arabów izraelskich korzysta już z samorządu. W toku jest już druga pięciolatka, czyli rządowy plan dla podniesienia stopy życiowej ludności arabskiej, na co fundusze idą poza budżetem przeznaczonym ogólnie dla całego kraju. Udostępnia to Arabom i ich gminom roz-

budowę dróg, telefony, szkoły, szpitale, elektryczność i wodociągi, a także mieszkania. Ludność arabska wzrosła trzykrotnie, w stosunku do 1949, ale ilość uprawnej ziemi oddanej Arabom wzrosła czterokrotnie, zaś plony sześciokrotnie, co było możliwe na wskutek nauczania Arabów nowych metod oraz mechanizacji rolnictwa. Różnice na korzyść widoczne są więc dla każdego. Częste wyjazdy Arabów dla odwiedzenia rodzin w Jordanie, Libanie i Arabii Saudyjskiej — oraz *vice versa* — dały im praktyczne możliwości do porównań. Wyciągnięte wnioski grają na korzyść Izraela. I na pewno w Libanie i Jordanii idea współpracy z Izraelem zyskuje w ten sposób zwolenników. Nawet jeżeli idzie o Arabów zamieszkujących tereny administrowane od 1967, poprawa losu arabskiego jest dostrzegalna, szczególnie gdy bierze się pod uwagę stopę życiową, możliwości zarobku, szkolnictwo, opiekę społeczną itd. Tego wszystkiego ci Arabowie nigdy przedtem nie znali. Pęd do zmian na lepsze jest — pamiętajmy — zaraźliwy.

Chociaż wielu Arabów w Izraelu uważa się za obywateli drugiej klasy, o czym pisze nawet wydawany w Londynie, ale szeroko kolportowany w Izraelu *Common Ground* (pismo *Council of Christians and Jews*, rok XXV, nr 2, lato 1971) i choć w szkołach izraelskich dla Żydów dzieci mało uczą się o kulturze i literaturze arabskiej, podczas gdy dzieci arabskie muszą się w swoich szkołach uczyć historii i literatury żydowskiej — w zasadzie traktowanie Arabów jest niewątpliwie lepsze niż traktowanie Żydów w Polsce przed wojną. Skrzywią się na mnie rodacy za to stwierdzenie czy opinię, lecz trudno. W Polsce Żydzi byli nieraz na wysokich stanowiskach, mieli w wielu dziedzinach znaczne wpływy, czego jeszcze na pewno nie mają Arabowie w Izraelu, ale częste wówczas szykany władz (policjanta, sołtysa, urzędnika państwowego, czy nawet starosty) wobec masy żydowskiej, nie znajdują analogii w Izraelu wobec mniejszości arabskiej. Powtarzam: mam na myśli nie te

jednostki co wypłynęły i którym nieraz lepiej powodziło się niż Polakom; chodzi mi o szare masy, o biedaków, o tych co nie wypłynęli. To fakt, i z tego Izrael może być dumny. Izrael jest państwem praworządnym i uczciwym. Ale...

Ale gdy dochodzi do głosu żydowski czynnik religijny, obraz się gmatwa. Wprawdzie Jerozolima zjednoczona daje w efekcie to, że po raz pierwszy w historii różne wyznania w tym mieście mogą żyć w spokoju i bez rozlewu krwi, bez szykan i prześladowań, lecz wolność w Izraelu obejmuje wszystkich bez wyjątku, bez różnicy koloru skóry, wiary i pochodzenia, nie obejmuje tylko Żydów, którzy narazili się... żydowskiej religii. Takich, którzy nie chcą ślubu rabinackiego, którzy nie chcą stosować przestarzałych przepisów religijnych, zupełnie nie pasujących do naszych czasów, albo takich Żydówek, które wychodzą za Arabów i są za to przez swe rodziny wyklinane. Co za nonsens: wolno w oczach prawa Żydówce przejść na mahometanizm, bo wolność religijna istnieje, i śluby muzułmańskie są honorowane, ale nie wolno Żydom zawrzeć ślubu cywilnego. Nie tylko spotykamy tu nonsensy, ale i ma miejsce to ciągłe życie obok, które nigdy nie rozładuje problemu mniejszości, które nigdy nie doprowadzi do jakiejś normalizacji i prawdziwego współżycia.

Lecz wróćmy jeszcze na chwilkę do Arabów. Pomimo całej opieki jaką ich otacza rząd izraelski — za cenę jedynie lojalności wobec państwa — nie mogą pozbyć się oni poczucia, że Żydzi są tu elementem napływowym i że oni, Arabowie, są obywatelami drugiej klasy. Co o tym mówią cyfry? W każdym zatargu obie strony szermują takimi cyframi, które są im wygodne, nikt nie podaje cyfr i danych które są niewygodne i zbijają to co my sami chcemy udowodnić. A tylko raz, o ile wiem, zdarzyło się, że ktoś *zatkał* przeciwnika cytując jego własne cyfry i dane. Zrobił to Paderewski na konferencji w Paryżu w sprawie Śląska, kiedy pobił Masaryka cyfra-

mi zaczerpniętymi z książki... Masaryka. (Masaryk *notabene* jest jedynym ze środkowoeuropejskich mężów stanu, który w Izraelu *zasłużył sobie* na kibuc swego imienia!). Sprawy ludnościowe tego kraju zawsze były skomplikowane i następowały tu nieoczekiwane i zawsze potem tendencyjnie tłumaczone przyplawy i odpływy.

Np. w 1931 na niemal milion mieszkańców Palestyny, Żydzi stanowili tylko 18 %. Ale już w 1948 było tu 650.000 Żydów i niecałe 140.000 Arabów. W 1880 na pół miliona mieszkańców tego kraju pod władzą otomańską, było tylko 24.000 Żydów. Gdy w Pierwszej Wojnie Światowej Turcja stanęła po stronie Państw Centralnych, większość tutejszego Żydostwa stanowili obywatele rosyjscy, którzy musieli uciekać do Egiptu. Na początku XIX wieku w Jerozolimie nie było nawet 1.000 Żydów: wtedy muzułmanie i chrześcijanie stanowili grupę sześciokrotnie większą. Ale już w 1872 — kiedy jeszcze nie śniło się nikomu o syjonizmie — ludność żydowska tego miasta przewyższała inne wyznania łącznie zliczone. Od tych cyfr można dostać kręcka, bo wszystkie są prawdziwe, tylko nie wszystkie są cytowane przez obie strony. Lub to, że ilość chrześcijan w Jerozolimie za czasów dwudziestolecia rządów jordańskich zmalała z 25.000 w 1949 do 10.000 w 1967 (co chętnie podkreślają Żydzi jako kontrargument przeciw pomysłowi stworzenia z Jerozolimy wolnego miasta, który to pomysł bardzo podoba się Arabom w ościennych krajach i niektórym wyznaniom chrześcijańskim w świecie. W obu wypadkach z innych powodów).

Cyfry cyframi, prawa prawami, stan dokonany stanem dokonany, ale faktem jest, że Arabowie czują się sfrustrowani, gdyż uważają się za gospodarzy tej ziemi, mimo że jeszcze z czasów biblijnego Kanaanu fellachowie, czyli ludność wiejska tego kraju, najmniej mieli do czynienia z Arabami, którzy najechawszy kraj osiedlili się w miastach. Nie do rozplątania mozaika. Ale w tym wszystkim dwa fakty są dość znamienne: Arabowie czu-

ją się obywatelami drugiej klasy. I choć oficjalna polityka rządowa stara się ich zjednać, a nawet czasem faworyzować, społeczeństwo izraelskie w swej masie izoluje się od Arabów, żyje obok nich, choć nie ma w stosunku do nich niechęci. Jeśli już nie jest za późno na tego rodzaju akcję, szary Izraelczyk musi tu wykazać inicjatywę. Życie *obok* do niczego dobrego nie doprowadzi. Może tylko cieszyć ościennych Arabów. Do zgody trzeba się poniżyć, powinien to uczynić mądrzejszy i mocniejszy, czyli Żydzi. I poszukiwać tego co łączy, a nie podkreślać to co dzieli!

M A K S I U

O naszym przyjeździe do Izraela dowiedział się z gazety, adres dostał telefonicznie z księgarni i oto już siedzi naprzeciw mnie w salonie Dombrowskiego. Za oknami kotłuje się morze, a szum samochodów na esplanadzie jest tak duży, że musimy krzyczeć. W pierwszej chwili nie poznałem go, a później co sekundę ta twarz wytryskiwała z miazgi wspomnień jak litery pisane atramentem sympatycznym wydostają się na papier. W pół godziny potem nie byłem w stanie zrozumieć, jak mogłem go nie poznać od razu. W pierwszej chwili myślałem, iż mam do czynienia z nienormalnym człowiekiem, ale wkrótce pojąłem, że on tak płonie wspomnieniami, tak cieszy się że zobaczył kogoś z niepowrotnie zatopionej Atlantydy. Maks naprawdę płonął i powtarzał jak w gorączce: *Boże, Boże, że ja ciebi jeszcze w życiu zobaczył. I to gdzie? W Izraelu!...*

Śmiał się i płakał, bez wstydu, dużymi łzami, zza tych łez jawiła się dawna twarz, trochę posiwiał, ale to on, Maks, przyjaciel Edka Olcyka. I Szmilka Grubera. I znów beładnie opowiadał, a czasem trochę pytał, lecz głównie opowiadał, nawiedzony gadaniem o Drohobyczu.

Przyjaźń Maksa z Edkiem Olcykiem była znana w całej budzie, może w całym mieście. Prawie nigdy nie roz-

stawali się, wszędzie ich widziało się razem, a jak Edek szedł z gimnazjum w niedzielę do kościoła na mszę, Maksiu czekał na niego pod drzewami, koło poczty. Edek pochodził z rodziny naznaczonej tragedią, bo jego ojciec komendant straży pożarnej zginął w wypadku podczas ćwiczeń naprzeciwko apteki Tobiaszka, na rogu rynku i Piłsudskiego. A gdy starszy brat Edka po ojcu przejął straż pożarną, w kilka lat potem również na tym samym miejscu spadł podczas ćwiczeń ze strażackiej drabiny i zabił się.

Maks był jednym z kilku techników dentystycznych w Drohobyczu. A że pochodził z drugiej strony miasta, za cerkwiami, za szkołą Piramowicza, a tamtych rejonów nie znałem dobrze, teraz słucham jego bezładnej gadaniny jak rewelacji. Te jego relacje rozciągnęły się na kilka spotkań i choć robiłem w miarę rozmowy w jego gabinecie dentystycznym w Hod-Hasharon gorączkowe notatki, zdaję sobie sprawę, że co najmniej połowa jego wspomnień przeciekła później jak przez sito przez to wzruszenie, które nas oblapiło w jego klinice dentystycznej na Kikar Hanasi — tak byliśmy obaj wzruszeni. Czym? Widokiem jego pierwszej maszyny do borowania zębów, którą zakupił w Drohobyczu za 95 zł w 1929 roku, i którą uratował przez wszystkie przejścia wojny i dzięki której tu, niedaleko od Ramataim, zarobił na pierwszą kurę dla rodziny, gdy przybyli z Polski. Ponieważ w klitce gdzie mieszkali nie było prądu, maszynę zainstalował u szwagra i do niej dochodził do pracy.

Dziadek Maksa, Chaim, nazywany był „Szóstak”, bo miał po sześć palców u rąk i nóg. Był biednym bogobojnym Żydem, zbierał skórki cielęce i zajęcze, ale Bóg mu w dzieciach błogosławił: miał 14 synów i jedną córkę. Ojciec Maksa miał już tylko 6 palców u jednej ręki, a jedna wnuczka 6 palców u nogi. Jeden z braci ojca wyjechał do Ameryki i ślad po nim zaginął. Kiedy wybuchła wojna w 1914 ojciec wraz z dr. Czubatym, naszym weterynarzem, służył w armii gen. von Pick, wtedy

też urodził się Maks w Hruszowie pod Drohobyczem. Po spaleniu się domu matka z dziećmi opuściła Hruszów, a po powrocie z wojny ojciec weterynarzował chłopom. Jak go chłopci lubili niech świadczy fakt, że w tyle lat później do getta drohobyckiego co tydzień przyjeżdżał stary ksiądz ukraiński z Hruszowa i ojcu przywoził a to gąskę, a to cielaka, zaś gdy jeszcze przed wojną ojciec zachorował na nerki, chłopci ukraińscy przysłali mu siano kosić za darmo, ażeby nie niszczało. A potem je zwieźli.

W Drohobyczu Freiowie mieszkali przy Cerkiewnej 22, koło *Świątych Piatnyć*, na *popiwszczynie*, w pobliżu Cichej i Górnej, koło Oleksiaków. Najbliższymi ich sąsiadami byli Lidnerowie, stary emeryt Kudelka i Prystajowie. Stary Prystaj był cieślą, ale dzieci dobrze wychował: synowie byli urzędnikami na „Nafcie” i w Kasie Chorych, jedna córka była nauczycielką, druga wyszła za Mariana Urbanowicza z „Galicji”*. Dalej była rodzina mieszanćów polsko-ukraińskich Płachtów, stary pracował w Galicji. Wdowa po Wowku mówiła po żydowsku, bo służyła u Żydów i nauczyła się. Jej syn na Galicji przechował Żydów, Wasylku sam się z Żydówką ożenił, a młody Julku Wowk, kulawy, pasł krowy dla Łojaczki. *Z Polakami i Ukraińcami żyło się tak* — opowiada Maks — *że co jakiś czas ktoś od kogoś pożyczzał parę złotych, a to cukru, czy masła, bo była bryndza. I razem się chodziło na wesela jeden do drugiego czy na święta. Maks do dziś pamięta polskie i ruskie kolędy i śpiewał mi je w Ramataim.*

Wasyl Znak, Ukrainiec, którego żonę nazywano zgodnie z duchem drohobyckiego języka: Znaczycha, miał pole i łąkę, jego jedyna córka Wiśka wyszła za Polaka, dostała wykształcenie. *Wisz, oni ładnie żyli, to byli porządni i uczciwi ludzie.* Dziunek Postojko był krawcem, *fajny był, jak brat, to samo Mydko*, ale Wiktor Postojko, ślusarz z Galicji, podczas wojny był szoferem dla

* „Nafta” i „Galicja” nazwy drohobyckich rafinerii.

Niemców i gdy Żydów wywozili na rozwałkę do Bronicy, to się z nich nabijał: *Proszę do Truskawca, proszę państwa*, taki był sukinsyn! Dalej żyli dwaj Kuśnierze murarze, ze starą matką, ślepą na jedno oko. *Aha, wiesz, Hryńku Wowk był stróżem w cerkwi*. A ta Znaczycha nieraz przychodziła po porady rolnicze do ojca, bo mąż Wasyl chorował długie lata, lecz gdy już za Niemców starego Freia jakiś Ukraińiec strącił z chodnika, nim jeszcze getto nastąpiło, to także Znaczycha kopylaka Ukraińca grabiami przez całą Cerkiewną goniła i krzyczała: *Jak si nie wstydzisz krzywdzić tak porządnego człowieka, jak oni już i tak tak strasznie pokrzywdzeni!...*

„A kiedy mój brat Oskar zeskoczył z ciężarówki wiozącej Żydów do Bronicy, dostał sześć kul w brzuch, ale przeżył, bo go schował Władziu Wasylkiewicz. (Później zginął zastrzelony w mieście bo się bił z niemieckim oficerem). Iwan Wata, zwany „Tełemba”, był bogatym chłopem i nacjonalistą ukraińskim, ale przechował nasze blachy, rzeczy, maszyny i futra i po wojnie wszystko zwrócił bratu, który się uchował u jednego inżyniera Polaka w Borysławiu. *Ili razy ja si kłócił z bratem, bo on za złe miał owemu inżynierowi, że tamten brat za to przechowanie pieniędzy. A co? To źle? Taż mógł cię wydać, albo nie przyjąć, i miał cię za frajer karmić?* (Brat jest w Izraelu, ale rzadko się widują, nie chcą się kłócić o Polaków!). *Albo te Płachty. Ile oni nam nadokuczali za polskich czasów, ile naprzezywali się nas, a w czasie wojny dopiero zaczęli się odnosić lepiej i chleba czasem podali i pomogli...”*

Siadywaliśmy w ich salonie, córki Maksa, jedna jeszcze urodzona w Drohobyczu, co było jej przewagą nad drugą, która tego szczęścia nie zaznała, podawały nam zimną wódkę i lemoniady i soki, a my wszyscy siedzieliśmy nad albumami z fotografiami. *Ty wiesz, że to zdjęci robił sam Schenkelbach, a to wo, to Tycjan z Mickiewicza ulicy? Poznajesz tu kogo?*

— Popatrz, to Paszkowski, jo, jo, to koło restaura-

cji Pomeranza, ty wiesz? My razem wydawali naprzód *Kurier Literacko-Naukowy*, tak to się szumni zwało, a potem *Echo 4 Miast*, co pokrywało Drohobycz, Borysław, Stryj i Sambor, zaś w sezonie Truskawiec i Morszyn, *ty nie pamientasz, ty był za miglanc*, całe 20 numerów my wydali, Paszkowski zbirał ogłoszenia, był akwizytor. On był zdaji si spensjonowany komornik i my si poznali w restauracji Druckera.

— A tu? Ta to nasza paczka: Manek Panicz, Władek Serwatka, Henek Halberstein, Jasio Huczyński, Jurk Malec, Dzidek Furowicz, Franiu Nehrebecki, Mańku Jacyna, Gustek Weiss, ja, Szmilku. Fajne byli paszaki, co? I Edyk.

— No, a tu, świeć Jędryk, Zbyszek Kozioł, Oleś Kałużkiewicz, Gienek Jaworowski, to kurs techników, dr Krąpiec, dr Freidenheim i pani doktor Fichmanowa, ona była zy Stanisławowa, rudy Wiluś Hopfinger, Romku Kaszuba, Maks Kleiner, on praktykował u Werdingera, a to fotka z gabinetu na Szopena 2, u Karlinera. A tu zdjęci zy szkoły Piramowicza, naprzód dyrektorem tu był Konrad, a potem Wojtowicz, ojciec tych gimnazjalistów z Jana ulicy, na końcu był stary Oleksiak, ojciec Staszka, tego piłkarza z „Junaka”, on z tobą chodził zdaji si... A tu Ina Karp, co ją Jarema uratował przez całą wojnę, ze siostrą Klarą, ona była sympatia Heńka Sandhausa, on był w Palestyni, skończył politechnikę w Haifie i wrócił do Drohobycza na parę miesiency przed samu wojnu i znalazł śmierć. Do niej si dowalał i ją prześladował Wiktor Postajko, ten co drwił z Żydów: *panstwu pojadu do Truskawca*, gdy Niemcy gnali wszystkich na ciężarówki i na rozwałkę do Bronicy. Ten wo, to Benio Ickowicz, co si chował u Romka Kaszuby, ali nie wytrzymał i si sam powiesił. Tego to nie znasz, to był ojciec moi pani, Ajzyk Brauner, z Zagrodów Liszniańskich, to był Żydwieśniak, podobny do niej, znaczy si ona do niegu, te oczy, co? Wykapane. On był spokojny człowiek, gdy mu Michajłowie zaorywali miedze, to on im mówił: *I co?*

I te dwadzieścia centymetrów gruntu zabierzy sy pan na drugi świat ze sobą? A jego żona jeszcze krzyczała na teścia: ty nas krzywdzisz. Czym krzywdzy? Że si nie charkam o te miedzy? A może tobi piwa dać, Jędryk? No, kto by pomyślał, że ty u mni bedzisz te znymki (fotografie) oglądać?

— Tu natomiast jest Majer Schubert, jegu Stefku Żwir wyciągnął z szeregu jak już szedł na śmierć, podobnie jak to robił czeski Niemiec Schindler, co za Niemców był dyrektorem fabryki koło „Nafty” i tyłu u nas Żydów uratował, że aż nie do wiary. On tu po wojnie przyjechał do Izraela, ty wiesz co tu wtedy było? Tłum wiwatował, ściskali go i płakali, przyciągali dzieci, aby się go choć dotknęły, jak cadyka, więcej niż cadyka, sprawiedliwego, co tyłu nieszczęśliwych uratował. Mnie tu opowiadali lekarze i adwokaci, że on tym, których chował na fabrycy, budował tusze, by nie było zarazy, a też o tym jak on si po nocach martwił, czym on te dzieci żydowskie nakarmi. Ten Schubert to był najlepszy fryzjer w Drohobyczu. A nasz Wołosiański, zwykły ślusarz, miał syna inżyniera, Iśka, 58 naszych ludzi schowali, ty wiesz? We dwójkę, ojciec z synem. Pijaczyna Iwan Pysk, uratował 48 Żydów, potem po wojnie jego córka studiowała w Polsce na uniwerku na koszt Komitetu Żydowskiego, we Wrocławiu. A Dyżku Laufersweiler, taki fajny był chłopaka i aligancki, z wojskiem poszedł na Węgry, bo był Polak, tylko tato jego był szkop, ale si spolonizował. I co? I na Węgrzech ta jego niemieckość si w nim odezwała, wrócił po upadku Francji i był zawiadowca ponemieckich rzeczy, może krwi na rękach swoich nie miał, ali si obłowił i matka go wyklęła. Tera Dyziu jest w Niemczech. Albo taki Milku Mangold? Jego brat Mańku lotnik polski w Anglii, a on si zrobił za folksdojczka i był niemiecka świnią, obecnie wielka szyszka partyjna w Polsce. Widzisz? Jak przechodziły te podziały? W jedenj rodzinie. W tej samej rodzinie.

— O, albo to, to ciekawe! Ale jeszcze zaczekaj, coś

mi się przypominału. Z Schindlerem tu filmy kręcili, a gdy po wojnie ja na Dolnym Śląsku spotkał starego Wołosiańskiego, z którym nikt żadnego filmu nie kręcił i ja pytał si: *jak to si stało, że pan tyle Żydów uratował*, to on, staruszek bałaka: *ta ni ma o czym mówić, taż to tyż byli ludzi, nie? Jak inne byli świnie, to ja tyż muszem być paciuk?* Paciuk, ty nie zapomniat? to po drohobycku świnia. Oj, mówię ci, Jędryk, żeby tamte czasy wojny nigdy si nie wrócili. Brat ojca, to ciekawe, *jagem* ci już mówił, wyjechał do Ameryki, to tu jest jego syn, był oficerem amerykańskim i po wojnie do nas na Dolny Śląsk przyjechał, nic nie gadał po polsku, trochi tylku rozumiał. Pienkny był mentsczyzna. Chciał zobaczyć ili si z rodziny uchowało. No, wiesz jak było. Mówimy o tych, co przeżyli, ale mało się mówi o tych drohobyckich tysiącach, dziesiątkach tysięcy, co poginęli. Patrz tu, tu dwóch braci bliźniaków, Eicherów, Karol przeżył, uchował się w Drohobyczu, a potem poszedł do armii, zdaje się, że zaszedł po Budziszyn. To zdjęcie robione na wakacjach w Kropiwniku. Pamiętasz? A drugi zginął w Karpatach. Słyszałeś o „Republice Opackiej”^{*}? Aż do przyjscia Ruskich była taka grupa Żydów z Borysławia i wewogóli z Zagłębia, co po ucieczce z koszar borysławskich, gdzie był obóz żydowski, pobudowali skomplikowany zespół schronów w górach ponad Opaką, mieli własną milicję, sądy i władze. Chłopi ukraińscy im pomagali, ale nie wszyscy, kilka razy były na nich akcje i bronili się. Wiele bunkrów Niemcy wytropili psami, lub z donosu, czasem złapani Żydzi byli torturowani i wydawali schrony. Ale dużo ich przeżyło aż do końca. (Czemu? — myślałem — *taki pan Yuri Suhl o nich nie pisał? Prawda była piękniejsza i bardziej bohatera niż te zmyślone Kopyczyńce!*) To właśnie w Karpatach zginął ten drugi bliźniak, niedaleko Kropiwnika, gdzie to zdjęcie było zrobione na wakacjach w 1939. Tutaj, patrz, jest Andzia

^{*} Piszę o niej Koppel Holzman w książce „Jeśli ciebie zapomnę...”.

Frajman, sierota, wychowywała się u nas, potem odmroziła w bunkrze nogi, to zdjęcie jest zrobione podczas wykładów uniwersyteckich we Wrocławiu, bo i ja si poszedł dalej doszkałać na dentystę. Acha, doktorowi Krąpcowi było na imię Rudolf. A tu stary Blam, lichwiarz cholerny, com u niego zastawił łańcuch i gdym mu niósł ostatnią ratę, to się wykręcał, że już za późno. A tu Edzia Olcyka dwie siostry. To znowu Edyk: — Maks się zaśmiał — ty widział jakie wtedy nosiło się długie płaszczce? I ten kapelusz, kapileusz, z rondem, a w ramionach cała elektrownia: *kilo waty*. Nie, ona się nazywała pani doktor Freidenheim-Fichmanowa, ale w takim razie kto to był pomiędzy nią i Krąpcem? Już nie pamiętam!

— Ale ty si spytasz, jak ja doszedł do tej maszyny? To cała historia.

— A co się stało z Edziem Olcykiem? — pytam zdziwiony, że o nim przez cały czas tak mało mówi. — Masz jakieś wiadomości o nim?

— Zaginął w Rosji. Przed samą wojną poszedł na urzędnika pocztowego gdzieś koło Sarn, czy Łunińca. Ale gdy w październiku wróciłem z wojny, my si bili koło Szczebrzeszyna i Zwierzyńca i na piechotę ja szedł przez 3 tygodnie do domu do Drohobycza, widzym go, bo też wrócił do chałupy, ży on coś si boczy. Ta co si boczysz? — mówim mu — co si tobi stału, czy my nie byli najlepsze kolegi?

— Aaaa, bo wiesz, teraz niektóre Żydy z bolszewikami idą ręka w rękę — odparł po długich naleganiach — to może ty tyż si odmienił, ja ci si nie chcym narzucać.

— Edziu, kurwa twoja mać, ja si zmienil? Aż, pastuchu, ja myślał, że ty mnie znasz i lubisz, a ty taki? O-że-sz ty bękarci zezuwały, jak ci dam w mordę: ja si zmienil?

Edziu wtedy mi się rzucił na szyję i dalej był glid pomiędzy nami. Potem z Rosji już nigdy nie wrócił, co ja si za nim naszukał, napytał, czerwone krzyże, nie czerwono-

ne krzyże. I nic. To był fajny chłop, najlepszy przyjaciel jakiego ja wewogóli miał...

Żona Maksa ma łzy w oczach i pochlipując dodaje:

— Ile mi Maks o nim naopowiadał, to nie do uwierzenia. Zresztą ja go też znałam. Takich dzisiaj ludzi już się nie spotyka...

— A z tą maszyną to było tak — ciągnie Maksiu. — Jednego dnia, a to było pamiętam, jak raz, koło restauracji Grubera, przychodzi Maks Kleiner i mówi: *Maks, jest maszyna do sprzedania, 95 złotych, szac wiertarka, ale to albo dziś bierzesz, albo jutro tego już ni ma.* Kleiner pracował u dentysty Werdingera. Ta ja całego majątku mógł mieć wtedy z pięć złotych, ta skąd wziąć taką straszną sumę? Martwim si i martwim, mama si pyta o co chodzi, że ja taki zgryziony. Wreszcie wujek powiedział mi: masz 25 złotych i ty mi to odrobisz złotymi koronami na raty po pięć złotych koronka. Git? No, dobrze, to już było coś, ale skąd reszta? Idym na rynek i akurat koło drogerii Obrowicza spotykam Kazika Czerniaka, tego murarza co mniał jednu oku, że jego brat Dolek pracował u Wzorka. I opowiadam mu cały bajc i problem. A ta maszyna ci potrzebna? — on pyta. Jak zbawieni, ty wiesz jakie na niej można roboty odwalac, to nie to co Oleś Kadłubkiewicz podłącza do maszyny do szycia. To on pożyczył mi pieniądze swego szwagra Pawła Waty, tylko mi Maksiu to oddaj jutro, czy pojutrze, bo mnie Paweł zabiji. I powi że ja przepił. Na drugi dzień matka dała mi weksel, ali już tego wieczora maszyna stała u mnie. Ona mi dała kawałek chleba ta maszyna, ja się na niej dorobił. A potem ja kupił narzędzia dentystyczne, niemieckie, takich dzisiaj nie ma i Urbanowicz z Galicji to wszystko, maszynę i komplet narzędzi, przechował przez całą wojnę, co trzy miesiące to wszystko czyścił i oliwił, a jak po wojnie zobaczył mego brata, to mu rzekł: *Powiedz ty dla Maksa, że wszystko ja dla niego przechował i wszystko jest w porządku.* To

właśnie ta maszyna-staruszka, że tu w kąci stoi. Ona jest z Drohobycza. Jak ślad z Pompei...

Wtedy, choć jesteśmy stare konie i życie nas nieraz przemaglowało, zapłakaliśmy. Ze wzruszenia, z ulgi, że jednak w tamtych czasach tylu jeszcze znalazło się prawdziwych ludzi, takich jak ci przedmiejscy Wołosiańscy, Pyskowie, ów ksiądz staruszek z Hruszowa, Płachtowie i tylu tylu innych z owym Urbanowiczem, Znaczychą i Hryńkiem. I z tkliwości że na takim przedmieściu Drohobycza, którego za dobrze nie znałem, tak wtedy po bratersku ludzie żyli razem, po sąsiedzku, po ludzku.

SPIS TREŚCI

OD AUTORA	7
<i>E b e l</i>	9
<i>Izraelski ślub</i>	14
<i>S z u k</i>	17
<i>Kibbutz Tel-Itzhak</i>	20
<i>Codzienne życie w Izraelu (I)</i>	35
<i>Przylot i Odlot</i>	46
<i>Zikbron Yakow</i>	62
<i>Galopkiem przez historię</i>	65
<i>Wingate Institute</i>	70
<i>Bombajscy Żydzi</i>	72
<i>Wycieczka do Hebronu</i>	77
<i>W „Row:alu” na Dizengoff</i>	87
<i>Codzienne życie w Izraelu (II)</i>	97
<i>Codzienne życie w Izraelu (III)</i>	104
<i>Na tropach Smętka</i>	112
<i>W Moshav</i>	113
<i>Pinbas Timberg</i>	116

<i>Kelnerka Basia w Jerozolimie</i>	118
<i>Panie Andrzeju, zwariował Pan?</i>	120
<i>Gadi Manela</i>	122
<i>Migawki, typy i anegdoty</i>	130
<i>Arabowie w Izraelu</i>	139
<i>M a k s i u</i>	147

A C H E V E D' I M P R I M E R
L E 2 4 A V R I L 1 9 7 2
S U R L E S P R E S S E S D E
L' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (X V I I I ^e)
D é p ô t l é g a l : 2 ^e t r i m . 1 9 7 2

Cena 17,50 F (dol. 4,25; sh. 1,60)